ZA KULISAMI POLITYKI

Ojciec Rydzyk traci cierpliwość do partii Kaczyńskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 21/273 21–27 MAJA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

PiSteria reżysera Pawlikowskiego

SKĄD POCHODZI RYMKIEWICZ – ŚLEDZTWO LICHOCKIEJ

Car Rosji uknuł intrygę przeciw Mickiewiczowi?

raport DO RZECZY

JAK SILNE JEST ŻYDOWSKIE LOBBY

Czy polski rząd potrafi sobie z nim poradzić

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

Nakład: 92,2 tys. egzemplarzy

epr[illegible]093

Instytut Pamięci Narodowej

zaprasza na
międzynarodową konferencję naukową

„Za waszą i naszą wolność”

30. rocznica powstania Autonomicznego Wydziału Wschodniego Solidarności Walczącej

23–24 maja 2018 r.
Akademia Ignatianum w Krakowie
ul. Mikołaja Kopernika 26, Aula Wielka

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

AUTONOMICZNY WYDZIAŁ WSCHODNI SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCEJ

#MOJA NIEPODLEGŁA.

Ignatianum

TVP HISTORIA

TVP3 KRAKÓW

DO RZECZY

DZIENNIK POLSKI

RADIO KRAKÓW

pap POLSKA AGENCJA PRASOWA

DZIEJE.PL PORTAL HISTORYCZNY

eprasa.pl f1c0d8f093

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tęczowa tyrania

Nad budynkiem Parlamentu Europejskiego 17 maja zawisła, pierwszy raz w historii, tęczowa flaga. W ten sposób posłowie postanowili wyrazić swoją solidarność z osobami LGBT. Tego dnia przypadał bowiem Międzynarodowy Dzień Przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii.

Przeciw temu idiotycznemu pomysłowi postanowili zaprotestować europosłowie Prawa i Sprawiedliwości. Ryszard Legutko słusznie zauważył, że rolą Parlamentu Europejskiego nie jest dokonywanie rewolucji moralnej. Stwierdził też, że „pod hasłem »homofobia« kryją się nie ataki na ludzi o skłonnościach do osób tej samej płci, bo takich ataków właściwie nie ma. Pod hasłem homofobii kryje się odmowa zmiany prawa, a właściwie zmiany definicji małżeństwa, która funkcjonowała w świecie od czasów niepamiętnych". Jak łatwo przewidzieć, ten akt elementarnej odwagi moralnej musiał ściągnąć na polskich prawicowych polityków gromy oburzenia, drwiny i złość.

Nie chodzi tu o żadną tolerancję. We wszystkich krajach Unii Europejskiej homoseksualiści i lesbijki cieszą się pełną swobodą. Od dawna już nikt nie penalizuje stosunków seksualnych między przedstawicielami tej samej płci. Nikt ich nie prześladuje ani nie pozbawia praw. Tylko że nie tego w ogóle dotyczy spór. Prawdziwym celem organizacji LGBT jest doprowadzenie do całkowitego zrównania relacji homoseksualnych z tzw. przez nich heteroseksualnymi. Chodzi o to, by zniknął podział na normę i jej naruszenia, na naturę i to, co naturze przeciwne. Albo, używając języka religijnego, na grzech i prawość.

Żeby tego dokonać, działacze grup LGBT próbują zniszczyć tradycyjną moralność i obyczaje. Jak? Zmuszając wszystkich bez wyjątku, aby uznali relacje homoseksualne za równie godne zaakceptowania jak naturalne stosunki między kobietami i mężczyznami. Tak więc wywieszenie tęczowej flagi nad gmachem Parlamentu Europejskiego to przejaw nie tolerancji, ale imperializmu. To klasyczny przykład symbolicznej przemocy wobec wszystkich, dla których współżycie par pań i panów nie jest czymś normalnym. Mimo że dla milionów ludzi w Unii Europejskiej zachowania homoseksualne są czymś sprzecznym z moralnością i prawem natury, mówi się tym wszystkim ludziom, że ich głos nie ma znaczenia, nie liczy się. To jest właśnie klasyczny przejaw dyktatury mniejszości i tyranii ideologii. Prędzej czy później, mówią europosłowie, przyjdziemy do was. Nie podoba się wam nowa moralność? To ją wam narzucimy.

Ruch zrzeszający mniejszości seksualne idzie drogą wytyczoną przez marksistów i komunistów. Jedyna różnica polega na tym, że o ile w oczach Marksa całe dzieje były zapisem walki klas, walki uciskających i uciskanych, dla dzisiejszych aktywistów LGBT historia to opowieść o walce płci. Chcą zniszczyć dawny porządek reprezentowany przez chrześcijaństwo, bo nie są w stanie stawić czoła potępieniu moralnemu. Kiedy ostatecznie pokona się dyskryminację? Tylko wówczas, gdy wszyscy, dosłownie wszyscy, uznają, że erotyzm homoseksualny jest równie właściwy i godny szacunku jak relacje mężczyzn i kobiet. W ostateczności celem jest zniszczenie wyrzutów sumienia, a te znikną tylko wtedy, jeśli usunie się odpowiednie instancje. Ewentualnie doprowadzi się do ich, celowo używam tego określenia, zglajszachtowania. Kościół może istnieć, ale tylko jeśli zmieni swoją naukę i zamiast potępiać, zacznie błogosławić.

To, co może się wydawać formą ekshibicjonizmu – nieustanne epatowanie płciowością, ciągłe poruszanie wątków erotycznych – jest jednocześnie formą działalności wywrotowej. Wszędzie, gdzie się tylko da, aktywiści muszą pokazywać, że relacje homoseksualne są tak samo właściwe jak inne. W sprawach pożądania i zaspokajania nie może być żadnego oceniania oraz wartościowania: oto prawdziwy cel ruchu. Z tego punktu widzenia najlepiej, gdyby każdy mężczyzna był choć trochę homoseksualistą, a każda kobieta choć trochę lesbijką. A przynajmniej, żeby publicznie i jasno taką wolę wyrazili.

Dobrze, że przynajmniej część polskich europosłów potrafiła się temu oprzeć. Szkoda, że takiej odwagi zabrakło innym. Źle to wróży na przyszłość. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

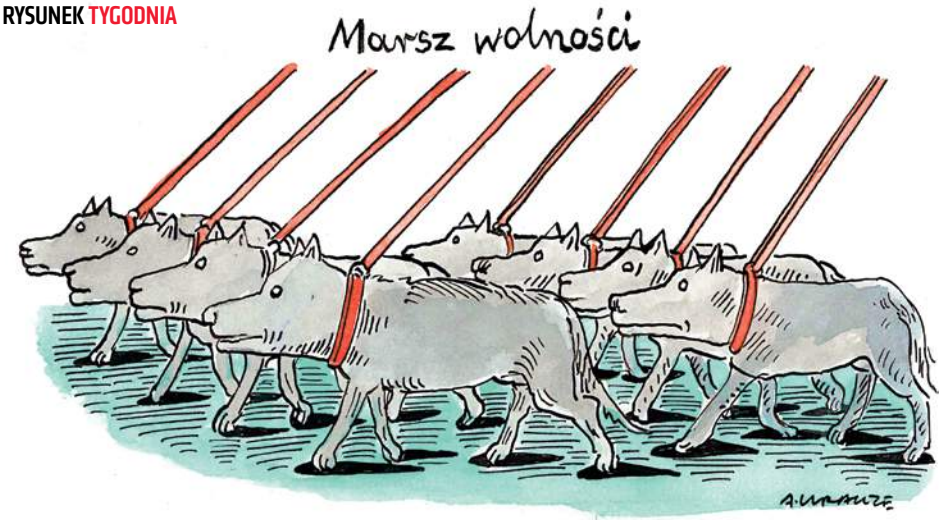

eprasa.pl f1c0d8f093

TEMAT TYGODNIA

16 MACIEJ PIECZYŃSKI
INFAMIĄ W PLECY
Naród ofiar „narodem sprawców"

20 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM WYSZKOWSKIM
POLSKA POLITYKA ZAGRANICZNA JEST ZBYT ŁAGODNA

23 TOMASZ KWAŚNICKI
AMERYKA NIE KOCHA POLSKI

KRAJ

26 PIOTR SEMKA
EGZAMIN Z DOJRZAŁOŚCI
Czy PiS bez ambitnych planów nie stanie się partią ciepłej wody w kranie?

30 ROZMOWA Z ARKADIUSZEM MULARCZYKIEM
KACZYŃSKI JEST GWARANCJĄ STABILIZACJI POLITYCZNEJ

32 KAMILA BARANOWSKA
OJCIEC DYREKTOR TRACI CIERPLIWOŚĆ

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
BIEDROŃ – MESJASZ LEWICY, KANDYDAT NERGALA

38 WOJCIECH WYBRANOWSKI
ZAŁATWIACZ NEUMANN

40 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
JA Z OLBRYCHSKIM NA CZELE – I JAKOŚ TO WYJDZIE!

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
PISTERIA PAWLIKOWSKIEGO
Artyści chcą pieniędzy

44 JOANNA LICHOCKA
KORZENIE JAROSŁAWA MARKA RYMKIEWICZA

48 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ARCYDZIEŁO DO KWADRATU

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 KS. ROBERT SKRZYPCZAK
OPCJA NA TRUDNE CZASY
„Opcja Benedykta" Roda Drehera to książka, którą warto przeczytać

59 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
ZDĄŻYĆ PRZED KLĘSKĄ

HISTORIA

62 EWA POLAK-PAŁKIEWICZ
TRIUMF I UPADEK BOŻYSZCZA PARYŻAN
Czy Adam Mickiewicz padł ofiarą spisku rosyjskiego cara?

66 ADAM PRZECHRZTA
MILICJA KONTRA KGB

ŚWIAT

68 JACEK PRZYBYLSKI
„MAGIK" NA CZERWONEJ LINII
Benjamin Netanjahu walczy o miejsce w historii

72 EUGENIUSZ BIŁONOŻKO
ZAGADKA NADII SAWCZENKO

74 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
ANTYGENDEROWY WYSZEHRAD

EKONOMIA

78 ŁUKASZ ZBORALSKI
NUMER Z ROAMINGIEM
Telekomy silniejsze niż politycy UE

80 STEFAN SĘKOWSKI
KRÓTSZA PRACA POPŁACA?

82 ŁUKASZ WARZECHA
SOLIDARNOŚĆ WYMUSZANA

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
ROK DEBAT
Jakie leczenie za składkę?

FELIETONY: SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (55), ZYCHOWICZ, KOPER (65), KOWALCZUK (76), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl f1c0d8f093

ZDROJOWA HOTELS®

Długi *weekend czerwcowy...*

...spędzamy nad morzem.

A za dzieci nie płacimy!

Hotele w najpiękniejszych kurortach™

Kołobrzeg · Świnoujście · Ustronie Morskie · Szklarska Poręba

Rezerwuj pobyt 31.05–03.06:
+48 **91 40 40 400**
rezerwacja@zdrojowahotels.pl

eprasa.pl f1c0d8f093

Inwigilacja dziennikarzy i powolne śledztwo

Nie widać końca śledztwa w sprawie inwigilacji dziennikarzy w latach 2007–2014. Po ponad dwóch latach prowadzanego postępowania krakowska prokuratura będzie wnioskować o jego przedłużenie o kolejne sześć miesięcy – dowiedział się tygodnik „Do Rzeczy".

Ta sprawa miała być wyjaśniona szybko i zdecydowanie – deklarowali publicznie politycy obozu dobrej zmiany jeszcze w maju 2016 r., kiedy Mariusz Kamiński, minister koordynator służb specjalnych, przedstawił w Sejmie listę 52 dziennikarzy, którzy w czasach rządu PO-PSL mieli być inwigilowani przez służby specjalne. Wcześniej, w marcu 2016 r., część nazwisk dziennikarzy, którymi interesowały się służby, ujawnił na łamach „Do Rzeczy" Cezary Gmyz.

Śledczy z Prokuratury Regionalnej w Krakowie chcą, by dochodzenie kolejny raz zostało wydłużone. – Tutejsza prokuratura planuje wystąpić z wnioskiem o przedłużenie okresu trwania śledztwa na okres kolejnych sześciu miesięcy – poinformował nas prokurator Paweł Iciek, naczelnik Wydziału I Prokuratury Regionalnej w Krakowie.

Po dwóch latach od rozpoczęcia postępowania nadal znajduje się ono dopiero w fazie in rem, a prokuratura regularnie przekonuje, że wciąż jest na etapie gromadzenia materiału dowodowego i przesłuchiwania świadków. Nie chce też powiedzieć, czy w najbliższym czasie w tej sprawie zamierza komukolwiek przedstawić zarzuty. Dziennikarze, którzy w trakcie śledztwa otrzymali status osób pokrzywdzonych, nie mogą też zapoznać się z dotyczącymi ich materiałami.

Jak wynika z materiałów opublikowanych przez kancelarię premiera wiosną 2016 r., w okresie rządów PO-PSL czynności operacyjno-rozpoznawcze prowadzone przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralne Biuro Antykorupcyjne wobec dziennikarzy objęły praktycznie cały dawny dział krajowy „Rzeczpospolitej" – dziennikarzy i redaktorów przygotowujących teksty do druku, a także innych mediów. Śledzeni byli m.in. ówczesny redaktor naczelny „Rz" Paweł Lisicki i jego zastępca Piotr Gabryel, a także Piotr Gociek, Michał Szułdrzyński, Eliza Olczyk, Jarosław Stróżyk, Wojciech Wybranowski, Piotr Nisztor, Piotr Gursztyn i Cezary Gmyz, Sylwester Latkowski, Michał Majewski, Maciej Walaszczyk, Jerzy Jachowicz, Piotr Skwieciński, Bartosz Węglarczyk i Łukasz Warzecha. ©℗ **(ww)**

Wyjaśnienie

W artykule Joanny Bojańczyk pt. „Splendor przywrócony" zamieszczonym w poprzednim numerze „Do Rzeczy" (nr 20/272) zamiast fotografii pokoju w Hotelu Europejskim w Warszawie zostało użyte zdjęcie innego pokoju hotelowego zaprojektowanego przez firmę Fox Linton Associates, która aranżowała wystrój „Europejskiego".

Za błąd w opisie zdjęcia przepraszamy.

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski**
(I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak,
Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk,
Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmiak, Dominika
Ćosić *(Brukselo)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn,**
Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk *(Rzym)*,
Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz,
Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak,
Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz
P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach
Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski,
Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr,**
Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski (także Polskie Radio),
Jan Fiedorczuk
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia),
Marta Bensalem, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz,
Włodzimierz Zakrzewski
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska,**
Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa,**
Mirosław Owczarek
Okładka: **J. Scott Applewhite/AP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 92,2 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej
i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl f1c0d8f093

Z Wojciechem Sumlińskim, dziennikarzem i publicystą *rozmawia Wojciech Wybranowski*

Każdego mogą nazwać ekstremistą

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Słyszałem, że z dziennikarza śledczego ponoć stałeś się ekstremistą, nacjonalistą i antysemitą...

WOJCIECH SUMLIŃSKI: Historia jest kuriozalna, ale pokazuje niedobrą zmianę, która – być może w imię poprawności politycznej – zaszła w Wielkiej Brytanii w stosunku do Polaków. Od wielu lat jeżdżę ze swoimi książkami wszędzie tam, gdzie są Polacy. Byłem w Kanadzie, w Stanach Zjednoczonych, w krajach UE, kilkanaście razy w Wielkiej Brytanii. Tym razem miałem mieć spotkania m.in. w Southampton i Isham.

I zostałeś zatrzymany przez straż graniczną na lotnisku Luton.

Zostałem zatrzymany, otoczony kordonem przez czterech funkcjonariuszy, którzy znali tytuł mojej książki „To tylko mafia", z której promocją przyjechałem. Zaczęli mnie wypytywać, czy dużo w niej jest treści nacjonalistycznych, antysemickich, ekstremistycznych. Tłumaczyłem, że opowiada ona o półświatku przestępczym, o powiązaniach mafii, służb specjalnych i świata władzy. Zabrano mi egzemplarz ze słowami: „Zostanie przetłumaczona, sprawdzimy".

Pytałeś o podstawę prawną zatrzymania?

Oczywiście. Usłyszałem, że były telefony z Polski, iż jestem nacjonalistą, ekstremistą i antysemitą, i że zostałem tak już opisany w systemie, więc w związku z tym zostaję zatrzymany. Pobrano ode mnie odciski palców i wykonano „sesję zdjęciową", zabrano pasek od spodni i sznurowadła. Ostatecznie po kilku godzinach oddano mi paszport ze stwierdzeniem, że mogę wejść na teren Wielkiej Brytanii, ale wszystkie moje spotkania i rozmowy będą monitorowane.

Zastanawiam się, czy telefony z donosami i próba zatrzymania cię na lotnisku nie były efektem aktywności tych skrajnie lewicowych środowisk, które nie tak dawno zablokowały przyjazd do Wielkiej Brytanii Rafała A. Ziemkiewicza czy też doprowadziły do tego, że odmówiono Polonii wynajęcia sal na spotkania Leszka Żebrowskiego.

Myślę, że jest to prawdopodobne. Brytyjczycy tworzą sobie jakieś listy ludzi, którym nie wolno przyjeżdżać, którym nie stawia się żadnych zarzutów, którzy nie robią niczego złego, ludzi, którzy pokazują rzeczywistość taką, jaka jest, i których za to traktuje się jak przestępców. W takiej rzeczywistości każdy, także ty, może zostać bezpodstawnie nazwany ekstremistą i zatrzymany. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl f1c0d8f093

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tutaj był Wzdymacz

Chyba każdy zna to uczucie. Kiedy żyli dziadkowie, nie czuło się potrzeby wypytywania o setki drobiazgów z przeszłości. Teraz, kiedy człowiek chce w miarę dokładnie odtwarzać swoje korzenie, nie ma już kogo spytać. Tak było z moją babcią Bronisławą Arciszewską, rodem z Mińszczyzny. W czasie wizyt w jej domu oglądałem wiszące w plastikowej przezroczystej koszulce liście z drzew z okolic domu, gdzie się urodziła w 1901 r. – w leśniczówce Wzdymacz na Białorusi.

Latem 1920 r., gdy Wojsko Polskie wycofywało się z Mińszczyzny pod naporem ofensywy Tuchaczewskiego, babcia z siostrami i bardzo słabym już ich ojcem wyjechały na zachód. Babcia i jej siostry dotarły do Polski, ojciec zmarł pod drodze. Jeszcze jeden raz w latach 70. udało się jej przyjechać do rodzinnej miejscowości. Coś o tym mi opowiadała, ale byłem wtedy 12-latkiem i było tysiąc ważniejszych rzeczy niż opowieść o jakimś miejscu, które zapamiętałem tylko z racji dziwnej nazwy – Wzdymacz. Babcia nie żyje już od 24 lat. Teraz, wybierając się do Mińska, postanowiłem nadrobić zaległości i pojechać do miejsca związanego z moją rodziną. Bardzo pomogła nasza ambasada, która ustaliła nie tylko miejsce dzieciństwa mojej babci, lecz także poprosiła miejscowego historyka pana Anatola Samusiewicza, by pokazał mi, co zostało ze Wzdymacza.

Nie zostało nic. Dosłownie. 22 lutego 1943 r. niemieckie oddziały karne spaliły Wzdymcz i pobliską wieś Rudnowkę. Niemcy uważali, że miejscowi pomagają partyzantom. Łącznie w dniach 22–23 lutego spalili osiem miejscowości i zamordowali, jak się szacuje, 250 ludzi.

Razem z panem Anatolem szukałem miejsca po leśniczówce. W końcu ustalamy, że najprawdopodobniej leśniczówka stać musiała na słabo już widocznym prostokątnym lekkim wzniesieniu. Dodatkowa wskazówka to rosnące dookoła miejsca krzaki lilaku, zwanego potocznie bzem. Potem dowiaduję się, że krzaki bzu nie rosną jako samosiejki, bo nasiona nie wytrzymują surowego klimatu naszej strefy. Musiały być zasadzone przez ludzi i zazwyczaj świadczą o byłych zagrodach. W miejscu byłej wsi Rudnowka śladem po zagrodach są zdziczałe drzewka owocowe. I tu, i tam żadnego śladu upamiętnienia. Dopiero tu można zrozumieć, jak wielką cenę Białorusini zapłacili w czasie ostatniej wojny. Nie przeżył jej niemal co trzeci Białorusin. Oblicza się, że Niemcy spalili ok. 9,2 tys. wsi i przysiółków.

Chodząc po zarośniętych drzewami dawnych wsiach, zrozumiałem, o ileż słabsi od nas w walce o pamięć świata są Białorusini. Od nas, których i tak boli brak wiedzy w Europie czy USA o ofierze krwi Polaków. Zwykli Białorusini po wojnie nie zobaczyli ani feniga z odszkodowań, które Niemcy wypłacili władzom ZSRS w Moskwie za wojenne zniszczenia. Odszkodowaniami dla ich potomków nie interesuje się kongres USA.

Owszem, w Mińsku działa centrum Johannesa Raua, które finansuje imprezy ku czci pamięci niemieckiego terroru, organizuje wizyty młodych Niemców u świadków bolesnej historii i wspiera badania nad zbrodniami. Tyle że tu, we Wzdymaczu, nie ma dziś śladu po ludzkich siedzibach. Za ileś lat zatrze się zarys fundamentów leśniczówki. Może tylko krzak bzu zdradzi, że kiedyś żyli tu ludzie. ©℗

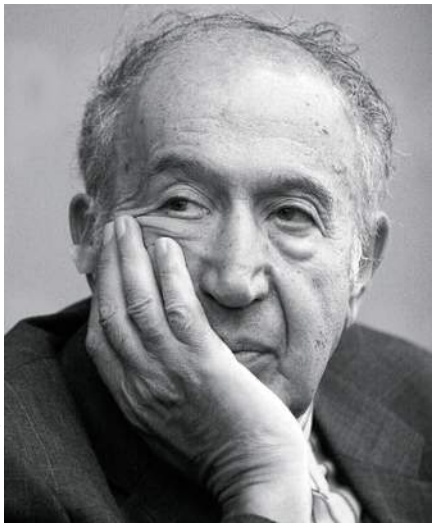

FOT. KAROL PIECHOCKI/REPORTER

Nie żyje Richard Pipes

„Aby zrozumieć grę, którą prowadzi Putin, trzeba spojrzeć na szerszy kontekst. Rosyjska gospodarka jest w fatalnym stanie. W takiej sytuacji Kreml musi odwrócić uwagę obywateli od kryzysu wewnątrz kraju i wskazać na wielkiego zewnętrznego wroga" – oceniał w jednym z wielu wywiadów udzielonych „Do Rzeczy" prof. Richard Pipes, światowej sławy sowietolog, który zmarł w zeszły czwartek.

Doradca Ronalda Reagana ds. Rosji i Europy Środkowej, emerytowany profesor Uniwersytetu Harvarda, miał 94 lata.

Urodził się w 1923 r. w Cieszynie, w rodzinie żydowskiego fabrykanta czekolady. Dzieciństwo i młodość spędził w Warszawie. W 1939 r. wraz z rodziną wyemigrował do USA.

Absolwent prestiżowego Uniwersytetu Cornella oraz Uniwersytetu Harvarda, gdzie pracował do 1996 r. Był wybitnym znawcą historii Rosji oraz Związku Sowieckiego. W latach 80. był doradcą prezydenta Ronalda Reagana ds. Europy Wschodniej i ZSRS. Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP. ©℗ ***Jacek Przybylski***

eprasa.pl f1c0d8f093

inwestorzy.tv

„Faceci powinni się trochę pobawić od czasu
do czasu i nie powinni się tego wstydzić”

Nowy program o biznesie, samochodach i rynku kapitałowym

#BIZNESwDRODZE

Na program zapraszają :

BAH
BRITISH AUTOMOTIVE HOLDING
Generalny Importer i Dystrybutor Jaguar Land Rover w Polsce

AFORTI

Oglądaj wyłącznie na
www.inwestorzy.tv

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Aktywista i biskup

Cokolwiek wyjałowiona „opozycja totalna" doczekała się nowego działacza. Może też nie pierwszej już młodości, ale ze znanym nazwiskiem, a przede wszystkim – bardzo zaangażowanego. Widać, że bardzo mu zależy, pisze do różnych gazet, występuje i jeździ na spotkania po lokalnych „klubach obywatelskich" PO, gdzie pospołu z takimi autorytetami jak Andrzej Rzepliński czy „profesor" Jerzy Stępień przekonuje, że w Polsce zniszczono demokrację i „wielu Polaków pozbawiono elementarnych praw".

Jego polityczna aktywność zarówno z nauką Kościoła, jak i ze zwykłą przyzwoitością nie ma nic wspólnego

I nie miałbym z tym żadnego problemu – jeden mniej, jeden więcej – gdyby nie to, że ów aktywista „opozycji totalnej" jest niestety zarazem biskupem Kościoła katolickiego. Jest, ale zupełnie o tym nie pamięta. Jego polityczna aktywność zarówno z nauką Kościoła, z zasadami, które obowiązują duchownych, jak i ze zwykłą przyzwoitością nie ma bowiem nic wspólnego.

Chodzi oczywiście o bp. Tadeusza Pieronka. Tylko z ostatniego tygodnia: w „Polsce The Times", gdzie występuje jako stały komentator polityczny, zaatakował prezydenta Dudę, powtarzając kłamstwa, jakoby „wielokrotnie złamał on konstytucję". W filmie francuskiej telewizji, stojąc na tle grobu Lecha Kaczyńskiego, potępił „kult smoleński" i oskarżył PiS o to, że modli się do byłego prezydenta zamiast do Boga (!). I wreszcie jako autorytet moralny odniósł się do okupacji Sejmu przez grupę matek z niepełnosprawnymi dziećmi, stanowiącej dziś centralny punkt politycznej narracji opozycji, apelując, by protestujące „wytrwały do końca". Nie określił, jaki to ma być koniec, ale być może chodzi o to, by któreś z użytych do walki z PiS chorych dzieci padło z wycieńczenia. W końcu mówimy o tym samym biskupie, który samobójstwo – wedle nauki Kościoła zło niemające sobie równych – i to popełnione przez człowieka chorego na depresję endemiczną, podjudzonego do tego czynu medialną propagandą, zachwalał i uwznioślał, nazywając je bohaterstwem i „desperackim aktem odwagi".

Być może to wymyślny sposób wykazania obłudy michnikowszczyzny, która od ćwierć wieku szczując na Kościół za „mieszanie się w politykę", zaangażowanie bp. Pieronka adoruje i wspiera. Jednak nawet jeśli, to ta obłuda i tak jest dla wszystkich oczywista i potwierdzenie jej po raz enty nie jest warte publicznego zgorszenia. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Prawie jak cenzura

Należę do tych, chyba już będących w mniejszości, którzy uważają, że nowelizacja ustawy o IPN pozwalająca na ściganie pomawiających państwo polskie o zorganizowaną współpracę z Niemcami w zagładzie Żydów jest potrzebna. Jednocześnie też z coraz większą zgrozą zauważam, że niektórzy przedstawiciele organów ścigania w innych, ale ideowo podobnych sprawach próbują udowodnić, że przepisy mające chronić nas przed kłamliwymi oskarżeniami mogą stać się zagrożeniem dla wolności słowa.

Oto łódzka prokuratura postawiła felietoniście „Angory" Antoniemu Szpakowi zarzut znieważenia narodu polskiego, bo ten, komentując w swoim publicystycznym tekście udział czołowych polityków PiS w 26. urodzinach Radia Maryja, stwierdził: „Jedynie w durnym, kołtuńskim kraju może dojść do takiej paranoi". Oczywiście trzeba być wyjątkowym kołtunem, by z wizyty polityków odwołujących się do wartości katolickich na obchodach rocznicy powstania katolickiej rozgłośni wyciągnąć podobne wnioski.

Niestety, co gorsza, jednak trzeba być wyjątkowym cymbałem, by nie zauważyć, że tekst Szpaka jest, może nie najmądrzejszą, niezbyt lotną, ale jednak dozwoloną opinią publicystyczną. Ściganie w majestacie państwa satyryka za to, że zawarł w tekście – zdaniem wielu – kontrowersyjną, ostrą, krytyczną dla ludzi władzy opinię, trzeba uznać za skandaliczną, niedopuszczalną ingerencję w wolność słowa.

Działania łódzkiej prokuratury w tej sprawie uderzają w jedno z podstawowych praw demokratycznego państwa i boleśnie przypominają czasy rządów SLD, kiedy to próbowano zamykać krytykom usta procesami m.in. za stwierdzenie: „Znajdzie się cela dla Leszka Millera".

Panie ministrze Ziobro, panie prokuratorze Święczkowski – nie idźcie tą drogą. ©℗

eprasa.pl f1c0d8f093

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Imposybilizm Piotra Glińskiego

To szczególnie ohydny tekst redaktora Warzechy" – powiedział w rozmowie z Robertem Mazurkiem wicepremier Piotr Gliński o moim artykule z poprzedniego wydania „Do Rzeczy". Wicepremiera oburzyła krytyka Polskiej Fundacji Narodowej.

Gdy słuchałem, jak w Radiu RMF FM pan premier gromi mój z gruntu niesłuszny, defetystyczny, antypatriotyczny tekst, uświadomiłem sobie pewien paradoks. Otóż zdarza mi się, tak jak pewnie wielu publicystom, rozmawiać z politykami obozu władzy w okolicznościach nieoficjalnych – w kuluarach jakichś konferencji, po wywiadzie lub przed nim czy spotykając ich w poczekalniach różnych mediów. Ba, bywa nawet, że niektórzy z nich zachowują się inaczej niż Piotr Gliński i natknąwszy się na moją opinię, z którą się nie zgadzają, potrafią zadzwonić, napisać prywatną wiadomość czy zaprosić na spotkanie na offie, żeby przedstawić swoje racje i pospierać się na argumenty. Bardzo taką postawę szanuję.

Ani kroku w tył, my mamy rację, i jest to racja najmojsza, a kto twierdzi inaczej, ten mówi lub pisze rzeczy ohydne

Wspomniany paradoks polega na tym, że na ogół słyszę wtedy od nich: „Panie redaktorze, taka rzeczowa krytyka jest nam bardzo potrzebna, żebyśmy nie popadli w samozadowolenie. Proszę robić swoje". Jednocześnie rozkładają ręce, sygnalizując, że choć krytyczne opinie sobie cenią, to nic nie mogą i nie są w stanie uczynić z nich w praktyce żadnego użytku.

Przyznać trzeba, że to dość frustrujące. Być może lepsza jest już postawa premiera Glińskiego: ani kroku w tył, my mamy rację, i jest to racja najmojsza, a kto twierdzi inaczej, ten mówi lub pisze rzeczy ohydne.

Wciąż jednak zadziwia, do jakiego stopnia sprawowany urząd odbiera przekonanie, że cokolwiek można zmienić. Można wręcz odnieść wrażenie, że poczucie niemocy rośnie wraz ze szczeblem, na którym się dana osoba w hierarchii władzy znalazła. Ludzie władzy wydają się sądzić, że sprawy idą własnym, niezakrzywialnym torem, wynikającym z niezgłębionych konfiguracji układów, sprzecznych decyzji, podwieszeń, personalnych konfliktów – w stronę być może jakiejś katastrofy, czemu można się jedynie ze stoicką rezygnacją przyglądać. I to może jest przypadek Piotra Glińskiego, który musi przecież dostrzegać, że ocena PFN jest niemal jednolicie krytyczna od prawej do lewej. A że czuje swoją niemoc w tej sprawie, irytuje go, że wciąż za fundację obrywa tak, jakby coś mógł. A on nie może nic.

Czy to przypadkiem nie Jarosław Kaczyński mówił kiedyś o imposybilizmie? ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Najzabawniejszy barak

Prawie 30 lat po upadku komunizmu Polska pozostaje najzabawniejszym barakiem w obozie. Przykład? Redaktor Rachoń, podając na wizji informację, że w domu Stanisława Gawłowskiego działała agencja towarzyska, tak wzburzył posłów opozycji, że ci wyszli ze studia w obronie honoru kolegi. A potem Twitter aż się zagotował.

„Wszyscy tu narzekają na imć Rachonia, a on powinien być jednak także źródłem pewnej radości. Nigdy wcześniej nie widziałem w telewizji tak zadowolonego z siebie, zblazowanego pajaca" – napisał Tomasz Lis. Tym samym potwierdził teorię, która głosi, że nigdy nie oglądał swoich programów. Co – swoją drogą – wiele tłumaczy.

„Pan Michał Rachoń spóźnił się ze swoimi talentami o 35 lat – w stanie wojennym byłby świetnym propagandzistą. Ale ma farta, trafił mu się PiS, bo inaczej klepałby biedę" – wyznał z kolei europoseł Dariusz Rosati.

„35 lat temu? To nie jakoś wtedy, gdy Rosati był sekretarzem Komitetu Uczelnianego PZPR w SG PiS, dzisiejszej SGH?" – zauważył Mateusz Parys.

Prawdziwy nokaut przyszedł jednak od samego Michała. „Proszę nie mierzyć innych swoją miarą. To nie ja zostałem zarejestrowany w 1978 r. jako kontakt operacyjny Służby Bezpieczeństwa »Buyer«. To nie ja byłem w PZPR od 1966 do 1990 r. To Pan był trybem tego reżimu, a nie ja. Mogę więc tylko pozdrowić Pana tradycyjnym: Precz z komuną!" – wykrzyknął z zapałem godnym działacza Solidarności Walczącej redaktor TVP Info.

Łyżki dziegciu do beczki miodu jak zwykle dołożył jednak Marcin Kędryna. „Tak chwalą red. Rachonia – że oczytany – a ten najwyraźniej nie zna »Konrada Wallenroda«. Gdyby ktoś formatu Rosatiego wspierał szczerze komunizm – dalej by istniał ZSRR. Pan Rosati od 1966 r. rozkładał komunę od środka. Być może za lat parę się okaże, że dziś robi to samo z PE" – gdybał doradca prezydenta.

Na koniec tak sobie myślę, że może Wallenrodem, tyle że Nowoczesnej, od samego początku był również Ryszard Petru? „Twarzą przedsiębiorczej Polski ma być koleś, który zadłużył partię na 5 baniek i z niej zwiał" – napisał Adam Tymiński. Nie doceniliśmy jednak tego geniusza biznesu. ©℗

eprasa.pl f1c0d8f093

SPECYFICZNY HUMOR ZAWSZE W CENIE

To już pewne. Andrzej Piaseczny nie weźmie udziału w następnej edycji muzycznego show TVP „The Voice of Poland". Jeden z plotkarskich portali napisał, że to dlatego, że Piasek nie przyciąga widzów i nie budzi emocji. Po prostu nudziarz. – W tym programie już nie wystąpię, zrezygnowałem – potwierdził krążące od paru tygodni informacje Piasek. – Nie mówię jednak, że na zawsze. Kto wie, być może zabraknie widzom na jurorskim fotelu mnie i mojego specyficznego poczucia humoru. Wtedy zobaczymy, co przyniesie życie – dodał muzyk. Że widzom może zabraknąć Piaska? Rzeczywiście, specyficzne poczucie humoru.

KRET CHCE ZNÓW DO BEATY

FOT. DAMIAN KLAMKA/EAST NEWS

Po tym, jak Beata Tadla wygrała „Taniec z gwiazdami", do Jarosława Kreta chyba zaczęło docierać, że zostawiając ją, popełnił błąd. Bo w przeciwieństwie do niego Beata na tym rozstaniu całkiem dobrze wyszła. W końcu wygrana w „Tańcu" to 100 tys. zł! Kret wyjechał na krótki urlop do Indii, przemyślał sprawę, a po powrocie poszedł po rozum do głowy i postanowił zawalczyć o Beatę. Zapisał się nawet na terapię do specjalisty! Przynajmniej tak twierdzą kolorowe media. – Liczy na to, że chodząc na terapię, udowodni Beacie, że robi wszystko, żeby się zmienić – twierdzi informator „Super Expressu". Na razie jednak wszystko wskazuje na to, że nie ma szans, by Tadla mu wybaczyła publiczne porzucenie i upokorzenie, jakie musiała w związku z tym przeżyć. – Jest niewzruszona. Wygrana w programie podbudowała ją, otworzyła na świat. Już nie płacze za Kretem. Nawet o nim nie myśli. Ma jednak nadzieję, że on ułoży sobie swoje sprawy i rozwiąże prywatne problemy – mówi rozmówca „Super Expressu". No właśnie próbuje rozwiązać swoje prywatne problemy. Przynajmniej te finansowe.

FOT. PAWEŁ GROMADA

WYPADA PODZIĘKOWAĆ!

Kret w ramach walki o Tadlę opowiada, że wygrała ona „Taniec z gwiazdami" dzięki niemu! Co prawda, on odpadł w pierwszym odcinku, ale to jego zasługa, że Beata w ogóle się w programie znalazła. Po fakcie nie szczędzi też pochwał swojej byłej dziewczynie. – Znam Beatę, potrafi ciężko pracować, włożyła całą swoją energię i wszystkie uczucia, całą pasję w ten taniec. Musiała wygrać, nie ma gadania. Beata jest szalenie ambitna i jak postanowi, to tak to wykona. Jest diabelnie pracowita. Cieszę się, gratuluję jej z całego serca. Cieszę się jej radością, to ją zbudowało, dało jej siłę – rozpływa się Kret. – Niesamowicie się cieszę. Namówiłem Beatę do tego programu. Namówiłem producentów tego programu, żeby ją też namówili, bo oni się bali, że ona nie będzie chciała brać w tym udziału – opowiada Kret. Naszym zdaniem największą zasługą Kreta, jaką wyświadczył Beacie, było to, że ją spektakularnie porzucił. Właściwie Tadla powinna mu za to podziękować. Nie tylko ze względu na nagrodę w „Tańcu z gwiazdami".

CIUCHY, KTÓRE STRASZĄ

Margaret, dziś piosenkarka, a kiedyś blogerka modowa, ubolewa nad tym, że przez jej wizerunek sceniczny i przez to, że lubi nietypowe stylizacje, wszyscy mają ją za dziwaka. Także mężczyźni. Dlatego trudno jej znaleźć tego jedynego. – Chodzi o to, że ja nie jestem dziwna. Tylko wszyscy myślą, że jestem dziwna – przekonuje Margaret w jednym z wywiadów. – No dobra, ja się dziwnie ubieram, wiem to. I tak sobie pomyślałam, że już nigdy nie znajdę chłopaka, jak się będę tak ubierać. Nie mam chłopaka... Chłopcy, ja jestem naprawdę bardzo miłą, fajną dziewczyną. Proszę się nie bać tego, co mam na sobie, to są tylko ciuchy – apeluje piosenkarka. Racja, bardziej trzeba bać się tego, co Margaret ma w środku. ©℗

FOT. KRZYSZTOF JAROSZ/FORUM

eprasa.pl f1c0d8f093

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, dziwna sprawa. Otósh Nowy z Tarnowa jako nasz supervisor zgłosił się dzisiaj do szefa naszego oddziału w korpo, iż chciałby się zrzec części wynagrodzenia i niebawem wystosuje w tej sprawie oficjalne pismo.

Nowy stwierdził, że walka o tanie państwo to nie tylko poziom sejmowo-ministerialny, ale że i on jako świadomy obywatel chciałby wziąć udział w wielkim dziele pisowskiego dziadowania, tzn. dbania o finanse publiczne. Nowy oczywiście zwołał nas wszystkich, iżby o tym opowiedzieć publicznie, poinformował o swojej decyzji także najważniejsze media. Szczerze mówiąc, jesteśmy ciekawi, kto w dalszej kolejności wystąpi o obniżenie wynagrodzeń i napisze w tej sprawie list otwarty. Może górnicy, lekarze rezydenci i służby mundurowe?

Gdyby PiS nie był PiS-em, musielibyśmy bardzo pochwalić pomysł dodatkowego opodatkowania paliwa, i to przynajmniej z kilku powodów. Jak wiadomo, samochody powodują smog i autyzm, więc to potrzebne, iżby w zrównoważonej tkance miejskiej rak, jakim są auta, został skutecznie wyeliminowany. W ten sposób osoby zostaną zachęcone do spacerów i jazdy na rowerze, a im mniej samochodów, tym więcej miasta dla pieszych i rowerzystów.

Z drugiej strony stracą na prestiżu wszelkie rowerowe lub rolkowe masy krytyczne, iż masa krytyczna bez wkurzonych kierowców aut to jak sojowe latte bez sojowego mleka – bez sensu. Nas of kors ta podwyżka nie

dotknie, a jak już ktoś marudzi, to niech dalej tankuje za 50 zł i nie marudzi, nie musi wydawać więcej. A wszystkim przyzwyczajonym do jazdy samochodami przypominamy, iż np. na pigmentalnie uposażonym lądzie lokalsi potrafią godzinami biegać za antylopą, więc pokonanie pieszo kilkunastokilometrowej drogi do pracy naprawdę nie jest imponującym problemem, no sorry.

Jesteśmy oburzeni wyrokiem jednego z redneckich amerykańskich sądów, który uznał, iż osobomałpie, konkretnie osobomakakowi, nie przysługują prawa autorskie.

Głęboko nas zasmuca taka depersonalizacji osoby małpoosoby. Od tego się zaczyna, potem sądownie uzyskamy oświadczenie, iż małpoosoba nie jest tak naprawdę osobą, a na końcu, iż jest czymś innym i gorszym niż osoboosoba ludzka.

Pamiętajmy, iż nasza postawa wobec osobozwierząt jest wyznacznikiem naszego humanitaryzmu i otwartości. Małpoosobie również powinny więc przysługiwać tantiemy, powinna móc podpisywać kontrakty, zasiadać w jury różnych konkursów artystycznych i przyznawać nagrody, idziemy o zakład, iżby nikt się w tym nawet nie zorientował.

Dziwna sprawa, ale WHO chce zakazać... stosowania tłuszczów trans. Po kim jak po kim, ale po WHO nie spodziewalibyśmy się tego typu reakcji. Co będzie następne? Zakaz serków homogenizowanych? Świadectwa heteronormatywności dla przetworów?

WHO, nie idźcie tą drogą :(©℗

REKLAMA

eprasa.pl f1c0d8f093

dwaj panowie g

Po mieście krąży ciekawa lista. Zawiera nazwiska kolejnych do zamknięcia, tyle że ze specyficznej grupy zawodowej. Nie chodzi o ministrów poprzedniego reżimu PO-PSL ani nawet komendantów policji, lecz o ludzi biznesu, zwykle całkiem dużego. Co ciekawe, lista krąży właśnie w środowiskach biznesowych, a co jeszcze ciekawsze – niektórzy czytelnicy głośno wyrażają swoje rozczarowanie tym, że figuruje na niej X albo Y, podczas kiedy wszyscy przecież wiedzą, że do pudła powinien trafić Z albo V. Mamy nadzieję, że CBA uważnie wsłuchuje się w głosy środowisk biznesowych.

Po mieście krąży też ohydna plotka. Że zaczęło się rozprowadzanie kolejnej rekonstrukturyzacji rządu. Jedyna wątpliwość dotyczy tego, czy przeprowadzić ją jeszcze przed wyborami samorządowymi czy dopiero po nich. Najohydniejsza część tej plotki głosi, że rząd straciłby jednego wicepremiera, ale zyskał innego.

Tymczasem w Ameryce. Dla wszystkich przechwalających się, że uratowali Pomnik Katyński w Jersey City, mamy smutną wiadomość – tak naprawdę uratowali go nasi starsi bracia w wierze. Otóż burmistrz Fulop niespecjalnie przejmował się polskimi protestami, gdyż uważa przeciętnego Polaka za przeciętnego antysemitę. Żeby było zabawniej, kiedy odezwał się doń naczelny rabin Polski Michael Schudrich, Fulop też uznał go za antysemitę i nie chciał z nim gadać. Rabin Schudrich uruchomił jednak amerykańskich rabinów, którzy pogadali z Fulopem i trochę mu rozjaśnili sytuację.

W tzw. międzyczasie do Ameryki przybył prezydent Andrzej Sebastian, by przewodniczyć Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Co bardzo nas zmartwiło, gdyż w ONZ politycy są filmowani pod bardzo nieuczciwym kątem – trochę z góry. I ten kąt ujawnił, że Andrzej Sebastian idzie w ślady złego Donalda z Brukseli. To znaczy – traci włosy. Zaniepokojeni poprosiliśmy o nieoficjalny komentarz kancelarię. „Pan prezydent nosi swą łysinę z dumą" – usłyszeliśmy uspokajający komunikat.

Àpropos spraw międzynarodowych. Pewna pani ambasador dwojga nazwisk, będąca w awangardzie oporu wobec dobrej zmiany, została odkryta w zbiorze Instytutu Pamięci Narodowej

Pewna pani ambasador będąca w awangardzie oporu wobec dobrej zmiany została odkryta w zbiorze Instytutu Pamięci Narodowej

oporu wobec dobrej zmiany, została odkryta w zastrzeżonym do niedawna zbiorze IPN. A na kwicie, który podpisała, figuruje w towarzystwie takich tuzów bezpieki, jak TW „Lubomir", TW „Saim", TW „Meryk". Ale nam przykro.

Trochę się już zmęczyliśmy wnioskami Eine Totalopposition o odwołanie wszystkich. Czy dla odmiany rząd nie mógłby czasem składać wniosków o odwołanie liderów Eine Totalopposition? Znaczy jednego, bo – jak wiadomo – Rysiek Petru-Swetru odwołał się sam.

Àpropos Ryśka Petru. Mało kto wie, że prowadzi podwójne życie. Gdy w Warszawie peregrynuje od studia do studia, jest zawsze gładko wygolony. Jednak gdy zapuszcza się w interior, by promować Plan Petru, wtedy zapuszcza brodę. I my to rozumiemy. Życie poza Warszawą nie jest łatwe. Wśród dzikich trzeba wyglądać dziko.

FOT. ROBERT CARDZIŃSKI

Nie bardzo rozumiemy zapowiedź Ryśka, że wkrótce w Sejmie będzie koło Petru. Przecież to Aśka Schmidt jest od pewnego czasu koło Petru. A Aśka Schmidt jest koło Scheuring-Wielgus. Czyli Rysiek będzie koło Asiek, a nie koło Petru.

Wracając do podwójnego życia. Są nowe wieści w sprawie Staszka Gawłowskiego oraz lupanaru, który miał się podobno bez jego wiedzy zagnieździć w apartamencie Gawłowskich. Zgłosił się do nas jeden z lokalnych polityków PeŁo, który twierdzi, że Staszek ma jeszcze jeden lokal, którego nie wykazał w oświadczeniu majątkowym. Tam podobno urzędują więcej niż dwie córy Koryntu. Ale my w to nie wierzymy. Nasz informator w ramach walk frakcyjnych został kiedyś puknięty przez Staszka. Pewnie się mści.

Więzienie kształci. Podsłuchiwanie także. I tak nasze wiewiórki zasłyszały interesujące zdanie: „Staszek idzie na pajdę". Myśleliśmy, że chodzi o pajdę chleba i że Staszek w więzieniu jest głodny. Wspomniane zdanie padło w rozmowie dwóch prominentnych polityków PeŁo omawiających przyszły los Staszka. Okazało się jednak, że mieli co innego na myśli. W grypserze „pajda" to kara bez zawiasów. Już nas więc nie dziwi, dlaczego podczas Marszu Wolności nikt nie skandował: „Wolność dla Staszka". Dziwi nas natomiast, skąd politycy PeŁo tak dobrze znają grypserę.

Wersja nr 1: Znany krakowski majcher Jacek Majchrowski rozegrał wszystko genialnie. Udawał, że się waha, czy kandydować, trafił ze swym wahaniem do mediów, popromował się i zaszczepił w ludziach przekonanie, że bez niego Kraków jest zgubiony.

Wersja nr 2: Znany krakowski majcher Jacek Majchrowski rozegrał wszystko beznadziejnie. Udawał, że się waha, czy kandydować, hamletyzował i teraz jako kandydat na prezydenta Krakowa jest zgubiony.

Wyjaśnienie: Wersję 1. kolportują wpływowi politycy PeŁo. Wersję 2 rozpowszechniają wpływowi politycy Nowoczesnej Kropki. No to chyba już wiecie, która partia będzie po-

eprasa.pl f1c0d8f093

pierać Majchrowskiego, a która wystawi w Krakowie własnego kandydata.

Tak czy inaczej, majcher Majchrowski okazał się mistrzem suspensu. Decyzję o ponownym kandydowaniu ogłaszał w czwartek. A jeszcze we wtorek wszyscy w PeŁo i Nowoczesnej Kropce byli pewni na 110 proc., że nie będzie kandydował. Jeszcze w środę Władek Kosiniak-Kamysz i marszałek mazowiecki Struzik układali plany na przyszłość: jak to będzie pięknie, gdy po zwycięskich wyborach prezydent Kosiniak-Kamysz i ponownie wybrany marszałek Struzik będą rozgrywali w Krakowie i na Mazowszu strapioną Platformę.

Àpropos prezydentów i kandydatów. Marcin Krupa z Katowic (urzędujący i zarazem kandydujący) został podczas jazdy na motocyklu potrącony przez samochód wyjeżdżający z drogi podporządkowanej. Krupa niby mówi, że nic się nie stało, ale na Europejskim Kongresie Gospodarczym wystąpił demonstracyjnie w wielkim bucie ortopedycznym. Przypominamy, że oficjalnie kampania wyborcza jeszcze się nie rozpoczęła.

Lans metodą „na wypadek" nie ogranicza się do Katowic. Niedawno kandydat na prezydenta Warszawy Jacek Wojciechowicz, były wicek u Hanki, został wykreowany przez tabloidy na ofiarę wypadku. A było tak: Jackowi zgasł silnik. Zostawił auto na awaryjnych i pojechał po benzynę. Gdy wrócił, odkrył, że ktoś mu tymczasem skasował auto. Koniec. Mamy w związku z tym pytanie: Czy oddalibyście głos na kogoś, kto nie pamięta, żeby zatankować samochód?

Nie wiemy, czy pamiętacie poprzedni lans Wojciechowicza: na uczciwego. W lutym, gdy wysiadał z auta pod Teatrem Narodowym, wdepnął w zagubioną kopertę z pieniędzmi. Były to pieniążki, które uskładały biedne dzieci marzące o biletach na „Kordiana". Dzięki Wojciechowiczowi dziateczki mogły rozkoszować się Słowackim. Czekamy na opowieści o kotkach, które kandydat Wojciechowicz przypadkowo będzie zdejmował z drzew i wyjmował z kanałów burzowych. Jaki, Trzaskowski – patrzcie i uczcie się, chłopaki!

Ze świata mody. Co się dzieje, kiedy dwie kobiety przyjdą w takich samych sukienkach na imprezę? Wiadomo. A co kiedy kilku mężczyzn włoży na jedną imprezę takie same krawaty? Tak ostatnio było przy okazji święta 3 Maja. Otóż jedna ze służb wypuściła z okazji rocznicy odzyskania niepodległości pamiątkowy krawat. Nie umieściła na nim swego całego logo, lecz jedynie jego element, zwany popularnie wśród funkcjonariuszy sektorem. A że krawat jest zarówno dyskretny, jak i elegancki, w dodatku wykonany z prawdziwego milanezu, przypadał do gustu wielu prominentnym osobom. Patrzcie uważnie na zdjęcia i porównujcie. Po krawatach poznacie ich. ©℗

REKLAMA

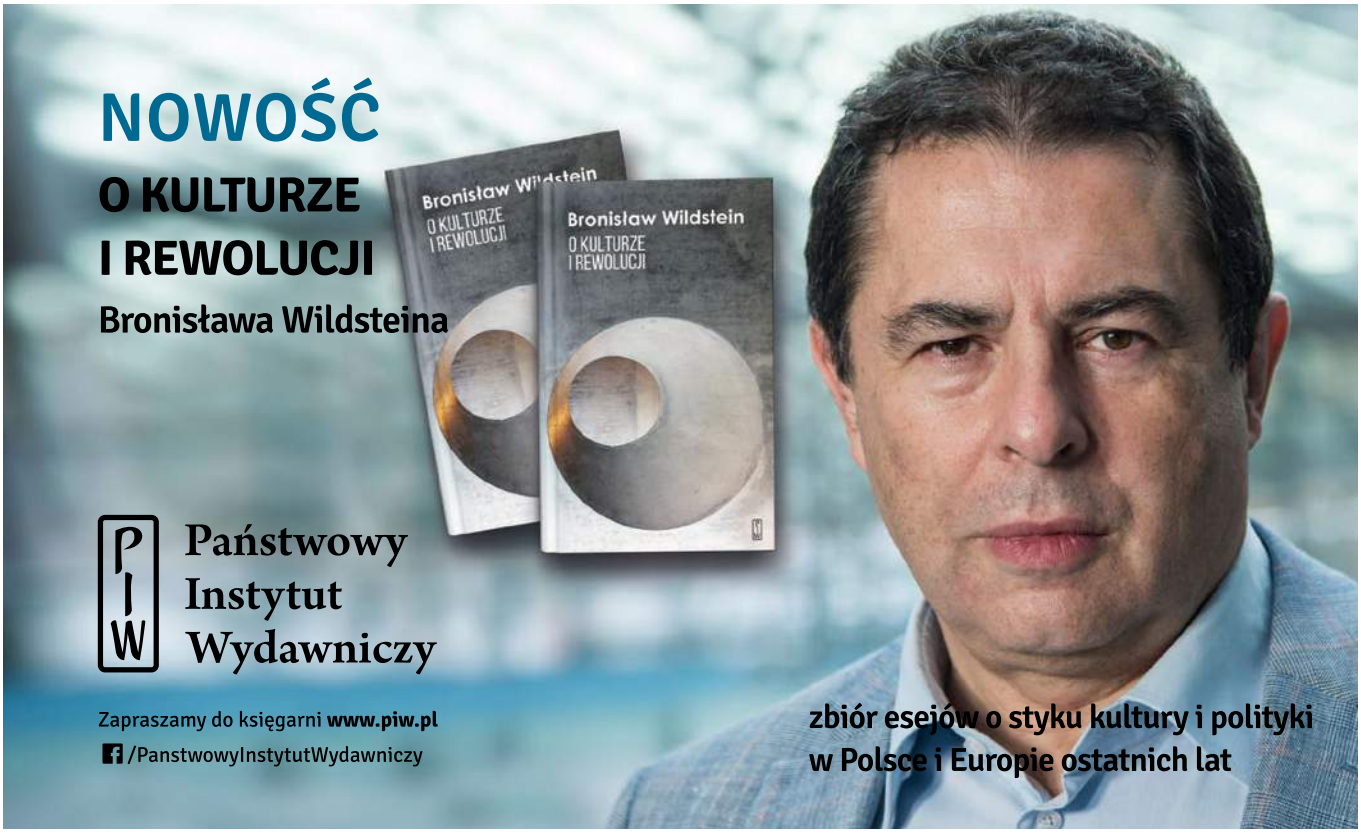

eprasa.pl f1c0d8f093

Maciej Pieczyński

Izraelczycy, Amerykanie, Rosjanie, Niemcy, wreszcie sami Polacy Polakom zgotowali ten los. Antypolonizm to ideologia łącząca ponad podziałami

Infamią

Antypolska retoryka części środowisk żydowskich sprowadza się do kategorycznych żądań, aby Polacy przestali wreszcie „wybielać" własną historię i „przyznali się" do współsprawstwa w Holokauście. Być może najbardziej wyrazistym i najpoważniejszym przykładem tej narracji był wywiad, którego „The Jerusalem Post" udzielił Gilad Szaron. „Nasz rachunek z Niemcami nigdy nie będzie zamknięty, ale wolę Niemcy, kraj, który rozliczył się ze swojej przeszłości, od Polski. Przez ponad 70 lat Polacy oszukiwali świat i samych siebie" – powiedział syn byłego premiera Ariela Szarona. Jako dowód na „polskie sprawstwo" podał pogrom kielecki. Rzecz jasna, nie przyjmuje do wiadomości tezy, zgodnie z którą była to sowiecka prowokacja: „Ponad rok po zakończeniu II wojny światowej w Polsce już nie było Niemców. Mimo to 42 Żydów zostało zamordowanych w Kielcach. Polacy nie mają się za kim schować, na kogo zrzucić winy za masakrę. Sami to zrobili".

Gilad Szaron, podobnie jak wcześniej robili to Lapid i Bergman, swój antypolski przekaz wzmacnia emocjonalnie opisanymi osobistymi wspomnieniami: „Profesor Goldman, bliski przyjaciel mojej rodziny, był dzieckiem w czasie wojny. Jego ojciec, dziadek i wujkowie zostali zamordowani przez Polaków, gdy wyruszyli na poszukiwanie żywności dla swojej rodziny, ukrywającej się w leśnym dole. To było tylko kilku spośród setek tysięcy Żydów zabitych przez Polaków". Jak widać, syn byłego premiera Izraela w swoich oderwanych od rzeczywistości szacunkach przewyższa nawet Jana Tomasza Grossa i Jana Grabowskiego razem wziętych. A tropem autora „Sąsiadów" wiernie podąża, wspominając o zbrodni w Jedwabnem. Podaje za Grossem liczbę 1,6 tys. ofiar pogromu, mimo że śledztwo IPN te szacunki zakwestionowało.

Dla izraelskich komentatorów opinia Grossa to jednak wciąż dogmat.

Szaron epatuje opisami polskiego okrucieństwa: „Szczęśliwcy zostali zastrzeleni, inni zostali pobici na śmierć, a większość została spalona żywcem". Przyznaje, co prawda, że „byli też inni Polacy", którzy Żydów ratowali, ale „stanowili znikomą mniejszość". Nie dodaje przy tym, że spośród wszystkich narodów to właśnie Polacy mogą się poszczycić największą liczbą Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. To by nie pasowało do negatywnego obrazu antysemickiej Polski: „Większość ludności nie była przesadnie zasmucona, by nie powiedzieć zachwycona tym, co się stało z Żydami. Decyzja o budowie obozów śmierci w Polsce nie była przypadkowa. Niemcy nie chcieli wykonywać brudnej roboty we własnym kraju, a »klimat antysemicki« w sąsiedniej Polsce bardzo dobrze odpowiadał ich potrzebom".

MACIE SIĘ PRZYZNAĆ

Szaron składa Polakom wybitnie niemoralną propozycję: „Stańcie więc przed lustrem i powiedzcie sobie: jesteśmy chorzy, ale chcemy być zdrowi. Gdy już przyznacie to przed samymi sobą, wyjdźcie na zewnątrz i powiedzcie to światu. Głośno i wyraźnie. Wszyscy wam przyklasną i powiedzą wam, że was kochają, i wtedy możecie rozpocząć program intensywnej terapii. To jedyny sposób na wyleczenie uzależnienia".

„The Times of Israel" pod koniec kwietnia poinformował, że przedstawiciele Stowarzyszenia Żydowskiego Czulent w Krakowie przekształcają piwnicę budynku, w którym znajduje się siedziba tej organizacji, w „bezpieczną przestrzeń", gdzie Żydzi będą mogli się schronić na wypadek, gdyby doszło do pogromu. W końcu Polska to kraj, „którego nacjonalistyczny rząd uwolnił niedawno to, co, jak mówią krytycy, od dziesięcioleci jest jedną z najgorszych fal antysemickiej retoryki".

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. FOTOLIA

w plecy

Nie milkną echa słów Mateusza Morawieckiego o „żydowskich sprawcach", które padły w odpowiedzi na prowokacyjne pytanie dziennikarza „New York Timesa" Ronena Bergmana. „Oświadczenie polskiego premiera jest antysemityzmem najstarszego rodzaju. Sprawcy nie są ofiarami. Państwo żydowskie nie pozwoli, aby pomordowanych obarczono winą za bycie zamordowanym" – napisał na Twitterze żydowski polityk Yair Lapid. Jak pamiętamy, zarówno Bergman, jak i Lapid kłamali, by oczernić Polskę. Obaj oskarżali publicznie Polaków o śmierć swoich dziadków w czasie Holokaustu, choć wcześniej podawali zupełnie inne wersje rodzinnych historii. Słowa Morawieckiego ugodziły w izraelski dogmat, zgodnie z którym Żydzi w czasie wojny byli ofiarami Zagłady, nigdy zaś i w żadnym stopniu nie byli jej współsprawcami. Lider Partii Pracy Awi Gabbaj zarzucił polskiemu premierowi, że „mówi jak każdy inny negacjonista Holokaustu". Na Twitterze oburzał się: „Krew milionów Żydów krzyczy z ziemi w Polsce na to wypaczanie historii i ucieczkę od winy". I dodawał: „Żydzi byli mordowani w Holokauście i Polacy brali czynny udział w ich mordowaniu".

„Należy pamiętać, że według najbardziej konserwatywnego szacunku 200 tys. Żydów w Polsce zostało zamordowanych przez Polaków"– z kolei ta wypowiedź Kseni Swietłowej z Bloku Syjonistycznego pokazuje, jak wielką siłę przebicia mają nieznajdujące potwierdzenia w faktach tezy Grossa czy Grabowskiego. Zdaniem Tsipi Livni, byłej wicepremier, „słowa Morawieckiego są niedopuszczalne, bo stawiają na równi osoby, które brały aktywny udział w zabijaniu, z ofiarami". O wypowiedzi polskiego premiera przypomniał niedawno Lev Golinkin z „The Los Angeles Times". Publicysta postawił Morawieckiego w jednym rzędzie z Mahmudem Abbasem, przywódcą Autonomii Palestyńskiej, który stwierdził, że Żydzi swoim zachowaniem sami doprowadzili do Holokaustu. Lev Golinkin dziwi się, że o ile Abbas za swoje słowa został słusznie potępiony, o tyle Morawiecki spotkał się ze strony środowisk żydowskich ze zbyt umiarkowaną krytyką. Zdaniem publicysty nazywanie jego wypowiedzi „niefortunną" to eufemizm, bo przecież jest on premierem narodu, „którego 60 tys. przedstawicieli wyszło w listopadzie na ulice, skandując hasło »Czysta krew!«".

AMUNICJA ZNAD WISŁY

Często ataki na Polskę wychodzą ze strony polskich dziennikarzy. Przemysław Wielgosz, lewicowy publicysta, który w przeszłości pisał m.in. dla „Przekroju" czy „Trybuny", skomentował polską politykę historyczną na łamach „Guardiana".

„Polscy Żydzi boją się o swoją przyszłość. Powodem obaw jest nowe prawo o Holokauście" – pisze Wielgosz. „Prawem o Holokauście" w zachodnich oraz izraelskich mediach nazywa się nowelizację ustawy o IPN. Ten pozornie oczywisty skrót myślowy jest w istocie groźnym zabiegiem propagandowym. Sugeruje bowiem, że prawdziwym celem nowelizacji jest negacja Holokaustu. „Pod pozorem obrony dobrego imienia narodu polskiego ustawa otwiera drogę do kryminalizacji, do karania każdego, kto chce ujawnić mroczne karty historii Polski, takie jak antysemickie pogromy przed wojną, w jej trakcie i po niej" – grzmi lewicowy publicysta. W jego ocenie rzeczywistym celem Warszawy jest utrwalenie narodowej tradycji prawicowej. „PiS nie ukrywa, że jest częścią tej

eprasa.pl f1c0d8f093

tradycji. Język i idee przywódców tej partii, a także ich polityka wobec uchodźców, mniejszości oraz opozycji, czerpią wprost z retoryki i strategii polskiego nacjonalizmu pierwszej połowy XX w.” – uważa Wielgosz. Przedwojenny polski nacjonalizm nazywa „wściekle antysemickim”. Tym samym PiS jego zdaniem kontynuuje „tradycję polskiego antysemityzmu”. Dlatego partia rządząca „stara się zamknąć usta historykom, którzy przypominają o zbrodniach polskiego nacjonalizmu”. Jego zdaniem ugrupowanie Kaczyńskiego „chce zatrzeć w pamięci ważny element własnej tożsamości oraz oczyścić się z mrocznego dziedzictwa pogromów i donosów”. Wielgosz nie ogranicza się do oceny historii. Wieszczy „powrót do lat trzydziestych”. I pisze: „Im skuteczniej rządzący Polską będą wytwarzać zbiorową amnezję, tym łatwiej będzie im przekształcić to dziedzictwo w rzeczywistość, organizując kampanię podejrzeń wobec obcych, szerząc nienawiść do uchodźców i feministek, przymykając oczy na faszystów z ONR i Młodzieży Wszechpolskiej oraz na rosnące ataki na imigrantów”.

Wydaje się, że pokłosiem skandalu, który wybuchł wokół ustawy o IPN, było buńczuczne zachowanie Fulopa. Gdyby nie zmasowana kampania przypisująca Polsce współudział w Holokauście, być może burmistrz Jersey nie wpadłby na pomysł, aby nazwać marszałka Karczewskiego „antysemitą” i „białym nacjonalistą”

Szeroki rozgłos za granicą zyskała dwutomowa praca pt. „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski”. Jeden z autorów, prof. Jan Grabowski, stwierdził, że w czasie II wojny światowej Polacy zamordowali ok. 200 tys. Żydów. Dodał przy tym, że to tylko jego szacunki, z którymi wielu innych badaczy może się nie zgodzić. O 200 tys. żydowskich ofiar Polaków pisał wcześniej Jan Tomasz Gross w „Złotych żniwach”.

Alina Skibińska z Centrum Badań nad Zagładą Żydów już kilka lat temu w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” oceniła, że „na obecnym etapie badań trudno byłoby obronić taką liczbę”, wyjaśniając jednak, skąd takie kalkulacje: „Szacuje się, że ok. 10 proc. polskich Żydów znajdujących się pod okupacją niemiecką uciekło przed niemieckimi deportacjami. Albo zbiegło z gett podczas pacyfikacji, albo już z samych transportów do obozów. Daje to więc co najmniej 250 tys. osób. Spośród tych 250 tys. po wojnie w Centralnym Komitecie Żydów w Polsce zarejestrowało się nie więcej niż 60 tys.”. Pozostali zginęli. Nie oznacza to jednak, że wszystkich wymordowali Polacy. Zdaniem Aliny Skibińskiej wielu z nich zostało wyłapanych przez Niemców już w pierwszych godzinach po ucieczce. Tak czy inaczej Jan Grabowski swojej tezy o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków uzasadnić nie potrafił. „Według badań polscy sąsiedzi wydali więcej Żydów, niż wcześniej sądzono” – głosi tytuł recenzji książki „Dalej jest noc…”, opublikowanej na portalu internetowym „The Jerusalem Post”. Autor artykułu, powołując się na ustalenia zespołu Engelking i Grabowskiego, informuje swoich czytelników: „Ponad pół miliona spośród miejscowych Żydów, którzy nie dożyli końca wojny, zginęło przede wszystkim w wyniku działań swoich nieżydowskich sąsiadów – Polaków”. Autor przyznaje przy tym, że wśród Polaków jest najwięcej odznaczonych przez instytut Yad Vashem.

Również na stronie „The Jerusalem Post” można przeczytać recenzję rosyjskiego filmu historycznego „Sobibór”, który od niedawna można obejrzeć również w polskich kinach. To opowieść o buncie więźniów niemieckiego obozu zagłady. Na czele powstańców stanął sowiecki oficer żydowskiego pochodzenia Aleksandr Pieczerski. Ta historia symbolicznie łączy izraelską i rosyjską pamięć narodową. „Co zaskakujące, w filmie niewiele uwagi poświęca się ukraińskim strażnikom obozu czy też Polakom, którzy wydawali (Niemcom) zbiegłych więźniów – pisze autor artykułu. – A to przecież te wątki historii Pieczerskiego, które świetnie pasowałyby do kampanii oszczerstw, jaką Kreml prowadzi przeciwko narodom, w których nastroje antyrosyjskie są powszechne”. Paradoksalnie więc rosyjski film wojenny jest zdaniem izraelskiego dziennikarza zbyt mało antypolski.

WSPÓLNE ZDANIE ROSJI I IZRAELA

Oskarżanie Polski i Polaków o „antysemityzm” czy nawet „faszyzm” dość łatwo przychodzi wielu różnym środowiskom. Motywy Izraela są dobrze znane, zwłaszcza od momentu wybuchu awantury wokół nowelizacji ustawy o IPN. Amerykanie wspierają zarówno roszczenia majątkowe organizacji żydowskich, jak i politykę historyczną Jerozolimy. Zachodnioeuropejscy politycy i publicyści patrzą na polskich patriotów maszerujących ulicami Warszawy 11 listopada jak na odradzający się ruch faszystowski. Pars pro toto nagłaśniane są radykalne hasła i incydenty, które choćby w Niemczech stanowią normę, w Polsce zaś margines, a jednak na ich podstawie kreuje się negatywny wizerunek Polski. Równie łatwo Rosji przychodzi forsowanie tezy o „polskim faszyzmie”. Zwłaszcza po wprowadzeniu w życie nowelizacji ustawy dekomunizacyjnej. Dzień Zwycięstwa 9 maja jest w Rosji bodaj najważniejszym świętem narodowym. Większość Rosjan, niezależnie od poglądów – od komunistów, przez nacjonalistów, do liberałów – odczuwa szczerą dumę z pokonania Hitlera. Dlatego likwidację sowieckich pomników traktują jak zamach na dobre imię pogromców faszyzmu. A jeśli ktoś podnosi rękę na antyfaszystów, to znaczy, że sam musi być faszystą. Prawda o sowieckiej okupacji Polski do Rosjan nie przemawia.

W tej sprawie Izrael i Rosja mówią jednym głosem. Szczególnie że dla Żydów przyjście Sowietów oznaczało wyzwolenie obozów koncentracyjnych. W oczach Moskwy Armia Krajowa to faszyści, którzy „tylko trochę” walczyli z Niemcami, a przede wszystkim mordowali Żydów i komunistów. Moskwa oskarża też Warszawę o bojkot rosyjskiego wkładu w budowę nowego muzeum obozu zagłady w Sobiborze. – Jestem w stanie zrozumieć Żydów, jeżeli chodzi o stosunek do Sowietów. Dla nas przyjście Armii Czerwonej oznaczało zniewolenie, natomiast dla nich – wyzwolenie z obozów. Jeżeli chcemy walczyć z antypolską propagandą, to sami powinniśmy trzymać się faktów

eprasa.pl f1c0d8f093

historycznych – komentuje prof. Bogdan Musiał. Dodaje jednak: – Oczywiście równie dobrze można powiedzieć, że Niemcy w 1941 r. też przynieśli w pewnym sensie „wyzwolenie” od Sowietów na Kresach Wschodnich. Tak czy inaczej, negowanie faktu, że czerwonoarmiści ratowali pozostałych przy życiu Żydów, jest błędem.

W Polsce powszechna jest oczywista wiedza o tym, że II wojnę światową wywołał pakt Ribbentrop-Mołotow. Tymczasem rosyjscy propagandyści, broniąc Moskwy przed zarzutami, sugerują, że to Polska wywołała konflikt, biorąc wspólnie z Niemcami udział w rozbiorze Czechosłowacji, dokonanym w 1938 r. w rezultacie „zmowy monachijskiej”. Rok później „drapieżnik stał się ofiarą”. Z tej perspektywy Polska sama jest sobie winna – „trzeba było nie paktować z Hitlerem”. To oczywiście manipulacja, ale często powtarzana w kremlowskich mediach. Patrząc na Marsz Niepodległości, Rosjanie widzą to samo co Europa Zachodnia – „odrodzenie faszyzmu”. I budują analogie pomiędzy polskimi narodowcami a ukraińskimi banderowcami. Ukraińcy w polskiej postawie wobec kultu OUN-UPA widzą oczywiście mniej lub bardziej świadome sprzyjanie Moskwie. Na polu bitwy o historię odpowiadają czasem narracją, która może budzić skojarzenia z dyskursem neokolonialnym. Warto wspomnieć, że wicepremier Ukrainy ds. europejskich była obecna podczas odsłonięcia pomnika poświęconego ofiarom „polskich okupantów”. Im bardziej zdecydowanie Warszawa wysuwa pretensje wobec Kijowa, tym chętniej Ukraińcy wspominają o rzekomej „polskiej okupacji” lat II RP.

FALA DLA FULOPA I INNYCH

Wydaje się, że – nomen omen – pokłosiem skandalu, który wybuchł wokół ustawy o IPN, było buńczuczne zachowanie Stevena Fulopa. Gdyby nie zmasowana kampania przypisująca Polakom współudział w Holokauście, być może burmistrz Jersey City nie wpadłby na pomysł, aby marszałka Karczewskiego pogardliwie nazwać „antysemitą” i „białym nacjonalistą”. – Jeśli jest wolność słowa, to będą zawsze ataki. Jednak, po pierwsze, osoby takie jak Stanisław Karczewski nie powinny się podkładać. Jeśli chce się odezwać, to niech się spyta jak. Jersey City to nie Nowe Miasto nad Pilicą. Ameryka to nie Polska. Każdy powinien zrozumieć, że w dobie mediów społecznościowych i Internetu każda informacja rozchodzi się jak szalona i nabiera swego życia. Politycy powinni mieć szczególną odpowiedzialność za słowa – komentuje prof. Marek Chodakiewicz. – W tej chwili antypolska fala wróciła w formie neostalinowskiej narracji, której debiutem nad Wisłą był głośny artykuł w „Gazecie Wyborczej” o rzekomym mordowaniu Żydów przez powstańców warszawskich, oraz sławetny pamflet o Jedwabnem pt. „Sąsiedzi”. Ta neostalinowska narracja obowiązuje w „nauce” amerykańskiej od lat 70. Została ona przetłumaczona wtedy też na popkulturę i jest obowiązującą w USA kliszą – dodaje.

– Dla mnie, jako człowieka, który studiował w Niemczech i Wielkiej Brytanii, ta antypolska nagonka nie jest żadnym zaskoczeniem. Jedyną zasługą nieszczęsnej ustawy o IPN jest fakt, że Polacy wreszcie zrozumieli, jak bardzo fatalny mają wizerunek na świecie – mówi prof. Musiał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl f1c0d8f093

Z Krzysztofem Wyszkowskim, opozycjonistą w PRL, członkiem Kolegium IPN
rozmawia Maciej Pieczyński

Polska polityka zagraniczna jest zbyt łagodna

MACIEJ PIECZYŃSKI: Jako działacz ruchu antykomunistycznego mógłby mi pan wytłumaczyć, dlaczego Polska na świecie kojarzy się dziś nie z obaleniem totalitaryzmu, ale z jedną stodołą w Jedwabnem?

KRZYSZTOF WYSZKOWSKI: To cena, jaką od stuleci płacimy za nasze położenie geopolityczne. W Sierpniu '80 zyskaliśmy pewne uznanie, ale nawet za czasów Solidarności wcale nie mieliśmy wyłącznie dobrej prasy. Już wtedy prowadzona była akcja propagandowa, której celem było skojarzenie polskości z antysemityzmem. W Europie Zachodniej i USA rozpowszechniano oszczerstwa, że nie warto wierzyć w pozytywne ideały Solidarności, ponieważ Polacy jako naród fundamentalnie antysemicki są współsprawcami Holokaustu. W październiku 1981 r. do „Tygodnika Solidarność", w którym byłem sekretarzem redakcji, zadzwonił Eugeniusz Smolar, kierownik polskiej sekcji BBC z ostrzeżeniem, że na Zachodzie już trwa antypolska kampania medialna, oparta na oskarżeniach o antysemityzm. Zwróciłem się o pomoc do zaprzyjaźnionych historyków, małżeństwa Kerstenów. Krystyna Kersten napisała artykuł demaskujący tzw. pogrom kielecki jako prowokację NKWD-UB-MO. To było celne kontruderzenie, bo właśnie sowiecka agentura była w dużej mierze odpowiedzialna za tę kampanię.

Ten punkt widzenia nie przebił się na Zachodzie.

Niestety, za każdym razem, gdy Polakom udaje się osiągnąć sukces i próbują wyzwalać się spod zagranicznego jarzma, napotykają skoordynowany opór wrogich sił. Antypolską politykę komunistów kontynuowali w III RP postkomuniści. W 1996 r. w Kielcach podczas rocznicy mordu z 4 czerwca 1946 r. zorganizowano antysemicką awanturę. Zgłosiłem sprawę do prokuratury, ale to był czas rządów SLD, więc nie było szans na ujawnienie prowokatorów. Postkomunistom zależało na kompromitacji Polski w oczach świata i zablokowaniu jej wstąpienia do NATO.

Chyba jednak nie powinniśmy sprowadzać wszystkiego do kremlowskich prowokacji. Antypolonizm części środowisk żydowskich w USA z pewnością nie jest dziełem Moskwy.

Związki amerykańskiej lewicy z Sowietami wywodzą się jeszcze z czasów bolszewizmu i były kontynuowane przez NKWD i KGB. Te same środowiska amerykańskie, które dziś są zaangażowane w nagonkę na Polskę, wcześniej walczyły z tzw. makkartyzmem, czyli z amerykańskim ruchem na rzecz ograniczenia komunistycznych wpływów w Stanach. W tzw. liberalnej, czyli lewicowej, prasie amerykańskiej wciąż można przeczytać, że płatni agenci sowieccy, szpiegujący USA, byli „ludźmi dobrej woli", którzy chcieli „bronić świata przed wojną atomową".

Nie sposób jednak „amerykańskiego antypolonizmu" sprowadzić wyłącznie do sowieckiej agentury wpływu. Antypolskie argumenty środowisk żydowskich w USA raczej nie zostały sformułowane na Kremlu.

Wpływów Moskwy nie można jednak lekceważyć.

Stwierdził pan, że książka „Dalej jest noc..." Barbary Engelking, Jana Grabowskiego i Dariusza Libionki „robi wrażenie przygotowania gruntu pod uzasadnienie roszczeń żydowskich". Łączenie tych dwóch rzeczy może brzmieć jak teoria spiskowa.

Ta książka jest pracą zbiorową, więc niekoniecznie wszyscy jej autorzy musieli mieć takie intencje. Chociaż akurat Jan Grabowski jest bardzo zaangażowany w bieżącą politykę jako aktywny uczestnik kampanii antypolskiej na Zachodzie.

We wstępie do książki przyznał, że jest ona „rodzajem sporu z polską racją stanu". Czy państwo polskie powinno w ten spór wejść i zareagować?

Jest to zadanie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Instytutu Pamięci Narodowej, ale także obowiązek zbiorowy.

Tylko jak to zrobić, żeby nie cenzurować, nie naruszać wolności badań naukowych? Można się nie zgadzać z Janem Grabowskim, ale to jednak historyk.

To, kim jest z zawodu, nie ma znaczenia. Rosja też ma całe zastępy historyków, którzy w praktyce pełnią funkcję propagandystów. Co do Grabowskiego to trzeba po pierwsze ujawnić wszystkie nadużycia, których dokonuje w swoich pracach, na przykład twierdzenie, że Polacy zamordowali 200 tys. Żydów. Ten człowiek głosi wbrew faktom, że Polacy jako naród są winni Holokaustu. Już to pokazuje, że jest historykiem, który za swoje główne zadanie uznaje nie badania, ale antypolską działalność propagandową.

A może takim jak Grabowski lepiej odpowiadać merytoryczną krytyką niż cenzurą? Edukować i prostować, zamiast karać?

Nie może być mowy o cenzurze, ale państwo polskie ma obowiązek dbania o prawdę historyczną i powinno wypełniać ten obowiązek aktywnie. Specjaliści

eprasa.pl f1c0d8f093

z różnych dziedzin, w tym historycy IPN, powinni dokładnie przeanalizować zawartość książki „Dalej jest noc…", sprawdzić, czy w badaniach zachowane zostały zasady naukowe, w tym krytyczny stosunek do źródeł. Warto odnotować, że nie jest to odosobnione opracowanie nakierowane na szkodzenie Polsce. W tym samym czasie ukazała się jawnie fałszująca historię książka Joanny Tokarskiej-Bakir na temat pogromu kieleckiego „Pod klątwą". Autorka tyleż bezczelnie co naiwnie neguje sowieckie autorstwo prowokacji, dzięki czemu „osiąga", zdaje się, z góry zamierzony cel – oskarżenie, że antysemityzm Polaków miał tak wielkie natężenie, że wybuchła zbrodnia „sama z siebie". Wobec ogromu zła NKWD i UB były bezradne… I w tym przypadku potrzebna jest fachowa analiza historyczna.

Mówimy o kolejnej książce polskiego autora. Bardzo często to właśnie Polacy uczestniczą w nagonce na Polskę. Dotyczy to zarówno polityki historycznej, jak i oceny działań obecnego rządu. Krytyka pod adresem Polski wychodzi często spod pióra polskich publicystów, dziennikarzy, historyków.

Oczywiście są w Polsce środowiska polityczne, które chcą Polsce szkodzić, Polskę upokarzać, poniżać, fałszować jej historię. W każdym kraju są ludzie z różnych powodów gotowi nająć się do walki przeciwko własnemu narodowi. Podobnie jest również w Izraelu i w USA.

Jednak Izrael i USA potrafią się przed nimi bronić. My nie. Polacy niechętni Polsce są dominującym w świecie polskim głosem.

W odróżnieniu od USA czy Izraela niestety wciąż jesteśmy zbyt słabi, by móc skutecznie przeciwstawiać się manipulacjom wielkich potęg. Dzisiaj nadal, nawet w Unii Europejskiej, jesteśmy traktowani jako ktoś gorszy. Tacy byle kto, jak Timmermans czy Verhofstadt, mogą bezkarnie nas poniżać. Antypolonizm kwitnie, bo Polska nadal jest przedmiotem przetargu między Wschodem a Zachodem, ze szczególnym uwzględnieniem relacji Rosja – Niemcy, a nie stać nas choćby materialnie na zrównoważenie wrogiej propagandy. To jednak bynajmniej nie oznacza, że mamy się poddać. Musimy się twardo bronić i ostro odpowiadać na ataki. Są przebłyski nadziei. Co prawda, Donald Trump jest bardzo uzależniony od lobby żydowskiego w USA i podpisał niebezpieczną dla nas ustawę 447, jednak z drugiej strony pamiętajmy, że ten sam Donald Trump wygłosił na pl. Krasińskich piękne przemówienie, odwołujące się m.in. do bohaterstwa powstańców warszawskich – już te jego słowa to wspaniała broń w walce z antypolonizmem! Musimy wykorzystywać własne atuty. Na fałszywe oskarżenia antypolskich propagandystów trzeba twardo i zdecydowanie reagować, kłamstwom i manipulacjom przeciwstawiając dobrze udokumentowaną prawdę historyczną. Oczywiście, łatwo nie jest i nie będzie. Ale tak jak polska gospodarka coraz lepiej sobie radzi pomimo silnej konkurencji, tak i w dziedzinie polityki historycznej mamy szansę przebić się ze swoimi argumentami. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu nikt na świecie nie mówił o rtm. Witoldzie Pileckim. Dzisiaj ten polski bohater cieszy się uznaniem również w Izraelu. To wyraźna wskazówka, że sukcesy są owocem konsekwentnego wysiłku.

Jak powinien zostać potraktowany Steven Fulop? Burmistrz Jersey City nie przeprosił, co prawda, za swój atak na marszałka Karczewskiego, ale w wymijający sposób dał do zrozumienia, że swoich słów żałuje.

To cyniczny krętacz, którego należy zmusić do przeprosin! To, że polski konsul generalny w Nowym Jorku przechodzi do porządku dziennego nad zachowaniem Fulopa, to żenujący objaw uległości polskiej dyplomacji wobec oszczerców Polski.

Burmistrz zapowiedział, że przyjedzie do Polski. Może powinien dostać zakaz wjazdu?

Ależ nie! I oprócz odwiedzenia Auschwitz, co zapowiedział, powinien złożyć hołd w Muzeum Katyńskim.

Gdyby miał pan okazję się z nim spotkać, co by mu pan powiedział?

Nie warto się z nim spotykać. To taki aferzysta jak kiedyś rabin Avi Weiss z Nowego Jorku, który do Polski przyjechał tylko po to, aby na oczach całego świata rozpętać antypolską awanturę. Fulop też może wykorzystać swój przyjazd do zdobycia rozgłosu naszym kosztem. Takich ludzi powinniśmy ignorować do czasu złożenia przeprosin. Niech to będzie warunek wstępny, żeby w ogóle

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

eprasa.pl f1c0d8f093

z tym człowiekiem podjąć jakąkolwiek rozmowę. Jeżeli nie przeprosi, powinien pozostawać dla polskich instytucji anonimowy.

Z kolei Steven Spielberg twierdzi, że „zostanie aresztowany w Polsce" za opowiedzenie antypolskiej anegdoty z planu „Listy Schindlera".

Tego typu komentarz można jedynie wyśmiać. Nie namawiam polskich polityków do tego, by w sprawach stosunków polsko-żydowskich byli równie agresywni co premier Netanjahu. Uważam jednak, że polska polityka zagraniczna jest zbyt łagodna. Trzeba dbać o własną godność. Świętujemy oficjalnie rocznice powstania państwa Izrael. Tymczasem państwo Izrael w żaden sposób nie celebruje polskich rocznic. Nie docenia nawet wkładu Polski w walkę z Niemcami w czasie II wojny światowej. W Izraelu nie uważa się 1 września 1939 r. za początek nieszczęść żydowskich. A co za tym idzie – upadek państwa polskiego nie jest postrzegany jako tragedia, której konsekwencją był Holokaust. To są jednak kwestie symboliczne. Moim zdaniem na antypolonizm trzeba patrzeć z szerszej, geopolitycznej perspektywy. 8–9 maja w Moskwie przebywał Beniamin Netanjahu. Wspólnie z Putinem, w serdecznej atmosferze, świętował Dzień Zwycięstwa…

W kwestii polityki historycznej Rosja i Izrael są bliskimi sojusznikami. Bodaj największym problemem w relacjach na linii Warszawa – Moskwa jest sprawa dekomunizacji. Kreml nas atakuje za to, że likwidujemy pomniki sowieckie. Dla nas to symbole okupacji, dla Rosjan – symbole „zwycięstwa nad faszyzmem". Izrael stoi po stronie Kremla, bo Armia Czerwona zniewalała Polskę, ale przy okazji wyzwalała obozy koncentracyjne.

Trzeba bronić naszej perspektywy. Używajmy więc naszego języka: nie walczymy z pomnikami, tylko porządkujemy przestrzeń symboliczną. Dlatego jestem za przenoszeniem pomników sowieckich na cmentarze i jestem zwolennikiem zburzenia Pałacu Stalina. Niedawno, z okazji kolejnej rocznicy powstania państwa Izrael, ten budynek został oświetlony na biało-niebiesko. Prześmiesznie to wyszło. Symbol sowieckiej dominacji nad Polską w barwach narodowych państwa Izrael – to bardzo symboliczne! Zadaniem Polaków jest to, czego Żydzi nie robią – czyli odkłamywanie stosunków sowiecko--żydowskich. Szeroko znana jest teza, zgodnie z którą Sowieci podbili Polskę rękami żydokomuny. Trzeba jednak pamiętać, że religijni, konserwatywni Żydzi byli prześladowani przez komunistów podobnie jak Polacy i po agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 r. masowo uciekali spod sowieckiej władzy pod niemiecką okupację, choć wiedzieli, co ich może czekać. Rozumiem, że amerykańscy Żydzi nie chcą słyszeć o sowieckim i rosyjskim antysemityzmie, ale my nie możemy się na nich oglądać i powinniśmy przypominać, że Stalin rozpoczął drugą fazę Holokaustu i choć do tego ostatecznie nie doszło, to mit sowieckiej dobroci dla Żydów jest zbudowany na trupach co najmniej setek tysięcy żydowskich ofiar.

Gilad Szaron, syn byłego premiera Izraela, zaproponował, byśmy przyznali się do winy, a następnie przeszli „reedukację", niczym w jakimś nazistowskim czy komunistycznym obozie reedukacyjnym. To pomysł barbarzyński

Jan Nowak-Jeziorański, były dyrektor Radia Wolna Europa, powiedział kiedyś, że Polacy muszą siedzieć cicho w relacjach z Żydami, ponieważ przewaga żydowska jest tak potężna, że nie ma sensu kopać się z koniem. W związku z tym jego zdaniem należy położyć uszy po sobie, podkulić ogon i się podporządkować. To bzdura! Nie wolno się „kopać" z Żydami – na antypolonizm nie wolno odpowiadać antysemityzmem. Jeśli interesy części diaspory żydowskiej skłaniają ją do współpracy ze strategicznymi wrogami Polski, to nasz interes polega na pokazywaniu światu prawdy, całej prawdy i tylko prawdy.

Jak na antypolską retorykę wpłynęłaby ewentualna decyzja polskiej prokuratury o wznowieniu ekshumacji w Jedwabnem?

To jest dobry przykład. Polska prokuratura ma obowiązek dokończenia ekshumacji w Jedwabnem. Pamiętajmy, że prace ekshumacyjne zostały wstrzymane, gdy w jednym z ciał znaleziono kulę, a więc w momencie, gdy okazało się, że organizatorami zbrodni byli Niemcy. Nie chodzi jednak o to, by dowieść czyjejś winy lub niewinności. Najważniejsza jest prawda. Różnice religijne nie uniemożliwiają godnego uczczenia pamięci wszystkich ofiar tej zbrodni, co bez ekshumacji nie jest możliwe, nie wiemy przecież nawet, ile osób tam zginęło.

O „polskim antysemityzmie" czy „polskim faszyzmie" mówi się w Izraelu, w Rosji, w Niemczech, w Europie Zachodniej, w USA… Nie za dużo tych przeciwników jak na słabą Polskę?

To siła zorganizowanej wrogiej propagandy. Nie jesteśmy w stanie skłonić dziennikarzy mediów na Zachodzie, by przestali brać pieniądze za szkalowanie Polski i zechcieli pisać prawdę o Polsce. Musielibyśmy za to drogo zapłacić, a nie tędy droga. W latach 1996–1997 Rosja wydała wielkie pieniądze na kampanię antypolską w mediach europejskich i amerykańskich, a mimo to Polska została członkiem NATO. Walczmy twardo i czekajmy na zmianę koniunktury.

A gdybyśmy przystali na warunki naszych przeciwników i przyznali, że jesteśmy „narodem sprawców" – daliby nam spokój czy poczuliby krew i nas zniszczyli?

Gilad Szaron, syn byłego premiera Izraela, zaproponował, byśmy przyznali się do winy, a następnie przeszli „reedukację", niczym w jakimś nazistowskim czy komunistycznym obozie reedukacyjnym. To pomysł barbarzyński, niegodny członka narodu, który przeszedł represje sowieckie i Holokaust. Nie wyobrażam sobie, by jakikolwiek Polak mógł tak obrazić własny naród i własne państwo. Pamiętajmy, że Żydzi ponieśli największą ofiarę, ale to Polacy walczyli z oboma ludobójczymi mocarstwami jako cały naród, gdy większość Żydów przetrwała poza ich zasięgiem, nie udzielając swoim współbraciom istotnej pomocy. Naród polski i państwo polskie wycierpiało już tak wiele, że teraz musimy stanąć w obronie prawdy. Czy ją obronimy, tylko Bóg jeden wie, bo nie my zdecydujemy o losach świata. Mamy jednak własne obowiązki, z których nie wolno nam rezygnować. Nie wolno przyłożyć ręki do kłamstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Ameryka nie kocha Polski

Tomasz Kwaśnicki

Podpisanie przez prezydenta USA ustawy 447 kończy spekulacje na temat stosunku Ameryki do Polski. Odtąd jedynie ludzie żywiący dla Stanów uczucia religijne mogą wierzyć w słowa Trumpa: „America loves Poland!"

Przemówienie prezydenta USA wygłoszone w Warszawie niemal rok temu, gdy z miedzianym czołem wykrzykiwał słowa o miłości Ameryki do Polski, było bez wątpienia piękne, wzruszające i bezwstydnie obłudne. Po sprawie Just Act nikt nie może mieć dłużej wątpliwości, że „America loves Israel, and Israel only". Pisząc „America", nie mam na myśli zwykłych amerykańskich obywateli, mieszkańców Lincoln w Nebrasce czy Springfield w Massachusetts, których stosunek do Polski, jeśli w ogóle jakiś posiadają, zależy od aktualnej linii największych portali i stacji nadawczych. Pisząc „America", mam na myśli skorumpowane amerykańskie elity polityczne – „waszyngtońskie bagno" – które w kampanii wyborczej Trump obiecywał „osuszyć".

Trump ani nie kocha Polski, ani nie rozprawił się z „deep state", ani nie zamierza powstrzymywać się od wywoływania nowych wojen na świecie, a tym bardziej od zakończenia tych rozpoczętych przez swoich poprzedników. Przyczyną takiego obrotu spraw jest znaczenie i pozycja lobby izraelskiego w amerykańskiej kulturze politycznej. Otóż, co zatrważające, polscy komentatorzy, politycy i eksperci (jak sami każą się tytułować) na ogół kompletnie nie zdają sobie sprawy ze złudzenia, którego ofiarą padają. Traktują oni lobby żydowskie w Stanach Zjednoczonych jako po prostu kolejną grupę wpływu, być może najsprawniejszą i najpotężniejszą, ale co do zasady nieróżniącą się od lobby niemieckiego, koreańskiego czy innuickiego, jeśli takie istnieje. W rzeczywistości lobby żydowskie ma tyle wspólnego z jakimkolwiek innym lobby zainstalowanym w Waszyngtonie co ferrari z meleksem: oba są samochodami, ale na tym podobieństwa się kończą. Jeśli nawet lobby izraelskie przypomina w czymś inne lobby, to jest to w takim przypadku jedyna tego typu grupa, która może sobie pozwolić na oficjalne finansowanie amerykańskich kandydatów na prezydenta, obecnie urzędującego nie wyłączając.

Już sam ten fakt wystarczy, by zrozumieć, że w przypadku „lobby izraelskiego" mamy do czynienia ze zwykłym homonimem – nosi ono tę samą nazwę co inne lobby, ale jest czymś zupełnie innym. Dlatego tak nieznośnie brzmią dziś mądre rady udzielane Polakom przez ludzi wiecznie spragnionych publicznej atencji. „Bierzmy przykład z Izraela! Zamiast narzekać, stwórzmy własne lobby!" – można od pewnego czasu usłyszeć z ust dziarskich patriotów. Trudno o przejaw większej ignorancji. Nie ma najmniejszego znaczenia, jak wielkie środki Rzeczpospolita wyłoży na stworzenie polskiego lobby nad Potomakiem, i tak będzie ono zawsze grać w tej samej lidze co wszystkie pozostałe narodowe grupy interesu w tym kraju – czyli w niższej niż liga izraelska.

Polskie lobby w Ameryce trzeba mieć, tak samo jak trzeba myć zęby przed snem lub płacić za bilet w tramwaju, ale twierdzenie, że którakolwiek z tych rzeczy mogłaby w jakiś sposób zrównoważyć żydowską potęgę w Stanach Zjednoczonych, zasługuje wyłącznie na litościwe odesłanie do książek, takich chociażby jak krótkie opracowanie „Lobby izraelskie w USA", pióra wybitnych przedstawicieli obu nurtów amerykańskiego realizmu, profesorów Johna Mearsheimera i Stephena Walta. Autorzy szczegółowo, punkt po punkcie, opisują sposób, w jaki „ogon merda psem", jak sami określają panujące za Atlantykiem stosunki.

PIENIĄDZE I WPŁYWY

W ciągu zaledwie 30 lat, od czasów wojny Jom Kippur z 1973 r. do roku 2003, Izrael otrzymał od Stanów Zjednoczonych bezpośrednią pomoc finansową „grubo przekraczającą 140 mld dol." – piszą Mearsheimer i Walt, powołując się na oficjalne dane US AID. „Izrael otrzymuje 3 mld dol. każdego roku, co stanowi około jednej piątej amerykańskiego budżetu przeznaczanego na pomoc zagraniczną. W przeliczeniu per capita to tak, jakby Stany Zjednoczone przekazywały każdemu Izraelczykowi stypendium w wysokości 500 dol. rocznie. Wielkości te są uderzające, zwłaszcza gdy uświadomimy sobie, że Izrael jest obecnie zasobnym, uprzemysłowionym państwem z dochodem na osobę porównywalnym do Korei Południowej lub Hiszpanii" – piszą autorzy raportu.

Od 2006 r., w którym powstało przywołane tu opracowanie, sytuacja uległa jedynie pogorszeniu. Sam Barack Obama, który utrzymywał otwarcie chłodne relacje z Netanjahu, przekazał Izraelowi 38 mld dol. Obecnie tacy proizraelscy senatorowie jak Lindsey Graham i Chris Coons domagają się, by w ciągu najbliższej dekady USA przekazały Tel Awiwowi minimum kolejnych 38 mld dol. I wszystko wskazuje na to, że ich żądaniom stanie się zadość. Prezydencki budżet na rok fiskalny 2019 przewiduje zwiększenie rocznej dotacji dla Izraela o kolejne 200 mln dol. do łącznej kwoty 3,3 mld.

Same kwoty nie oddają jednak w pełni wyjątkowej pozycji Izraela.

eprasa.pl f1c0d8f093

„Inni beneficjenci amerykańskiej pomocy – piszą Mearsheimer i Walt – otrzymują swoją pomoc w kwartalnych ratach, podczas gdy Izrael otrzymuje całą kwotę od razu na początku każdego roku podatkowego, dzięki czemu może czerpać dodatkowe zyski. Większość biorców amerykańskiej pomocy wojskowej jest zobowiązana do wydania całej sumy w Stanach Zjednoczonych, ale Izraelowi wolno wydać ok. 25 proc. swojej dotacji na wsparcie własnego przemysłu obronnego. Izrael jest jedynym beneficjentem, na którym nie ciąży obowiązek rozliczania się z tego, jak wydaje otrzymaną pomoc, co jest wyjątkiem czyniącym praktycznie niemożliwym powstrzymanie go przed wydawaniem pieniędzy na cele, którym USA się sprzeciwiają, jak budowanie osiedli mieszkaniowych na Zachodnim Brzegu [Jordanu – przyp. red.]".

Wbrew pokładanym nadziejom prezydentura Trumpa nie przyniosła zmiany. W 2015 r. Sheldon Adelson, największy donator Partii Republikańskiej, syjonista i amerykański magnat kasynowy, przekazał 25 mln dol. na kampanię prezydencką Donalda Trumpa. Fakt ten przeszedł w Polsce bez większego echa (o ile w ogóle został odnotowany), a przecież informacja o tym, że gorący żydowski patriota, do tego zadeklarowany zwolennik premiera Netanjahu, dosłownie kupił sobie amerykańskiego prezydenta, zawiera wszelkie pozory istotnego doniesienia. Konsekwencją tej sytuacji jest wiele zjawisk, z których najważniejsze wydają się: uznanie Jerozolimy za stolicę Izraela (osobiste życzenie Adelsona), dwa bezprawne amerykańskie ataki rakietowe na Syrię, nominacja Johna Boltona (protegowanego Adelsona) na szefa Departamentu Stanu oraz – w konsekwencji – wypowiedzenie umowy nuklearnej z Iranem (JCPOA), co z dużym prawdopodobieństwem zwiastuje kolejną krwawą wojnę na Bliskim Wschodzie. Dodać należy jeszcze, że Adelson nie jest oczywiście jedynym żydowskim miliarderem korumpującym (czyt. wspierającym) amerykańskich przywódców. Wspomnieć można tu chociażby Paula Singera, Normana Bramana czy Rebekah Mercer. Wszyscy ci „nienawidzący Iranu miliarderzy są teraz gotowi [po wypowiedzeniu JCPOA – przyp. red.] wyłożyć dziesiątki milionów dolarów na Partię Republikańską Trumpa, aby pomóc jej wygrać w listopadowych wyborach" – twierdzi były oficer CIA Philip Giraldi.

FOT. AHMAD GHARABLI/AFP/EAST NEWS

Obraz izraelskiej potęgi w USA byłby niepełny bez wspomnienia o wpływach w mediach. „Liberalne media nie mogą mówić o Izraelu jako sile napędowej naszej polityki zagranicznej, ponieważ ich kierownictwo kocha Izrael" – pisze Philip Weiss, redaktor portalu Mondoweiss. com. „David Cohen organizował zbiórki pieniędzy na izraelską armię. Teraz prowadzi Comcast, który jest właścicielem NBC. Gary Ginsberg pisał przemówienia dla Beniamina Netanjahu. Obecnie jest prezesem w Time Warnerze. Wyobraźcie sobie, jakie byłoby oburzenie, gdyby ci faceci pracowali dla Rosjan. Ale tu chodzi o Izrael, więc czymś nieuprzejmym, szorstkim lub szkodliwym jest mówienie o takich powiązaniach". O „proizraelskich uprzedzeniach" dominujących w amerykańskich mediach piszą oczywiście również Mearsheimer i Walt, wymieniając w tym kontekście m.in. takie tytuły jak „The New York Times" czy „The Wall Street Journal". Jak przyznał w swoich wspomnieniach były redaktor naczelny „The New York Times", Max Frankel: „Byłem o wiele głębiej przywiązany do Izraela, niż miałem odwagę to przyznać". I dalej: „Uzbrojony w moją wiedzę o Izraelu, w moje przyjaźnie, które tam zawarłem, sam pisałem większość naszych komentarzy o Bliskim Wschodzie. Jak spostrzegła to większość arabskich i żydowskich czytelników, pisałem je z proizraelskiej perspektywy". Z kolei były szef kolumny redakcyjnej w „The Wall Street Journal", Robert Bartley, oświadczał: „Shamir, Sharon, Bibi – czegokolwiek ci chłopcy chcą, ja nie mam z tym żadnych problemów".

ZŁAMAĆ POLSKĘ

Bez względu na to, jak „antysemickie" wydają się przywołane powyżej fakty, jesteśmy zmuszeni je mimo to uwzględnić, chcąc przedstawić adekwatny opis niebezpiecznej sytuacji, w której znalazła się obecnie Polska. Analizowanie faktów skrępowane dogmatem politycznej poprawności kończy się bowiem zwykle tragicznie, jak wówczas gdy ktoś przychodzi z nożem na strzelaninę. Świadkami takiej sytuacji byliśmy przy okazji

eprasa.pl f1c0d8f093

niedawnej izraelsko-amerykańskiej nagonki na Polskę z powodu ustawy o IPN. Podobnie jak dziś, tak i wówczas rząd uparcie odmawiał przyjęcia do wiadomości brutalnej prawdy o tym, z czym właściwie ma do czynienia. Zamiast bronić Polski przy użyciu oficjalnych dyplomatycznych instytucji i narzędzi do tego celu przecież powołanych, premier zajął się nagrywaniem filmików i organizowaniem konferencji prasowych, jakby na tym właśnie polegała rola przywódcy poważnego kraju. Efektem tej postawy było, jak pamiętamy, odarcie Rzeczypospolitej z pozorów jakiejkolwiek powagi na arenie międzynarodowej.

Nauczony tamtym doświadczeniem rząd postanowił tym razem w ogóle nie reagować. Takiego tematu jak ustawa 447 po prostu nie ma. Jak przekonuje poseł Robert Winnicki, rząd nie tylko nie podjął żadnych wysiłków mających na celu zablokowanie szkodliwej dla Polski ustawy, lecz także wręcz „pacyfikowano w tym zakresie Polonię amerykańską. Co więcej, z informacji przekazanych przez pana Jacka Marczyńskiego, dyrektora stanowego Kongresu Polonii Amerykańskiej w Wirginii, wynika, że również z Białego Domu otrzymano informację, że polska dyplomacja nie zabiegała o to, by ustawa 447 nie została przyjęta" – twierdził Winnicki w rozmowie z portalem Kresy.pl. Zwracano już zresztą wielokrotnie uwagę, że Kongres przyjął ustawę akurat w dniu, w którym w Waszyngtonie przebywali zarówno szef MSZ Jacek Czaputowicz, jak i wicepremier Jarosław Gowin; obaj na równi zbagatelizowali interesujące nas zagadnienie.

Innego zdania są wszyscy trzeźwi obserwatorzy wydarzeń. Nawet taki zwolennik budowania pozycji Polski na sojuszu z USA jak prof. Chodakiewicz uważa, że: „Sankcje negatywne mogą oznaczać – w razie odrzucenia roszczeń – bojkot polskich produktów, cła zaporowe na nie albo odmowę udzielenia kredytu. Są setki rozmaitych kijów i marchewek w kategorii sankcji". Według Chodakiewicza ustawa 447 może skutkować „nękaniem Polski na rozmaitych płaszczyznach aż do czasu, gdy się złamie tak jak Szwajcaria w swoim czasie". Nie tylko Szwajcaria, lecz także nawet taki kraj jak Niemcy muszą się ugiąć w obliczu grożących mu amerykańskich sankcji gospodarczych. W opublikowanym 13 maja przez „Bild am Sonntag" sondażu 80 proc. badanych opowiedziało się za pozostaniem Niemiec w umowie nuklearnej z Iranem, mimo to szef niemieckiego MSZ Heiko Maas twierdzi, że „trudno będzie chronić interesy niemieckich firm współpracujących ze stroną irańską po tym, gdy Stany Zjednoczone nałożą sankcje na Teheran". Ma rację. Dlatego przywoływanie w kontekście ustawy 447 argumentów natury prawnej czy nawet moralnej jest oczywiście dowodem jeszcze większej naiwności niż nawoływania do zrównoważenia żydowskich wpływów w Waszyngtonie jakimś wirtualnym polskim lobby.

WYJŚCIE Z MATRIKSA

Czy zatem Polska ma w ogóle jakiekolwiek szanse w starciu z izraelsko-amerykańskim walcem? Od razu odpowiedzmy, że nie ma najmniejszych, ponieważ rządzą nią ludzie, których polityka polega na realizowaniu ideologicznych założeń, takich chociażby jak to, że świat jest czarno-biały, że zagraża nam rosyjska inwazja, a Stany Zjednoczone są „gwarantem" naszego bezpieczeństwa.

Wystarczy jednak, by Polską rządził polityk pokroju Viktora Orbána, człowiek, który zdaje sobie sprawę, że każde z powyższych twierdzeń jest wątpliwe, aby przyszłość Rzeczypospolitej zaczęła rysować się w o wiele jaśniejszych barwach niż obecnie. Ostatecznie przecież zostaniemy złupieni nie dlatego, że zmusi nas do tego jakaś obiektywna rzeczywistość, ale dlatego, że uwierzyliśmy w matriks, który sami dla siebie stworzyliśmy. Pójście na konfrontację z USA, Izraelem i lobby żydowskim oznaczałoby konieczność sfalsyfikowania głównej osi narracyjnej rządowej propagandy, zakwestionowanie sensowności wielu już podjętych i kosztownych posunięć, zanegowanie obrazu świata pieczołowicie wtłaczanego od lat masom żelaznego elektoratu. Kto z rządzących dziś Polską gotów jest otwarcie przyznać, że Ameryka jednak nie kocha Polski i że jeśli zapewnia nam „ochronę", to kosztuje ona bardzo dużo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu Kresy.pl.

eprasa.pl f1c0d8f093

Piotr Semka

Czy PiS bez ambitnych planów nie stanie się partią ciepłej wody w kranie? I czy zachowa swój dynamizm z ostatnich dwóch lat?

Osłabienie nadziei na szybkie zakończenie sporu z Komisją Europejską to kolejne po wybuchu ostrego spięcia z Izraelem dość bolesne zderzenie obozu PiS z rzeczywistością. Jeśli prawdą jest, że Jarosław Kaczyński przeznaczył pierwsze dwa lata rządów swojej partii na żmudne wyrąbywanie pozycji dla swojej formacji w kraju i za granicą, a kolejne dwa lata wyznaczył na łagodzenie sporów – to teraz może okazać się, że druga część planu nie musi przebiegać gładko.

NIE TAK ŁATWE TO WSZYSTKO

Gdyby politycy Platformy potrafili choć na chwilę złagodzić swój neurotyczny ton, mogliby dziś naprawdę boleśnie dopiekać PiS. Mogliby na przykład mówić: „Przekonywaliście wszystkich, że unikamy walki w obronie dobrego imienia Polaków w kwestii ich odpowiedzialności za Holokaust jedynie z powodu tchórzostwa. Dzisiaj sami widzicie, jak łatwo obudzić złe emocje środowisk żydowskich w Izraelu i w Ameryce. Sami odkrywacie, jak USA bezwarunkowo stają po stronie Żydów, i polski wysiłek na rzecz siły NATO tego nie równoważy. Sugerowaliście, że dlatego ostrożnie postępujemy z Brukselą, bo słuchamy się niewolniczo Berlina. Teraz czujecie na własnej skórze, że łatwo z Junckerem i Timmermansem wszcząć konflikt, ale znacznie trudniej go zakończyć".

Gdyby Platformersi tak mówili, byliby dla PiS kłopotliwi, ale jak zwykle obca jest im brytyjska zasada „Less is more". Ich liderzy wolą, tak jak to było na Marszu Wolności 12 maja, używać wobec rządzącej partii apokaliptycznego tonu „Wasz koniec jest bliski" – co u zwykłych wyborców musi budzić raczej wzruszenie ramion.

Niezależnie jednak od tego, co mogliby mówić lub co mówią politycy PO, sami politycy PiS czują się dość zdezorientowani nowym etapem w dziejach partii, której twarzą pół roku temu był

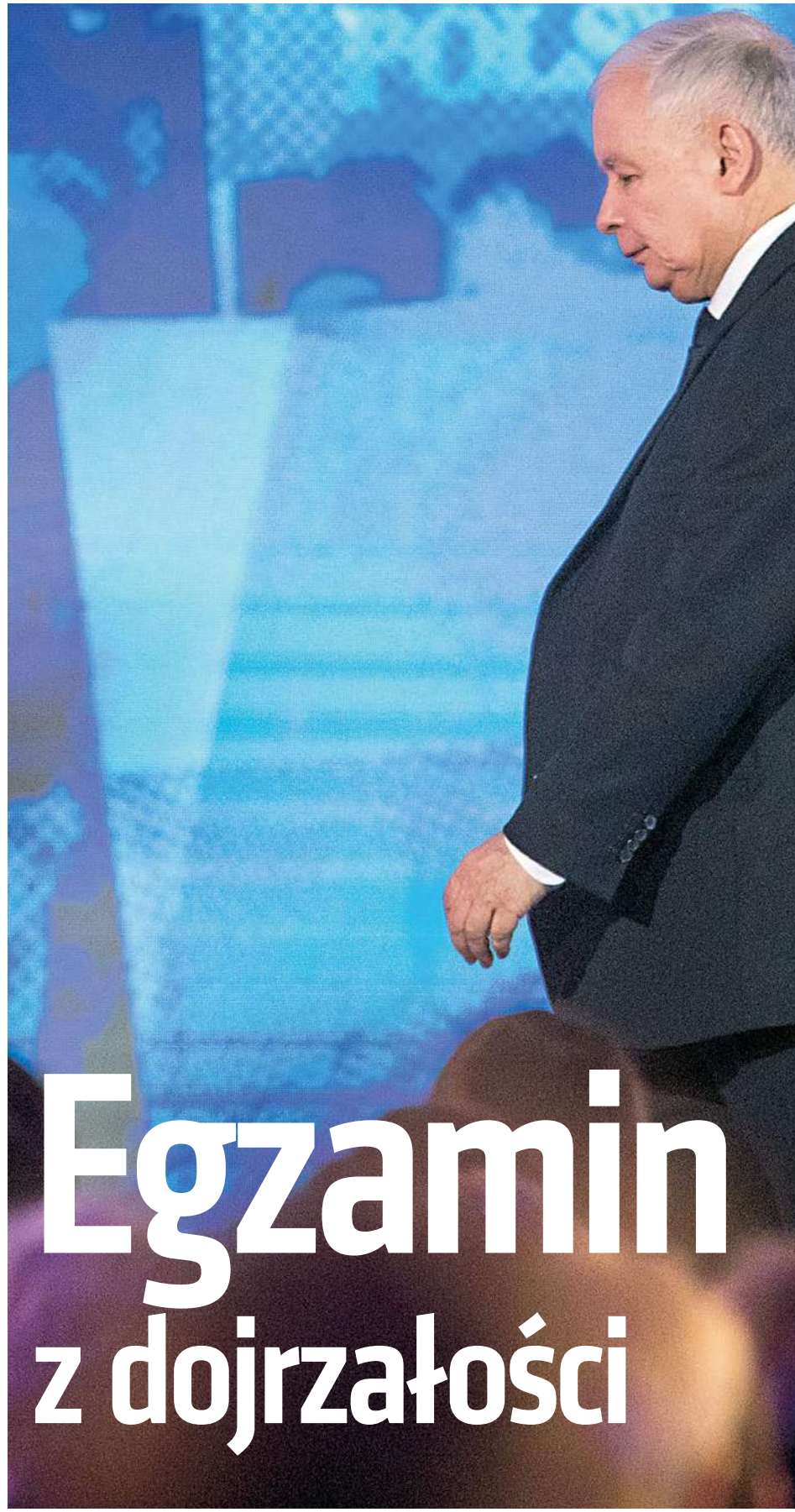

Egzamin z dojrzałości

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

jeszcze Antoni Macierewicz, a dziś są nią Mateusz Morawiecki i wyciszony Jacek Czaputowicz.

Istotnie, liczba frontów, na których w krótkim czasie wyciszono aktywność, jest znaczna. Łagodzenie sporu z Brukselą i cierpliwe szukanie zgody z Izraelem to dwa najbardziej znane przykłady cofnięcia się PiS.

W wypadku negocjacji z Brukselą proces poprawek w ustawodawstwie otaczała aura niedomówień i dość tajemniczych sugestii, że wszystko skończy się dobrze. Na tym tle impas w rozmowach stawia w kłopotliwej sytuacji rząd PiS. Tym bardziej że po prawej stronie rozlegają się już pierwsze głosy, że niezależnie od uspokajających deklaracji nasza dyplomacja zgodziła się na niebezpieczny precedens. Oto tylnymi drzwiami zaakceptowano w końcu niebezpieczną zasadę, w której pozbawiona demokratycznego mandatu Komisja Europejska wywalczyła sobie prawo do korygowania ustaw uchwalonych przez wybrany demokratycznie polski parlament. Jeśli do ugody dojdzie, kwestia ta może zejść na dalszy plan. Jeśli jednak w Komisji zwyciężą zwolennicy upokarzania Polski – sprawa będzie się jątrzyła.

Swoje słabości wykazała też nienowa taktyka PiS wobec obywatelskiego projektu ustawy „Zatrzymaj aborcję", który ma na celu ochronę życia dzieci nienarodzonych z poważnymi wadami rozwojowymi. Każdy w PiS domyśla się od dawna, że Jarosław Kaczyński jest przeciwny naruszaniu tego, co zwykło się nazywać kompromisem aborcyjnym. Jednak dotąd PiS udawało się utrącać próby zmiany dotychczasowego ustawodawstwa, nie występowało przeciw takim projektom wprost, ale topiło je w proceduralnych kruczkach. Tym razem stosuje się podobną taktykę, ale stało się i coś nowego. Posłanka PiS Joanna Lichocka ostro zaatakowała inicjatorkę akcji „Zatrzymaj aborcję" Kaję Godek.

Powszechnie odebrano to jako działanie uzgodnione z Jarosławem Kaczyńskim. Mogło tak być, ale nie musiało. Tyle że wskutek dość pokrętnej polityki, którą PiS prowadzi w tej sprawie od lat, rozgoryczenie działaczy pro-liferskich i części Kościoła objawiło się w bardzo wyraźny sposób. Kaja Godek także sięga po ostry język: „PiS jest dziś na sznurku feministek. Głosuje przeciw życiu" – mówiła. Jej zdaniem Prawu i Sprawiedliwości sondaże „spadają nie dlatego, że zajmuje się aborcją, tylko dlatego, że się nią nie zajmuje". Bardzo ostro skrytykował PiS największy tygodnik katolicki w Polsce „Gość Niedzielny" piórem Bartosza Bartczaka: „Prawo i Sprawiedliwość najbardziej jednak zawiodło tam, gdzie nikt się tego nie spodziewał. Tak jak PO, partia głosząca hasła liberalizmu gospodarczego, podniosła podatki, tak PiS, głoszący hasła obrony życia i rodziny, zablokował prace nad zmianami prawa znoszącymi aborcję eugeniczną i nie chce wypowiedzieć lewicowej konwencji antyprzemocowej. Dla partii rządzącej istotniejszy staje się głos krzykliwej, ale mniejszościowej grupy feministek, niż prawie miliona osób, które podpisały się za ochroną nienarodzonych, niepełnosprawnych dzieci".

Inną kwestią, w której tym razem nie PiS, ale szerzej: „obóz dobrej zmiany" zirytował twardy elektorat, była kwestia ustawy degradacyjnej. Owszem, to prezydent Andrzej Duda zawetował ustawę, która miała odebrać stopnie generalskie członkom WRON, ale prezes Kaczyński bardzo łatwo pogodził się z tym gestem i uznał sprawę za zamkniętą, zapewne tak samo jak głowa państwa nie chcąc antagonizować elektoratu mundurowego.

Innym rozczarowaniem dla wyborów tożsamościowych jest wyraźne zniknięcie z agendy PiS zapowiedzi dekoncentracji mediów. Ten temat, jak nietrudno zgadnąć, schowano pod sukno z powodu obawy o gniewne reakcje Niemiec – największego obcego gracza na naszym rynku medialnym. A bez choćby neutralności Niemiec nie da się załagodzić sporu z Komisją Europejską. Tyle że wyraziście niechętny ton „Faktu", „Polski the Times" czy TVN wobec PiS nie tylko nie słabnie, lecz wręcz się wzmacnia.

W tej „kolejce rozżalonych" swoje miejsce zajmuje wreszcie elektorat PiS o wrażliwości wolnorynkowej. Nie kryje on irytacji rozmaitymi formami mniej lub bardziej ukrytych podatków. Od daniny solidarnościowej po nową opłatę emisyjną od paliw. To skłania opozycję do mściwej radości. Politycy PO i Nowoczesnej wskazują: „Morawiecki musiał zauważać dno kasy, jeśli używa takich chwytów do wzmacniania budżetu".

Nadzieje obozu opozycyjnego najtrafniej ubrał w słowa Mariusz Janicki z „Polityki": „PiS nie stracił poparcia na niszczeniu demokratycznego systemu, ale za to dostaje gębę zwyczajnej władzy, tak jak sobie życzy – zatem jeśli już

eprasa.pl f1c0d8f093

zaczął rozdawać budżetowe pieniądze, to ma dawać więcej. I będzie rozliczany nie z tego, co już rozdał, ale z tego, czego nie będzie chciał albo mógł dać".

Ta przesycona mściwością nadzieja Janickiego na kryzys ma jeden racjonalny element. Jeśli PiS przez kolejne dwa lata chce jechać głównie na swoich osiągnięciach socjalnych – to opozycja będzie zachęcać kolejne grupy do wyciągania ręki. Jak bardzo spodobała się jej taka taktyka, świadczy skala jej poparcia dla protestu niepełnosprawnych.

Takie mogą być pułapki wchodzenia w buty „normalnej władzy" i odłożenia na bok „tożsamościowych" projektów.

Jak zyskać „miękkich" bez utraty „twardych"? Jeden z polityków z czołówki PiS wyjaśnia: „Osoby, których wskazania w sondażach od dwóch lat dają PiS status najsilniejszej partii, tworzą dwie grupy. 60 proc. to elektorat twardy, emocjonalnie bardzo mocno związany z partią, który oczekuje działań tożsamościowych. Chce kontynuowania zmian i wykorzystywania posiadanej w Sejmie większości do zmieniania kraju. Tyle że druga część naszego elektoratu – ok. 40 proc. – popiera PiS, bo uznaje, że korzysta na naszych zmianach socjalnie lub uznaje nas za czynnik bezpieczeństwa, np. wskutek zatrzymania imigracji. I to te »dodatkowe« 40 proc. może zadecydować o naszej ponownej wysokiej wygranej w 2019 r. Dlatego przez kolejne dwa lata musimy dokonać nie lada sztuki – nie stracić twardego elektoratu, ale i utrzymać przy sobie »dodatkowych wyborców«".

Jeśli PiS przez kolejne dwa lata chce jechać głównie na swoich osiągnięciach socjalnych, to opozycja będzie zachęcać kolejne grupy do wyciągania ręki

Tyle że PiS najwyraźniej nie bardzo wie, jak zachowywać się w takiej wersji „light". Ostre zmiany z lat 2015–2017 wywoływały furię opozycji, ale dawały „premię za odwagę", pozwalały narzucać własne tematy opozycji. I przede wszystkim dawały poczucie parcia naprzód. Teraz w nowej roli wszystko przestało być tak przejrzyste i jednoznaczne.

Polityk PiS mówi: „Morawiecki miał przyciągnąć do PiS środowiska centrowe, nastawione na modernizację kraju". Problem w tym, że od momentu wyboru większość czasu zajmuje mu gaszenie kolejnych pożarów. Od sporu o nowelizację ustawy o IPN poprzez emocje wokół premii dla ministrów podgrzane niezręcznym wystąpieniem Beaty Szydło do okupacji Sejmu przez opiekunów osób niepełnosprawnych. Musi więc raz kokietować młodych technokratów, innym razem lansować „piątkę Morawieckiego". A jego ambitne projekty wymagają czasu.

Premier raz chce łagodzić retorykę, innym razem musi przyjmować rolę zagończyka, broniąc ministra Piotra Glińskiego w Sejmie.

Nie może nawet pozostawić tej roli prezesowi Kaczyńskiemu, bo ten musi skupiać się w ostatnim czasie na leczeniu kolana. Beacie Szydło nikt nie stawiał zadań tak bardzo rozbieżnych.

ZAPLECZE JEST ZAROBIONE

W starym dowcipie z lat PRL przybyły na budowę kontroler zauważa, że robotnicy biegają tam i nazad z pustymi taczkami. Gdy pyta robotnika, dlaczego się tak dzieje, słyszy w odpowiedzi: „A bo u nas na budowie jest taki zapieprz, że nawet nie ma kiedy taczek załadować".

Jeśliby zadać pytanie o intelektualne zaplecze rządu, to w ostatnim czasie wskazać można jedynie na powstanie Centrum Analiz Strategicznych na czele z prof. Waldemarem Paruchem. Swoje miejsce ma w środowisku PiS cykl konferencji „Polska wielki projekt". Jednak już takie think tanki, jak np. Fundacja Sobieskiego, zostały wyssane z analityków z racji ogromnych potrzeb administracji rządowej. Czym innym jest bieżące administrowanie, a czym innym wymagające czasu na czytanie i dyskutowanie kreślenie tendencji długookresowych.

Stara mądrość mówi: nawiązuj przyjaźnie, gdy jesteś mocny i coś od ciebie zależy, gdy będziesz słaby, będzie to znacznie trudniejsze. PiS teraz decyduje o wielu sprawach i głos z zewnątrz może być w dyskusjach nad tym czy innym rozwiązaniem cenny. Tymczasem wychodzenie poza własne środowisko w fazie studiów nad nowymi ustawami nie bywa zbyt częste.

Pisałem już niemal rok temu, że PiS nie potrafił przyciągnąć do dialogu z sobą dwóch aktywnych intelektualnie środowisk: Klubu Jagiellońskiego i Nowej Konfederacji. Od tego czasu oba środowiska coraz bardziej oddalają się od PiS i dryfują ku opozycji. Ostatnio portale Jagielloński24 i Nowa Konfederacja zainicjowały debaty pod nazwą „Spięcie" na wybrane tematy modernizacji kraju z „Krytyką Liberalną", „Krytyką Polityczną" i „Kontaktem" – pismem katolickiej lewicy. To oddalanie się środowisk jeszcze parę lat temu mogących być partnerem w projektach modernizacyjnych powinno dać PiS do myślenia

W partii Jarosława Kaczyńskiego ceni się lojalność typu żołnierskiego. Nie wzięło się to znikąd – to reakcja obronna wypracowana przez lata ostrych ataków z zewnątrz na tę partię. Bez niej PiS podzieliłby się już dawno. Jednak lojalność żołnierska odpycha wiele cennych ludzi z zewnątrz. A brak takich osób musi odbijać się na jakości intelektualnego zaplecza rządu.

Okres łagodzenia kantów w polityce PiS może ten proces wzmocnić. Bo skoro partia nie toczy już zbyt wielu wojen, w których „chodzi o coś" – to zwiększać się będzie rola płytkich PR-owców, z drugiej strony nasilić się może rywalizacja o wpływy i kompetencje.

NORMALNOŚĆ W NIENORMALNYM ŚWIECIE

PiS długie lata spędził w opozycji. Bycie w opozycji powoduje nawyk mówienia o polityce, a nie jej praktycznego robienia. Brak wpływu na realne rządzenie odreagowuje się gromkimi i pryncypialnymi deklaracjami.

Teraz PiS jest sam u władzy i zaczyna rozumieć różnicę między królestwem aspiracji a przestrzenią możliwości. To egzamin z dojrzałości.

Zwrot ku realizmowi może być bowiem zwrotem ku cynizmowi lub skupieniu się na władzy jako wartości samej w sobie. Partia, która szła po zdobycie władzy po coś – w razie zbytniego przechyłu w kierunku płaskiego realizmu straci cały swój powab.

W razie dryfu PiS w kierunku „polityki ciepłej wody w kranie" zawsze znajdą się tacy, którzy będą to robić znacznie sprawniej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

CZYTAJ CO TYDZIEŃ W LEPSZEJ CENIE

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

DWIE KSIĄŻKI
„DZISIAJ TRZEBA WYBRAĆ"
„WENANTY KATARZYNIEC"

Cena: 145 zł
Oszczędność: 94 zł

+

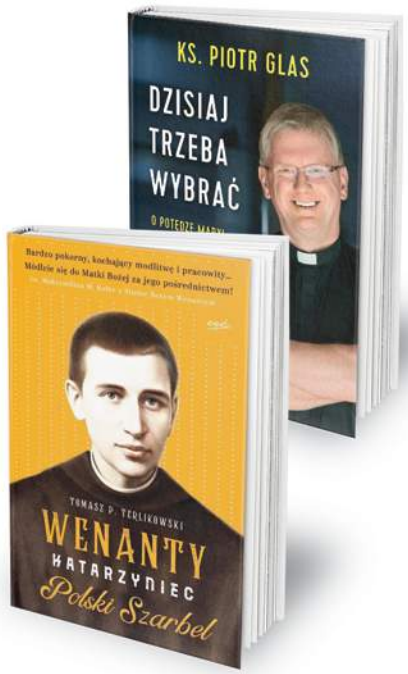

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9305
E-WYDANIE

Cena: 349 zł
Oszczędność: 359 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f1c0d8f093

Z Arkadiuszem Mularczykiem, posłem PiS
rozmawia Marcin Makowski

Kaczyński jest gwarancją stabilizacji politycznej

MARCIN MAKOWSKI: „Panie premierze, czy pan ma serce z kamienia?" – pytał pan w 2014 r. Donalda Tuska, gdy w Sejmie rozpoczął się pierwszy protest rodziców osób niepełnosprawnych. Rozmawiał pan wtedy z nimi, przynosił kanapki. Co powiedziałby pan im dzisiaj, gdy w tym samym miejscu spędzili już miesiąc?

ARKADIUSZ MULARCZYK: Dla mnie obie sytuacje są diametralnie różne. Tamten protest był wynikiem niemal dwuletnich walk rodziców niepełnosprawnych dzieci i moich z antyspołeczną polityką rządu PO-PSL. Faktycznie mocno ich wtedy wspierałem, zorganizowałem kilkanaście konferencji prasowych, spotkań, interpelacji. I po jednej z takich konferencji doszło do prowokacji. Pan poseł Sławomir Piechota na kolejnej konferencji prasowej zaczął nas krytykować i chwalić dokonania rządu PO-PSL. Miarka się przebrała i wtedy rodzice niepełnosprawnych dzieci postanowili, że z budynku Sejmu nie wyjdą. Ich decyzja mnie zaskoczyła. Nie wiedziałem wówczas, aby protest był planowany, ale skoro już wprowadziłem ich do Sejmu, to czułem się za nich w dalszym ciągu odpowiedzialny. Pamiętam ówczesne ataki posłów PO wobec protestujących, w tym Stefana Niesiołowskiego i komercyjnych mediów, które dziś – a jakże! – zmieniły diametralnie front.

Dzisiaj inni posłowie słyszą pańskie słowa. Po zmianie władzy z protestującymi spotkał się pan raz, na pięć minut. „Powiedział, że obiecuje, iż matki nie będą musiały okupować Sejmu przez 17 dni" – relacjonowała Joanna Scheuring-Wielgus.

Proszę zauważyć, że byłem jednym z pierwszych polityków, którzy zaczęli rozmawiać z protestującymi. Zebrałem ich postulaty i przekazałem do minister Elżbiety Rafalskiej. Następnie przybyli do nich prezydent, premier, kolejni ministrowie. Byłem przekonany, że obecny protest potrwa znacznie krócej. Mam ogromną empatię wobec tych osób, często pokrzywdzonych przez los. Odniosłem jednak później wrażenie – być może mylne – że niektórym zależało, aby protest trwał dłużej. Rząd wyciągał rękę, a liderzy drugiej strony zmieniali postulaty w trakcie trwania rozmów, czego nie robili w 2014 r., za rządów Donalda Tuska, który podwyższył nieznacznie rentę socjalną i zapowiedział jej rewaloryzację. Dlatego nie wykluczam, że ze strony polityków Nowoczesnej, takich jak Joanna Scheuring-Wielgus, mogły płynąć inspiracje, aby protest przeciągnąć ponad 17 dni.

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

Jak mam to rozumieć? Dobry rząd, źli protestujący? A cztery lata temu odwrotnie?

Życzę jak najlepiej rodzicom i ich niepełnosprawnym dzieciom, chcę, aby miały godne warunki do życia. Prezentuję panu jednak moją interpretację wydarzeń, w których także brałem udział.

A jaka jest pana subiektywna interpretacja rządowego planu na wsparcie niepełnosprawnych, czyli „daniny solidarnościowej"?

Nasz rząd jako pierwszy po 1989 r. wygenerował dziesiątki miliardów złotych na politykę społeczną i rodzinną. To nieprawdopodobna zasługa prezesa Jarosława Kaczyńskiego, premier Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego…

Pan mówi o transferach społecznych, ale tym razem chodzi o transfer pieniędzy z kieszeni najbogatszych. Czyli kolejny podatek. Nie z takimi hasłami szliście do wyborów.

Mamy do czynienia z nową sytuacją, wzmocnioną przez realny problem i konflikt społeczny. Potrzebne są tu duża wrażliwość i empatia społeczna.

I rząd chce do tej wrażliwości przymuszać?

Rozumiem, że jest to propozycja, która być może nie będzie dobrze przyjęta przez wszystkie grupy społeczne, ale proszę zwrócić uwagę, że podatki w wielu krajach są znacznie wyższe niż w Polsce, a wsparcie socjalne dla rodzin niepełnosprawnych jeszcze wyższe.

Mamy za niskie podatki?

One nie są niskie, ale w wielu krajach Unii Europejskiej osoby, które zarabiają bardzo dużo, płacą w modelu progresywnym. Generalnie nie jestem zwolennikiem podnoszenia podatków – wręcz przeciwnie – natomiast dzisiaj, gdy mówimy o pomocy najsłabszym, warto wziąć pod uwagę różne rozwiązania, które

eprasa.pl f1c0d8f0

proponuje premier Mateusz Morawiecki. Oczywiście sama danina nie rozwiąże problemu, konieczne są dalsze uszczelnianie całego systemu podatkowego i dobrze rozwijająca się gospodarka, ale od czegoś trzeba zacząć.

Co pan czuł, gdy słyszał pan słowa swoich kolegów i koleżanek z ław parlamentarnych, mówiących o niepełnosprawnych w Sejmie jako „żywych tarczach" i „zakładnikach"?

Uważam, że były to niepotrzebne słowa. Rozumiem, że posłowie Zjednoczonej Prawicy mogą mieć z tyłu głowy, iż ten protest jest wspierany przez polityków opozycji, ale równocześnie mamy do czynienia z poważnym problemem społecznym, który wymaga rozwiązania. Skuteczna władza powinna wyjść z tego pata. Niepotrzebnie niektórzy koledzy i koleżanki dali się wmanewrować w sytuacje, w których jeden gest czy jedno zdanie służą później do budowy nieprzychylnej narracji w mediach. To krzywdzący obraz dla całej formacji, która jest przecież wrażliwa społecznie.

À propos wrażliwości. Kiedy głosował pan za obniżeniem uposażenia dla parlamentarzystów i samorządowców, tak jak premier Gowin podczas głosowania za reformą wymiaru sprawiedliwości, „był pan za, ale się nie cieszył"?

(śmiech) Każdy z nas chciałby być młodszy i bogatszy, ale nie zawsze jest to możliwe, natomiast ja na tę sprawę patrzę szerzej. Problem nagród odbił się niekorzystnie na ocenie rządu, a tym samym na całej naszej formacji, nie został zaakceptowany przez społeczeństwo, w związku z tym konieczna była korekta kursu. Chcieliśmy pokazać, że tę lekcję odrobiliśmy i potrafimy oszczędzać również swoim kosztem. Przyzna pan, że to sprawa niespotykana we współczesnych demokracjach, że władza sama obcina sobie wynagrodzenie?

Przyznaję, że to sytuacja niespotykana, kiedy większość posłów w kuluarach krytykuje decyzję lidera partii, a później przymuszona głosuje „za", płacąc cenę za nagrody ministrów, których sama nie pobierała.

Przed nami ważne sprawdziany wyborcze, które musimy wygrać, aby kontynuować niezbędne dla kraju reformy. Myślę, że –20 proc. pensji to nie jest wysoka cena za to, że nasza formacja będzie miała szansę rządzić w przyszłości. Mam nadzieję, że społeczeństwo nam tamten błąd wybaczy i doceni poświęcenie.

Jest taka szansa, bo niektóre historie chwytają za serce. Na przykład Michał Dworczyk, szef kancelarii premiera, aby oddać 30 tys. zł nagrody, musiał wziąć kredyt i sprzedać samochód.

Nie chcę komentować spraw kolegów, bo mogą być różne sytuacje rodzinne, o których nie mam pojęcia. Ktoś może mieć na utrzymaniu kilkoro dzieci, rodziców lub chorego małżonka. Politycy to też ludzie.

I tak jak ludzie mają niekiedy przyziemne problemy. Jarosław Kaczyński cierpi od pewnego czasu na problemy z kolanem. Czy pana zdaniem ze szpitala sprawuje przywództwo nad partią równie skutecznie co z Nowogrodzkiej? A jeśli nie, to czy gdzieś w tle nie uaktywniają się grupy, które snują scenariusze polityczne na okres sukcesji po prezesie?

Prezes Jarosław Kaczyński jest niekwestionowanym liderem Zjednoczonej Prawicy. Również ze szpitala ma pełną i największą wiedzę na temat stanu państwa i partii. Życzę mu wielu, wielu lat na fotelu lidera, bo jest on gwarancją sukcesów, stabilności i stabilizacji politycznej.

Tak pan chwali, że zaraz przelicytuje pan Marka Suskiego, twierdzącego, że prezes przewyższył w osiągnięciach Józefa Piłsudskiego.

Powtórzę to, co powiedziałem: niezwykle cenię Jarosława Kaczyńskiego i uważam, że jego wkład w rozwój naszego kraju jest niebagatelny. Dopiero po czasie okazuje się, jak w wielu strategicznych sprawach czy ocenie wydarzeń – takich jak dekomunizacja, lustracja czy Okrągły Stół – to on miał rację. Poza tym jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

To wszystko brzmi tak, jakby największa partia w Polsce nie miała żadnego planu rozwoju, cały swój sens istnienia opierając na jednej osobie.

I tak jest, dlatego życzę, aby prezes Jarosław Kaczyński jak najdłużej był naszym liderem.

Nie trzeba być specjalnie wrażliwym na polityczne plotki, żeby zdać sobie sprawę, jak szybko i radykalnie obóz władzy odciął się dzisiaj od Antoniego Macierewicza i Jana Szyszki. Nie ma pan wrażenia, że gdy byli potrzebni, zbierali ciosy opozycji, a gdy zrobili się niewygodni, zostali odstawieni na out, z dogłębnym czyszczeniem ministerstw włącznie? I że to się zemści?

Nie zgadzam się ze stwierdzeniem, że ministrowie Szyszko i Macierewicz zostali „odstawieni" czy zmarginalizowani. Nikomu nie dzieje się przecież krzywda. Obaj panowie nadal są w Sejmie i pełnią ważne role. Odbieram tę sytuacją raczej jako bieg w sztafecie, podczas którego przekazuje się pałeczkę. Nie wszyscy cały wyścig mogą prowadzić – w pewnych sytuacjach przekazuje się miejsce innemu koledze z zespołu. Ważne, aby biec wspólnie w jednym kierunku.

Dobrze, zmieńmy temat na sympatyczniejszy. „Wszystkich, którzy chcą pracować merytorycznie dla dobra Polski, zapraszam do współpracy" – napisał na Twitterze Ryszard Petru, podając swój sejmowy e-mail. Wysłał pan już swoje CV?

Myślę, że Ryszard Petru powinien najpierw uporządkować swoje sprawy, a dopiero później pomyśleć nad porządkowaniem spraw Polaków. Proszę pozwolić, ale nie chcę się już nad nim pastwić…

Czyli nie będzie pan pracować merytorycznie dla dobra Polski?

Będę, ale obawiam się, że z panem Petru mamy zupełnie inną ocenę potrzeb Polski i Polaków oraz priorytetów działań. Sądzę, że on dziś raczej żałuje, że w ogóle wszedł do polityki. Kiedyś miał wizerunek szanowanego finansowego eksperta, a dzisiaj, po dwóch latach w polityce, widzimy, że król jest nagi.

Zatem opozycja – przy dekompozycji Nowoczesnej i KOD – skazana jest dzisiaj na Grzegorza Schetynę?

Myślę, że jakaś siła do wyborów parlamentarnych jeszcze się pojawi. Znalazłbym grupę polityków z ambicjami, ale niezagospodarowanymi, którzy szukają swojego momentu. Nie wiem, czy będzie to formacja Biedroń-Petru-Nowacka-Scheuring-Wielgus, ale coś na liberalnej lewicy może się kroić. Tyle że idee liberalne nie są dzisiaj w Europie tymi, które mogą doprowadzić partię do władzy. Jednak to już nie mój problem.

Na koniec pana konik. Jak się mają sprawy z raportem dotyczącym polskich strat wojennych?

Obecnie trwają zaawansowane prace o charakterze archiwalnym, historycznym, ekonomicznym i statystycznym, nad którymi pracuje zespół badaczy różnych specjalizacji. Nie chcę dziś mówić o dokładnych datach, ale raport będzie gotowy w tej kadencji Sejmu. To musi być dzieło historyczne, ważne również dla przyszłych pokoleń – tłumaczone na wiele języków. Ten raport ma szanse zmienić perspektywę patrzenia na Polskę i jej historię, a także być podstawą działań o charakterze międzynarodowym. Zwłaszcza w kontekście amerykańskiej ustawy 447 jego powstanie dziś nabiera szczególnego znaczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Kamila Baranowska

Ojciec Dyrektor

Relacje PiS ze środowiskiem o. Tadeusza Rydzyka nigdy nie były łatwe. Dzisiaj są napięte do tego stopnia, że w Toruniu rozważa się własne listy w wyborach do europarlamentu

W tej relacji to rząd PiS jest dziś górą. To on ma wszelkie instrumenty, by środowisko związane z Radiem Maryja dowartościować bądź wręcz przeciwnie – pokazać mu jego miejsce w szeregu. W Toruniu zastanawiają się, dlaczego od pewnego czasu decyduje się na to drugie.

Tak właśnie są tam interpretowane ostatnie decyzje i posunięcia PiS. Na czele z odwołaniem Jana Szyszki i Antoniego Macierewicza, polityków związanych ze środowiskiem Radia Maryja, z funkcji ministerialnych. Dzisiaj z osób otwarcie wspieranych przez rozgłośnię ojca Rydzyka zostali w rządzie Zbigniew Ziobro i Beata Kempa.

Ojciec Rydzyk jest w niezręcznej sytuacji. Z jednej strony ma świadomość, że rząd PiS realizuje wiele ważnych dla niego rzeczy, choćby tych z zakresu polityki społecznej. Od lat na antenie Radia Maryja i Telewizji Trwam można było usłyszeć o niesprawiedliwości społecznej, braku wsparcia dla rodziny i dla najbiedniejszych. To, co robi rząd PiS, odpowiada bliskiej o. Tadeuszowi wizji sprawiedliwej Polski. Z drugiej strony są rzeczy istotne dla środowiska toruńskiego, których PiS rozwiązać nie chce. Wciąż niezałatwioną sprawą pozostaje choćby projekt ustawy o ochronie życia, który utknął w komisji sejmowej (to projekt obywatelski, dotyczy zakazu tzw. aborcji eugenicznej).

– Toruń jest rozżalony, bo czuje się poniekąd zakładnikiem PiS i nie wie, jak z tego wybrnąć. Nie ma innej formacji prawicowej, której program byłby zbieżny z postulatami tego środowiska, więc Radio Maryja nie może i chyba nie chce się od PiS odwrócić, bo byłoby to niezrozumiałe. Tylko że PiS zachowuje się dziwnie, jakby celowo prowokował – ocenia polityk PiS, który dobrze zna środowisko toruńskie.

Z czego to wynika? Przede wszystkim z przekonania PiS, że nie musi już tak bardzo zabiegać o przychylność tego środowiska. Są w nim politycy, którzy mają przekonywać prezesa PiS, że czasy, w których to o. Rydzyk współdecydował o kształcie prawicy w Polsce, odchodzą do lamusa. Z wielu różnych powodów. Politycznych, społecznych, biologicznych. Punktów spornych między PiS a Toruniem jest ostatnio coraz więcej. Pytanie, czy są one przyczyną ochłodzenia w relacjach, czy skutkiem tego ochłodzenia. Niekiedy można odnieść wrażenie, że obie strony robią sobie celowo na złość. Najbardziej spektakularne są spory dotyczące szeroko rozumianej ekologii. Zaskakujące, że właśnie te kwestie wyrastają dziś na najbardziej palące w obopólnych relacjach.

Ojciec Rydzyk mocno wsparł ministra Szyszkę, który bronił myśliwych przed nowymi zapisami prawa łowieckiego (mimo sprzeciwu nowe prawo weszło w życie).

– Tak, myśliwi są atakowani. I ten hejt. Jak mi dzisiaj myśliwi powiedzieli, że potrafią ich wyzywać, jak zobaczą ich w mundurze. No co się w tej Polsce porobiło? Trzeba tym ludziom powiedzieć, że to nie jest ta droga. Jak atakują myśliwych, to nie służą Polsce. Służą lewicy – ostrzegał na jednej z wcześniejszych konferencji naukowych.

Wziął też mocno w obronę tzw. branżę futrzarską, która protestuje przeciwko zagrażającemu jej interesom projektowi ustawy o ochronie praw zwierząt (projekt ustawy czeka w Sejmie). – Te futerka przejmie kto? Niemcy i Rosjanie najpierw. Czy kto jeszcze? – pytał w styczniu na antenie Radia Maryja. – Tu się szanuje zwierzątka. Trzeba je szanować, ale równocześnie zabija się dzieci w Polsce. I mówią, że to są katolicy. Pewnie wszyscy byli w kościele na Boże Narodzenie. I co to jest? To jest jakaś schizofrenia – mówił. Jego słowa zacytował „Super Express", a zaraz za nim większość mediów i portali. A jak wiadomo Jarosław Kaczyński, znany z sympatii do zwierząt, jest przychylny wszelkim przepisom chroniącym ich prawa. Dlatego jest zły na Szyszkę i Toruń, którzy – jak można usłyszeć w PiS – „dali się uwieść lobbystom".

Kiedy kilkanaście dni temu ulicami Warszawy przeszedł Marsz św. Huberta, na którym zebrali się leśnicy, myśliwi, rolnicy i hodowcy, w PiS nikt nie miał wątpliwości, że to inicjatywa wymierzona w rząd. I choć organizatorzy przekonują, że chodziło im jedynie o uczczenie 100. rocznicy odzyskania niepodległości, to kierownictwo PiS jest przekonane, że marsz był inspirowany przez o. Rydzyka, choć on sam w nim udziału nie wziął. Wziął za to udział (wraz

eprasa.pl f1c0d8f093

traci cierpliwość

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

z byłym ministrem Szyszką) w konferencji naukowej, poświęconej zbliżonej tematyce, która tego dnia odbywała się na UKSW w Warszawie. Toruńska Wyższa Szkoła Kultury Społecznej i Medialnej była jej współorganizatorem. Widząc, co się święci, klub PiS wydał swoim parlamentarzystom zakaz uczestnictwa w marszu. – To tylko pogorszyło i tak już napiętą sytuację – komentuje jeden z polityków PiS, zniesmaczony całą sytuacją.

Nie pierwszy raz w ostatnim czasie środowisko o. Tadeusza Rydzyka czuje się przez PiS lekceważone i spychane na dalszy plan. Zwłaszcza że oczekiwania były inne. – Patrząc na to, co się stało, dziękuję Panu Bogu, to jest ogromna szansa. Prezydent, Sejm, Senat, rząd… Teraz tylko, żeby to się udało, będzie bardzo ciężko. Dlatego musi być potężna modlitwa – mówił o. Tadeusz Rydzyk w „Naszym Dzienniku" pięć dni po wyborach parlamentarnych w 2015 r.

Dzisiaj, dwa i pół roku po wyborach, w Toruniu narasta przekonanie, że owa ogromna szansa nie jest wykorzystywana tak, jak być powinna.

– Różne środowiska prawicowe mają różne możliwości wpływu na instytucje, a to środowisko ma poczucie, że nie ma dziś żadnego wpływu. I czuje żal, że to niesprawiedliwe – mówi polityk PiS, który dobrze zna środowisko toruńskie. Kiedy dopytujemy o jakieś konkrety, podaje przykład Polskiej Fundacji Narodowej. Kiedy powstawała, ojciec Rydzyk zabiegał, by w zarządzie lub radzie nadzorczej znaleźli się także ludzie związani z Radiem. Bezskutecznie. Tymczasem rada nadzorcza Fundacji składa się aż z 24 osób. – Było więcej podobnych sytuacji, kiedy ludzie Radia byli ostentacyjnie pomijani, mimo starań ze strony Torunia. Taka jawna manifestacja niechęci – mówi nasz rozmówca z PiS. Dodaje też, że niektóre kluczowe dla ojca Rydzyka projekty stanęły w miejscu, jak choćby realizacja Muzeum „Pamięć i Tożsamość", które miało łączyć historię Polski i historię życia Jana Pawła II w Toruniu. PiS odpowiada, że mało kto dostał tyle dofinansowania z publicznych środków na różne swoje inwestycje, co fundacje związane z Radiem Maryja, i że kwoty te sięgają milionów złotych.

Gdy jest mowa o wpływach innych środowisk, dużo mniej dla PiS zasłużonych, natychmiast pojawia się nazwisko Jarosława Gowina. To ono jest zadrą, która uwiera otoczenie o. Rydzyka chyba najbardziej. Ojciec Rydzyk mocno krytykował pomysły na reformę szkolnictwa wyższego autorstwa Gowina. Znów bezskutecznie. Podobnie jest we wstępnie toczonych rozmowach dotyczących kształtu list w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Znów po stronie Torunia pojawia się frustracja i poczucie braku wpływu. – W PiS złośliwie mówi się, że Gowin ma więcej ministrów niż posłów. Jego wpływ na rząd i na różne decyzje jest nieproporcjonalny do zasług i to kłuje w oczy – opowiada jeden z posłów, sympatyzujących z Radiem Maryja

Jak to wszystko się skończy? Wiele wskazuje na to, że cokolwiek się stanie, PiS i o. Rydzyk są na siebie skazani. Inne inicjatywy po prawej stronie, którym redemptorysta z Torunia okazywał swoje wsparcie, nie okazywały się sukcesami, by wspomnieć LPR czy Solidarną Polskę. Chociaż za każdym razem w PiS wzbudzały lęk. Sukces PiS w 2015 r. był możliwy także dlatego, że Jarosław Kaczyński miał monopol po prawej stronie. Wie o tym on sam, wie także ojciec Rydzyk.

– Ojcze Dyrektorze, bez ciebie nie byłoby tego zwycięstwa! – mówił w grudniu 2015 r. podczas urodzin Radia Maryja Jarosław Kaczyński, dziękując o. Tadeuszowi „za to wszystko, co uczynił dla polskiego Kościoła, co uczynił dla Polski". – A uczynił naprawdę bardzo wiele – podkreślał.

Dlatego dziś, widząc zachowanie PiS, znów zastanawia się nad innym rozwiązaniem. Z naszych informacji wynika, że w Toruniu rozważany jest scenariusz wystawienia własnych list wyborczych do Parlamentu Europejskiego w kontrze do partii Kaczyńskiego. – Proszę sobie wyobrazić takie listy, gdzie na jedynkach byliby Antoni Macierewicz, Jan Szyszko, Anna Sobecka, może Zbigniew Kuźmiuk – snuje rozważania nasz rozmówca, wyliczając osoby związane z Radiem Maryja. – Do tego ktoś z ruchów pro-life, które są na PiS wściekłe, może jacyś narodowcy – dodaje.

Takie listy, gdyby powstały, rzeczywiście mogłyby się okazać dla Prawa i Sprawiedliwości problemem. Pytanie, czy rzeczywiście Macierewicz albo Szyszko zdecydowaliby się na ruch, który oznaczałby rozłam w PiS. Na razie nic na to nie wskazuje. Obaj, choć rozgoryczeni wyrzuceniem z rządu, zachowują się powściągliwie i lojalnie. Dlatego bardziej prawdopodobne jest to, że pomysł z osobnymi listami wyborczymi to sygnał wysyłany w stronę PiS, by ten przestał lekceważyć środowisko toruńskie. Pytanie, czy PiS czuje się na tyle silny, by pozwolić na to, aby Ojciec Dyrektor stracił cierpliwość. Ze wszystkimi tego politycznymi konsekwencjami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Mesjasz lewicy, kandydat Nergala

Agnieszka Niewińska

Medialna wiosna z pewnością należała do prezydenta Słupska. Udzielił dziesiątków wywiadów, chwalił się sondażami, kisił warzywa z młodzieżą. I sam siebie okrzyknął „liderem opozycji”

Gdyby dać wiarę medialnym doniesieniom, można by dojść do wniosku, że Roberta Biedronia, prezydenta Słupska, chcą wszyscy i wszędzie. Nawet na wiosennym grillu, bo z sondażu „Super Expressu” opublikowanego 3 maja wynika, że 13 proc. pytanych o to, którego polityka zaprosiliby na wspólne pieczenie kiełbas, wskazało właśnie Biedronia. Słupski włodarz nie omieszkał pochwalić się wynikami na Twitterze. „Zająłem pierwsze miejsce. Wyniki niezmiernie mnie cieszą, ale też zobowiązują. Spróbuję przyrządzić coś smacznego!” – zadeklarował, choć w sondażu z rusztem w roli głównej miał akurat taki sam wynik jak Andrzej Duda (13 proc. wskazań).

PAN PREZYDENT I LEŚNE DZIADY

Na sondażową sensację Biedroń kreowany jest nie tylko przy okazji badań robionych z przymrużeniem oka, lecz także tych całkiem na serio. Regularnie pojawia się w zestawieniu kandydatów na stanowisko prezydenta RP w 2020 r., zajmując trzecie miejsce za Andrzejem Dudą i Donaldem Tuskiem. Z sondażu dla „Faktów” opublikowanego pod koniec kwietnia wynika, że w wyścigu do prezydentury mógłby liczyć na 15 proc. poparcia. Gdyby razem z Andrzejem Dudą wszedł do drugiej tury, uzyskałby 40 proc. głosów. Lepszy wynik w pierwszej turze daje Biedroniowi sondaż Pollster dla „Super Expressu” z połowy kwietnia (19 proc. głosów).

Wzywanie Biedronia do kandydowania na prezydenta RP to akurat nic nowego. Jeszcze w maju 2015 r., tuż po wyborach wygranych przez Andrzeja Dudę, sympatycy prezydenta Słupska ruszyli do promowania jego kandydatury. Powstał fanpage: Robert Biedroń – prezydent nowoczesnej Polski. Jego twórca objaśnił, że celem strony jest zgromadzenie w ciągu pięciu lat wystarczającej liczby argumentów

FOT. ARTUR WIDAK/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl f1c0d8f093

przemawiających za Biedroniem. Ostatnie wpisy pochodzą jednak z listopada 2015 r.

Dzisiaj jednak to nie internauci promują kandydaturę Roberta Biedronia, ale działacze lewicy, publicyści i ogólnopolskie media. „Biedroń na prezydenta" – wzywał w kwietniu na łamach „Gazety Wyborczej" Stanisław Skarżyński z OKO.press. Michał Sutowski z Krytyki Politycznej pisał o nabitych sympatykami salach na spotkaniach autorskich Biedronia, twierdząc, że ludzie chcą, aby prezydent Słupska „wreszcie pogonił – mentalnych leśnych dziadów w cholerę". Poparcie dla Biedronia ogłosił kontrowersyjny muzyk znany jako Nergal. Z kolei polityk SLD Krzysztof Gawkowski obwieścił, że Biedroń mógłby być „mesjaszem polskiej lewicy".

WŁODARZ KISI MARCHEWKI

Biedroń te nawoływania najwyraźniej wziął sobie do serca i ogłosił się liderem opozycji. – Przecież liderem nie jest dziś ani Schetyna, ani Tusk, ani nikt inny – mówił w wywiadzie dla „SE". I najwyraźniej postanowił kuć żelazo, póki gorące, bo szeroko promuje się w ogólnopolskich mediach. – Dobrze wie, jak wzbudzić sobą zainteresowanie, uzyskać rozgłos. Swoją popularność buduje na szumie medialnym, wyróżnia się spośród polityków m.in. stylem bycia i orientacją seksualną. Przyciąga media, bo potrafi włożyć kij w mrowisko – ocenia dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku politycznego.

Nie składając wyraźnych deklaracji co do politycznej przyszłości, Biedroń daje pożywkę spekulacjom. „Skąd ta pewność, że marzę o zostaniu prezydentem Warszawy czy Polski?" – pytał dziennikarza Mike'a Urbaniaka, który w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów" usilnie namawiał go do kandydowania co najmniej w Warszawie. I choć Biedroń opowiadał, jak bardzo zajęty jest sprawami Słupska i z tego powodu ciężko się z nim umówić na wywiad, to niespełna tydzień później obszerną rozmowę z nim zamieścił portal Gazeta.pl. „W tej chwili jestem prezydentem Słupska, ale jestem świadomy, że ten etap w moim życiu może się kiedyś skończyć. I będę chciał wrócić do polityki. Jeszcze jednak nie podjąłem decyzji, czy to będzie Sejm, czy Parlament Europejski, czy wybory prezydenckie" – mówił.

Medialny rozkład jazdy Roberta Biedronia jest zresztą imponujący. Wystarczy rzut oka na kilka kwietniowych dni z życia prezydenta Słupska. 18 kwietnia zawitał do programu „Jeden na jeden" w TVN24, potem wsiadł do samochodu Jarosława Kuźniara w programie „Onet rano", pokazał się także w audycji „Tłit" w Wp.pl. 20 kwietnia pojawił się w „Dzień Dobry TVN" i „Gościu Wydarzeń" w Polsacie. 21 kwietnia ukazał się wspomniany już wywiad w „Wysokich Obcasach", 22 kwietnia z kolei o swojej książce dla dzieci Biedroń opowiadał „Newsweekowi", 27 ukazała się rozmowa z nim na Gazeta.pl, a dzień wcześniej portal NaTemat.pl spekulował na temat partii, którą Biedroń ma niebawem powołać.

Słupski włodarz popularność buduje także mniej formalnymi występami. „Młody Słupsk kisi z Biedroniem" – to akcja prowadzona w kwietniu razem ze słupską młodzieżą. Biedroń nagrał z nastolatkami film, na którym obiera marchewki i zachęca do robienia kiszonek. „Słupsk kisi z Biedroniem, Biedroń kisi z młodzieżą" – zatytułowała swój artykuł o akcji trójmiejska „Gazeta Wyborcza". 2 maja w „Vivie!" ukazał się wywiad, w którym Biedroń opowiadał z kolei, że już nie ma potrzeby zostania ojcem. „W Słupsku »mam« kilkadziesiąt tysięcy dzieci i młodzieży. I mam co robić. Praktycznie każdego dnia spotykam się z dzieciakami czy młodzieżą i czytam im książki, takie jak moja. Pracuję z nimi, rozmawiamy o demokracji. Więc swoją ojcowską robotę wykonuję ponad normę".

Doktora Jacka Kloczkowskiego, politologa z Ośrodka Myśli Politycznej, nie dziwi wysyp publikacji na temat Biedronia. – W tej chwili jest zapotrzebowanie na jakiegokolwiek kandydata lewicy – nie tyle socjalnej, ile kulturowej, więc w tym kontekście musiało pojawić się nazwisko Biedronia – mówi. I dodaje, że dzięki podsycaniu zainteresowania prezydentem Słupska przez lewicowe media i publicystów sympatyzujących z lewą stroną sceny politycznej Biedroń może piec dwie pieczenie na jednym ogniu. – Podtrzymuje markę lewicy kulturowej, a także swoją własną. Tyle że wciąż w swoich wypowiedziach jest niejednoznaczny, unika jasnej deklaracji na temat swojej politycznej przyszłości, by nie wiązać sobie rąk. Zależy mu zapewne na tym, by tę swoją pieczeń piec wolno, podsycać zainteresowanie sobą. Jednak wyborcy mogą się tym w końcu zirytować – zwłaszcza jeśli nastąpiłby kolejny taktyczny „konserwatywny" zwrot w PO i „zdradzony" przez nią antykonserwatywny elektorat oczekiwałby od swojej ostatniej nadziei jednoznacznych deklaracji, a nie kluczenia.

Podobnie sytuację ocenia Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku. – Lewica poszukuje przywódcy. Najlepiej takiego, który już odniósł jakiś sukces. A takich osób po tej stronie sceny politycznej specjalnie nie widać. Sławomir Sierakowski przez lata był tylko nadzieją lewicy, sukcesu w polityce na razie nie odniosła Barbara Nowacka. Nową twarzą miał być Janusz Palikot, ale już nikt o nim nie pamięta. Został jedynie Biedroń, który wygrał wybory w Słupsku jako lewicowiec i zadeklarowany homoseksualista – mówi. I dodaje, że Biedroń wciąż jest postrzegany przede wszystkim jako przedstawiciel środowisk LGBT i celebryta, który nie unika zdjęć czy wywiadów z partnerem Krzysztofem Śmiszkiem. – Celebrytyzm w polityce nie przeszkadza. Daje rozpoznawalność, obecność w wielu mediach. Jeśli się jednak startuje w wyborach prezydenckich, to samo gwiazdorzenie nie wystarczy. Trzeba mieć pomysł na funkcję, którą chce się sprawować, i być przygotowanym na pytania dotyczące najważniejszych problemów Polaków. W przeciwnym razie takiego kandydata łatwo ośmieszyć.

„NASTOLATKI JUŻ NIE PISZCZĄ"

Słupscy oponenci Biedronia z lansowania go na prezydenta RP szczególnie się nie cieszą. – Pozbylibyśmy się go ze Słupska, ale musiałbym bardzo źle życzyć Polsce, gdybym wspierał taki pomysł. Na przykładzie naszego miasta widać, że prezydentura pana Biedronia to totalne nieporozumienie – mówi Tadeusz Bobrowski, polityk PiS, wiceprzewodniczący rady miejskiej w Słupsku. I wylicza zaniedbania słupskiego włodarza: – Straty, niewykonane inwestycje. Radę i urzędników Biedroń traktuje przedmiotowo. W pierwszym roku jego urzędowania spośród 350 doświadczonych urzędników odeszło z pracy aż 160 i dzisiaj nie ma specjalistów, którzy np. potrafią przeprowadzić proces inwestycyjny. Znaleźli zatrudnienie w gminach ościennych i tam teraz ruszyły inwestycje. Tymczasem w Słupsku nie są realizowane, tracimy możliwość zdobycia funduszy unijnych, bo nie ma ich kto przygotować. Wiszą tylko ogłoszenia, że miasto poszukuje specjalistów do pracy. Prezydent ani razu nie dostał absolutorium z wykonania budżetu i wygląda na to, że także w tym roku go nie dostanie. Po fali krytyki w związku z tym, że w pierwszym roku urzędowania nie było go w pracy łącznie przez niemal sześć

eprasa.pl f1c0d8f093

miesięcy, teraz nieobecny jest przez 30–40 proc. czasu. Bywa na sesjach rady, czasami nawet zabiera głos w kwestiach merytorycznych, ale rządy sprawują wiceprezydenci. I niezbyt dobrze sobie z tym radzą – ocenia.

W ciągu pierwszego roku prezydentury Biedroń pokonał tyle kilometrów, że dwukrotnie mógłby okrążyć Ziemię. Był m.in. w Turcji i Gruzji, w Las Vegas i Oslo.

Biedroń doniesień o własnej partii nie komentuje. Zdementował jedynie, że nie szykuje wspólnego projektu z uciekinierami z Nowoczesnej

Podróżował m.in. na kongres i paradę LGBT. – Takie nieobecności są szkodliwe dla miasta. Kosztów podróży, takich jak ta do Las Vegas na kongres LGBT, akurat nie poniosło miasto, tylko organizacje gejowskie, ale z miejskiej kasy prezydentowi jest wypłacana pensja – za to, żeby był obecny w pracy, a nie stale na wyjeździe – mówi Tadeusz Bobrowski.

Krytyka Biedronia ze strony słupskich radnych biegnie w poprzek podziałów partyjnych. – Dostał pan od nas żółtą kartkę – ostrzegała Biedronia w ubiegłym roku Beata Chrzanowska z PO. Z kolei Jerzy Mazurek ze Słupskiego Porozumienia Obywatelskiego zarzucił mu, że jego działalność polityczna bardziej szkodzi miastu, niż mu pomaga. – Proszę więcej pracy organicznej, mniej fajerwerków medialnych – apelował do słupskiego włodarza.

Radni gromią Biedronia za to, że w mediach chwalił się nadwyżką w budżecie, choć w rzeczywistości pieniądze zostały, bo nie zrealizował zaplanowanych inwestycji. Wielu też nie podoba się, że Biedroń chodzi po szkołach i daje dzieciom lekcje obywatelskie i nauki z tolerancji. – Prezydent Robert Biedroń poprowadził lekcję demokracji we wszystkich słupskich liceach ogólnokształcących (czterech), w dwóch szkołach ponadgimnazjalnych i w dwóch gimnazjach – informuje nas Karolina Chalecka ze słupskiego magistratu.

Tadeusz Bobrowski ma za złe Biedroniowi także to, że wbrew większości radnych stosuje obstrukcję w stosunku do słupskiej tradycji wywieszania na wieży ratusza portretu Jana Pawła II w rocznicę śmierci czy wyboru na papieża. – W pierwszym roku urzędowania go nie wywiesił, w kolejnym udało się do tego doprowadzić, ale w tym roku znów banneru nie było. Tłumaczył to tym, że się zniszczył i został oddany do konserwacji, a ja jestem zdania, że prezydent Biedroń chce, żebyśmy go atakowali, żeby mówili o tym dziennikarze – ocenia radny PiS. Zwraca zresztą uwagę, że Biedroń jest ulubieńcem ogólnopolskich mediów. – W naszych lokalnych mediach nie bywa, za to bryluje w centralnych. Cieszy się ich ogromnym poparciem i to czyni go trudnym przeciwnikiem. Nie mamy wątpliwości, że Robert Biedroń traktuje Słupsk instrumentalnie, jako trampolinę do dalszej kariery. Radni zresztą mówią mu to wprost, a on się tylko uśmiecha – opowiada Bobrowski. Jego zdaniem Robert Biedroń jest zainteresowany mandatem europosła. – Jeśli jednak będzie walczył o reelekcję w Słupsku, to prawica jest zdeterminowana, żeby najbliższe wybory z nim wygrać. Mieszkańcy zagłosowali na niego, bo szukali odmiany po trzech kadencjach prezydenta jeszcze z PRL-owskim rodowodem. A Biedroń jest młody, uśmiechnięty. Tyle że efekt nowości minął. Nawet nastolatki już nie piszczą na jego widok.

JAK SEKRETARZ ONZ

Czy medialna promocja Biedronia jako kandydata na prezydenta może sprawdzić, że wyborcy będą skłonni do głosowania na znanego aktywistę LGBT? Doktor Sergiusz Trzeciak uważa, że spekulacje na temat jego szans w wyborach prezydenckich w 2020 r. są przedwczesne – zwłaszcza że nie znamy kontrkandydatów, a medialny rozgłos może Biedroniowi co najwyżej posłużyć do reelekcji w Słupsku. – Robert Biedroń nie ma dwóch podstawowych rzeczy niezbędnych politykowi, który chce walczyć o najwyższe stanowiska. Po pierwsze, pieniędzy na kampanię, a w przypadku wyścigu do Pałacu Prezydenckiego trzeba dysponować kwotą przynajmniej od kilku do kilkunastu milionów złotych. Po drugie, zaplecza politycznego – nie ma za sobą lokalnych struktur, ludzi z doświadczeniem w prowadzeniu kampanii. Ruchy LGBT mogłyby co najwyżej wspierać go w obrębie tego środowiska. Na świecie nie znam żadnego przykładu kampanii, w której takie środowiska byłyby podstawowym zapleczem dla startującego polityka w wyborach prezydenckich. Oczywiście Biedroń może próbować powołać własny ruch, ale takie twory to zazwyczaj efemerydy. Trudno będzie mu stworzyć własną partię, bo wprowadzenie nowego podmiotu do polityki nie jest łatwe i także wiąże się z trudnością z uzyskaniem finansowania działalności, o budowaniu struktur nawet nie wspomnę – mówi dr Trzeciak. Na razie Biedroń doniesień o własnej partii specjalnie nie komentuje. Na Twitterze zdementował jedynie, że nie szykuje wspólnego projektu z uciekinierami z Nowoczesnej.

– Biedroń zapewne chciałby być postrzegany jako czarny koń wyborów, kandydat, któremu już raz udało się wygrać wybory, mimo że nikt w to nie wierzył. Taka narracja to jednak pułapka. Wybory na prezydenta Słupska i wybory na prezydenta Polski to zupełnie nieprzystające do siebie sytuacje – mówi dr Kloczkowski. I zwraca uwagę, że jeśli Biedroń stanie do wyborów prezydenckich, to musi się przygotować na to, że weryfikacji zostaną poddane jego rządy w Słupsku. Tymczasem do tej pory najgłośniej było o jego podróżach. – Nie sądzę, by skłonność do wyjazdów na zagraniczne delegacje doceniono w wyborach prezydenckich. To mógłby być atut przy staraniach o stanowisko sekretarza generalnego ONZ – żartuje.

Eksperci zwracają także uwagę, że nie należy przeceniać obecnych wyników sondażowych Biedronia. – Na razie świadczą one o rozpoznawalności i sympatii części wyborców. Przed laty sondażowe wyniki Jacka Kuronia sięgały sufitu, ale zamiast prezydentury przyniosły mu spory zawód. Sympatia i wybieralność w polityce to są dwie różne sprawy – podkreśla Gepfert.

Szanse Biedronia mogłyby wzrosnąć, gdyby startował z poparciem lewicowych partii, takich jak SLD czy Razem. – Mógłby liczyć na kilkuprocentowy wynik, dwucyfrowy byłby dużym sukcesem – uważa dr Trzeciak.

Tyle że na razie jednego głosu lewicy w sprawie Biedronia nie słychać. I choć Gawkowski deklarował, że Biedroń mógłby być kandydatem z poparciem SLD, to inny z wiceprzewodniczących SLD – Jerzy Wenderlich – nie chce się nawet odnieść do nagłaśnianej w mediach rzekomej kandydatury Biedronia. – Polityka to nie entliczek, pentliczek. SLD to silna formacja, w naszych szeregach jest wiele indywidualności. Nie mamy problemu ze znalezieniem dobrego kandydata w kręgu polityków SLD – mówi.

Z Robertem Biedroniem nie udało nam się porozmawiać. W ubiegłym tygodniu był służbowo w Katalonii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Już 28 maja w **DO RZECZY** dodatek

Partner wydania

ORLEN

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

eprasa.pl f1c0d8f093

Wojciech Wybranowski

Śledczy czekają na uchylenie przez Sejm immunitetu Sławomirowi Neumannowi, by przedstawić mu zarzuty. Jako wiceminister w rządzie PO-PSL miał naciskać na szefów NFZ, by zawarli kontrakt z prywatną kliniką

Załatwiacz

Były wiceminister zdrowia naciskał na szefów mazowieckiego Narodowego Funduszu Zdrowia, aby doprowadzić do szybkiego zawarcia kolejnej umowy – w formie aneksu – z prywatną warszawską kliniką Sensor Clinic, mimo że ta wcześniej poważnie naruszyła obowiązujące przepisy, a umowa nie powinna zostać przedłużana. – Podpisanie aneksu pozwoliło warszawskiej klinice na uzyskanie korzyści majątkowej w wysokości 13,5 mln zł i jednocześnie doprowadziło do obniżenia kwot zaplanowanych już wydatków na inne świadczenia medyczne z innymi podmiotami w tej kwocie – poinformowała „Do Rzeczy" prokurator Ewa Bialik, rzecznik Prokuratury Krajowej.

Prokuratorzy w Jeleniej Górze z przedstawieniem Sławomirowi Neumannowi zarzutu przekroczenia uprawnień czekają tylko na zgodę Sejmu. Jak informowaliśmy w ubiegłym tygodniu – prokuratorski wniosek został pozytywnie zaopiniowany przez prawników Kancelarii Sejmu i przekazany Komisji Regulaminowej i Spraw Poselskich. Sam Neumann zapowiedział też, że immunitetu sam się zrzeknie, jednak do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" jeszcze tego nie zrobił.

Były wiceminister zdrowia będzie drugą osobą, która w sprawie związanej z nieprawidłowościami przy kontraktowaniu umów przez mazowiecki NFZ usłyszy zarzuty karne. Wcześniej, w lutym 2018 r. na polecenie prokuratury zatrzymano byłego dyrektora mazowieckiego NFZ Adama T. – Adam T. usłyszał już zarzuty popełnienia przestępstwa przekroczenia uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej przez jedną z warszawskich klinik okulistycznych – mówi nam prokurator Tomasz Czułowski z Prokuratury Okręgowej w Jeleniej Górze.

Adam T. w trakcie śledztwa obciążył Neumanna, sugerując, że podejmował działania na polecenie i wskutek nacisków ze strony ówczesnego wiceministra zdrowia, który osobiście nadzorował jego pracę w tej sprawie. „30 grudnia Neumann zadzwonił na moją komórkę. Pytał, dlaczego temat z Clinic nie jest załatwiony" – mówił Adam T., podczas jednego z przesłuchań.

WICEMINISTER NACISKA

Afera wybuchła po ujawnieniu w lutym 2014 r. przez tygodnik „Wprost" zaskakujących kulis zawarcia przez NFZ lukratywnego kontraktu na okulistyczne usługi medyczne przez warszawską placówkę Sensor Clinic. W świadczącej usługi za pieniądze Narodowego Funduszu Zdrowia klinice w 2013 r. pracownicy mazowieckiego oddziału NFZ zdecydowali się przeprowadzić kontrolę. Wyniki były wstrząsające. Okazało się, że pacjenci muszą płacić za sztuczne soczewki stosowane w zabiegach usuwania zaćmy, mimo że cała terapia jest realizowana na koszt NFZ. Kontrolerzy oszacowali, że w ten sposób klinika zgarnęła od pacjentów co najmniej 1,5 mln zł. Efekt? NFZ zdecydował się zerwać umowę z kliniką. W tym momencie na scenę wkracza jednak wiceminister Sławomir Neumann. Jak ustalili śledczy – zaczyna naciskać na władze NFZ, sugerując, że oczekuje na pozytywne rozpatrzenie złożonego przez Sensor Clinic zażalenia na wypowiedzenie umowy. Już po opisaniu przez tygodnik całej sprawy Neumann mówił w mediach, że w ten sam sposób interesował się sytuacją wielu szpitali.

– W tym przypadku zaangażowanie pana Sławomira N. daleko wykraczało poza jego obowiązki wynikające z pracy

eprasa.pl f1c0d8f093

Neumann

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

na stanowisku wiceministra zdrowia, a także jego uprawnienia – mówi nam osoba z kręgów śledztwa.

Narodowy Fundusz Zdrowia wypowiedział umowę Sensor Cliniq 20 września 2013 r., uzasadniając to wykrytymi nadużyciami. Decyzja stała się prawomocna trzy miesiące później – 20 grudnia 2013 r. Tymczasem ówczesny dyrektor mazowieckiego NFZ, Adam T., niespełna dwa tygodnie później podpisał z kliniką aneks, na podstawie którego – z datą wsteczną – 21 grudnia 2013 r. przedłużył z nią umowę na kolejny rok. Co wydarzyło się przez te trzy miesiące między wrześniem a grudniem i co spowodowało, że szef mazowieckiego NFZ zdecydował się na taki krok?

– W toku tego śledztwa ustalono, że ówczesny sekretarz stanu w Ministerstwie Zdrowia już od chwili wypowiedzenia stołecznej klinice umowy z Narodowym Funduszem Zdrowia rozpoczął ponadprzeciętne działania zmierzające do jej przywrócenia – poinformował prokurator Tomasz Czułowski w piśmie przesłanym „Do Rzeczy".

O czym mowa? Między innymi o objęciu sprawy osobistym nadzorem, co miało prowadzić do wywarcia presji na urzędników NFZ, osobistych naciskach, telefonach i pismach, a także działaniach, w których w dość jednoznaczny sposób Neumann miał wskazywać, że oczekuje podpisania aneksu przedłużającego kontraktowanie usług prywatnej kliniki ze środków NFZ.

– Te działania polegały nie tylko na rozmowach i nakłanianiu Adama T. do kontynuowania umowy, lecz także na pozyskaniu wadliwej interpretacji przepisów ustawy o świadczeniach zdrowotnych finansowanych ze środków publicznych, sporządzonej przez podległych Sławomirowi Neumannowi pracowników – poinformowała nas prokurator Ewa Bialik z Prokuratury Krajowej, odpowiadając na pytania „Do Rzeczy". Chodzi o pismo, które resort przesłał 20 grudnia 2013 r. do mazowieckiego NFZ, miało ono być jednym z koronnych argumentów za wznowieniem współpracy z kliniką.

„PILNIE ZAŁATWIĆ SPRAWĘ"

Nieoficjalnie wiadomo, że jeleniogórscy śledczy oprócz zeznań świadków – w tym osób pracujących w resorcie zdrowia w czasie, gdy Neumann pełnił tam funkcję wiceministra – a także pracowników NFZ zabezpieczyli pisma i dokumenty, które wskazują, że prominentny polityk Platformy Obywatelskiej rzeczywiście naciskał na przedłużenie umowy z Sensor Cliniq. Część z nich wcześniej opisały „Wprost" i „Fakt". „Proszę o niezwłoczne podjęcie adekwatnych działań w tym zakresie i poinformowanie o nich Ministra Zdrowia w terminie 3 dni od dnia doręczenia tego pisma" – pisał Neumann do Agnieszki Pachciarz, ówczesnej szefowej NFZ.

Według nieoficjalnych informacji pracownicy NFZ mówili w prokuraturze, że ostrzegali kierownictwo Funduszu, iż przedłużenie umowy będzie niezgodne z prawem, a także że był na nich wywierany nacisk albo bezpośrednio przez Neumanna, albo przez jego współpracowników. Zdaniem śledczych materiał dowodowy jest mocno obciążający dla Neumanna.

– Zebrany przez prokuratora obszerny materiał dowodowy wskazuje, że podpisanie wspomnianego aneksu było rezultatem niezgodnych z prawem działań ówczesnego sekretarza stanu w Ministerstwie Zdrowia – Sławomira Neumanna – twierdzi prokurator Bialik.

Pierwszy raz śledztwo, w którym Sławomir Neumann niebawem usłyszy zarzuty, wszczęto w 2014 r., po tym, jak ówczesny Generalny Inspektor Informacji Finansowej zawiadomił prokuraturę, że na konto Neumanna wpłynęła spora kwota pieniędzy. Śledczy sprawdzali, czy może to być związane z działaniami w sprawie NFZ i zawieranych przez fundusz kontraktów. Podejrzenie dotąd nie zostało potwierdzone, a sam Neumann tłumaczył się wówczas, że wpłata wynikała z przeksięgowania w biurze maklerskim posiadanych przez niego akcji. Ostatecznie postępowanie umorzono pod koniec 2014 r. Po raz kolejny sprawą „aneksowania umowy" dla prywatnej kliniki śledczy zajęli się na początku ubiegłego roku, ponieważ analiza akt umorzonego w 2014 r. postępowania miała wykazać liczne uchybienia, m.in. zignorowanie wcześniej części materiału dowodowego.

Sławomir Neumann pozwał też tygodnik „Wprost", który pierwszy opisał jego działania w całej sprawie. Proces wytoczony tygodnikowi prawomocnie przegrał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

POSUBOTNIK

Rafał A. Ziemkiewicz

PO odtworzyła coś, czego myślałem, że nigdy już w życiu nie zobaczę – PRL-owskie wiece i pochody, na których znudzeni ludzie kombinują tylko, jakby tu najszybciej prysnąć

Frekwencja na kolejnym Marszu Wolności, zorganizowanym przez PO, według danych podawanych przez warszawski ratusz – czyli przez samą PO – była pięciokrotnie mniejsza niż dwa lata temu. Dokładnie: w 2016 r. marsz miał zgromadzić – zdaniem władz Warszawy – 240 tys. uczestników, w roku ubiegłym – 90 tys., a teraz – 50 tys., z zastrzeżeniem „w szczytowym momencie".

Dane „PiS-owskiej" policji są dla „opozycji totalnej" mniej miażdżące – według nich frekwencja spadła trzy-, czterokrotnie. I to oczywiście raczej policji można tu zaufać niż urzędnikom ratusza, którzy produkując dwa lata temu newsa o „ćwierćmilionowym pochodzie", kompletnie się ośmieszyli.

Jednak bardziej od liczby uczestników „w szczytowym momencie" powinna „opozycję totalną" martwić szybkość, z jaką ich manifestacje się rozchodzą, zanim jeszcze dotrą do połowy wyznaczonej trasy. Widać to było już na poprzednim Marszu Wolności, ale na tym zjawisko się nasiliło. Wiec wstępny w miejscu zbiórki jeszcze jakoś wychodzi, ale w momencie, gdy pochód rusza, nagle żałośnie rzednie i robi się z minuty na minutę cieńszy. W tym roku szczególnie przykre dla „totalsów" musiały być zdjęcia z punktu dojścia, placu Zamkowego, gdzie jeszcze przed przemówieniami liderów partii pozostali naprawdę nieliczni najbardziej wytrwali – co najgorsze, spodziewając się czegoś wręcz przeciwnego, akurat tam ustawiono kamery, tak żeby pokazywały szerokie panoramy. Nawet TVN24 zawstydził się tych kadrów i specjalnym paskiem zaznaczył, że korzysta z przekazu organizatora.

Mechanizm znikania PO-wców wydaje się bardzo prosty. Kiedy spontaniczna, warszawska frekwencja z pierwszych demonstracji KOD zaczęła „siadać", PO postawiła na autokary. Każdy poseł, każda lokalna struktura ma dostarczyć tyle a tyle autobusów pełnych frekwencji, pod karą. W ten sposób wykorzystała PO swą organizacyjną przewagę nad Nowoczesną i innymi partiami, nie mówiąc już o pospolitym ruszeniu KOD. Teoretycznie też dało jej to jako organizatorowi poczucie bezpieczeństwa i możliwość planowania: wiemy, że tylu a tylu będzie nas na pewno, gdyby nawet już nikt więcej nie dołączył do manifestacji.

Jednak to tylko teoretycznie. W istocie bowiem przyjęta metoda oznacza, że większość uczestników partyjnego marszu stanowią przypadkowi mieszkańcy prowincji, korzystający z zafundowanej przez lokalną strukturę PO „zakładowej wycieczki" do stolicy. Starają się więc jak najszybciej pozbyć wciśniętej im przez organizatorów szturmówki czy transparentu i urwać się na zwiedzanie albo „szoping".

Słowem: dzięki budżetowej dotacji zdołała PO odtworzyć coś, czego myślałem, że nigdy już w życiu nie zobaczę – PRL-owskie wiece i pochody, na których znudzeni ludzie kombinują tylko, jakby tu najszybciej prysnąć.

@

Na usprawiedliwienie „totalsów" można powiedzieć, że alternatywą dla pochodów w stylu PRL-owskim były performance'y, które oglądaliśmy w wykonaniu niedobitków KOD, różnych odłamów „obywateli" czy feministek, układających się pod Sejmem czy w poprzek ulic, tupiących w policyjne tarcze i wyżywających miotającą uczestnikami nienawiść poprzez ubliżanie dziennikarkom TVP.

Bez włączenia w sprawę organizacyjnej maszyny i partyjnych pieniędzy oraz struktur PO uliczne protesty wyglądały groteskowo. Ich włączenie, jako się wyżej rzekło, też nie pomogło. Właściwie to

Ja z Olbrychskim na czele –

w szumnie i długo reklamowanym Marszu Wolności udało się opozycji ponieść obie klęski naraz. Zwieziona autokarami frekwencja rozeszła się błyskawicznie, czyniąc fotki z wydarzenia, szczególnie z placu Zamkowego, żałośnie przełysiałymi, a manifestację i tak zdominowały optycznie pozostałe na miejscu antypisowskie świry, wbrew głoszonej propagandzie o „uśmiechniętej" manifestacji, nadając jej wizerunek dla przeciętnego wyborcy odstręczający.

Zastanawiam się, co właściwie zamanifestowała „totalna opozycja" podczas swej dorocznej, tradycyjnie największej w sezonie politycznym ulicznej demonstracji. Słabość nie tylko liczebną, lecz także przede wszystkim umysłową. Jakiż to wielki umysł wymyślił, by zatrudnić na wodzirejów manifestacji trójkę podstarzałych aktorów, którzy szczyt popularności przeżyli 30 lat temu, i odwoływać się do filmowego hitu z roku 1974? Co miało wyniknąć z wygłoszenia przez bohaterów „Ziemi obieca-

eprasa.pl f1c0d8f093

nej" deklaracji, że „przywrócą w Polsce normalność"? Chyba nie było w dziejach III RP partii, która by się nie odwoływała do normalności, bodaj pierwsze zresztą robiło to Porozumienie Centrum Jarosława Kaczyńskiego – „Żeby było normalnie" to przecież jego hasło z pierwszych wolnych wyborów w październiku 1991 r. I gdzie jak gdzie, ale w Polsce, z naszą pokręconą historią, w której normalności nie zaznaliśmy bodaj nigdy, i z fundamentalnym, plemiennym konfliktem dotyczącym właściwie wszystkiego, trudno o słowo, które znaczyłoby mniej.

Pominę już fakt, że zatrudnienie popkulturowych ikon PRL do straszenia, że PiS tę PRL przywraca, byłoby doprawdy smakowitą PR-owską perwersją, gdyby nie było zwykłą bezmyślnością.

to pierwszomajowy wiec OPZZ zanotował najniższą frekwencję w dziejach III RP.

@

Mam wrażenie, że „totalsi" powtarzają coś, co nazwałbym „klątwą Wałęsy". Klątwa Wałęsy polega na tym, że potężny marketingowy potencjał wciągany jest w narrację tak jawnie głupią, że siła staje się słabością, a propaganda – antypropagandą. W obronę Wałęsy zaangażowały się naprawdę potężne autorytety i gdyby sam „Bolek" milczał, zapewne zdołałyby jego mit podtrzymać w części społeczeństwa jeszcze na długo. Chcąc nie chcąc jednak, musiały mu sekundować w jego codziennych kłamstwach, a te kłamstwa były tak głupie, że musiały zirytować nawet najbardziej fanatycznego wyznawcę. A to – wszystko sfałszowali, to

niewygodnych pytań, wygląda to nieodmiennie tak: „PiS zabiera nam wolność/ Wielokrotnie złamał Konstytucję/Mówi nam jak mamy żyć!", „A konkretnie?", „Eee… tego… no, kolejki do lekarzy wcale nie zmalały…".

Problem nie w tym, że PO nie umie sformułować przekonującego dla wyborcy powodu, dla którego miałby on chcieć zmienić władzę – ale w tym, że tego wcale nie chce. Nie uważa za potrzebne, przeciwnie – Schetyna w jednym z wywiadów powiedział wprost, że tylko idiota formułowałby na jego miejscu jakieś programy idące dalej niż „precz z PiS".

Pisałem już kiedyś, że od ponad ćwierć wieku kolejne zmiany polityczne uczą się u nas od siebie nawzajem, ale tylko tego, co najgorsze. „Opozycja totalna" wzięła od

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

i jakoś to wyjdzie!

Wydać taką kupę pieniędzy, wykupić billboardy i ogłoszenia, zwieźć do Warszawy tysiące ludzi i zatrudnić celebrytów po to, by pokazać urbi et orbi, że po dwóch latach rządów PiS opozycja nadal nie jest w stanie wydukać żadnego konkretnego zarzutu wobec nich, że umie tylko powtarzać nic nieznaczące ogólniki i slogany o „normalności" czy „zagrożeniu wolności", którymi zniechęciła do siebie wyborców dwa lata temu? Jakiż wybitny strateg na to wpadł, bijąc wyśrubowane rekordy imprezy ku czci czekoladowego „morzeła"?

Żartuję oczywiście. Żadnego stratega nie było i niczego PO w sposób świadomy nie zamierzała. Uznała po prostu, że wystarczy zwieźć do Warszawy kilkadziesiąt tysięcy ludzi, coś tam pogadać przez mikrofon, a o należyty „mysydż" z „iwentu" zadbają już oddani redaktorzy. Byle rzucić hasło do „czynu" – ja z Olbrychskim na czele, pomyślał Schetyna, i jakoś to będzie. Nie dało mu do myślenia nawet to, jak to „jakoś" wyszło zaledwie dwa tygodnie wcześniej, kiedy

nie moje pismo, a to – ukradli mi i wsadzili do akt moje prywatne pamiętniki, a to – maszyna napisała, a to – oficer SB zgubił pieniądze i mu z litości podpisałem, a potem znowu da capo – nic nigdy nie podpisałem, wszystko sfałszowane. Gdyby nie żywiołowy instynkt, by iść w zaparte razem z „wodzem", Wałęsa ośmieszałby się sam, ale w tej sytuacji ośmieszyły się wraz z nim wszystkie elity III RP. Pozostał im już tylko argument „dla mnie Wałęsa jest i zawsze będzie bohaterem", co znaczy mniej więcej tyle samo, co „dla mnie najwybitniejszym polskim politykiem jest i zawsze pozostanie Krzysztof Kononowicz".

Platforma dzięki kilkunastu milionom budżetowej dotacji i dotychczasowej pozycji w samorządach jest w stanie nie dopuścić do powstania innej znaczącej opozycji – narzuca więc narrację, którą inne antypisy muszą przyjmować. Jest to jednak narracja kompromitująca. W rzadkich chwilach, gdy jej nosiciele wychodzą poza swoje oddane media i dochodzi do

PiS naukę, że do sukcesu „wystarczy być". Nie dopuścić, żeby powstała jakaś inna opozycja – Sejm nigdy przecież nie był tak zgodny jak wtedy, gdy obecni w nim uchwalali prawo o partiach politycznych, blokujące scenę polityczną przed powstaniem ewentualnej konkurencji – i czekać, aż władza „się zużyje". To wtedy ludzie zagłosują znowu na nas. Bo na kogo innego?

Postępowanie Grzegorza Schetyny jest więc na swój sposób racjonalne: to nieważne, co się mówi, wystarczy cokolwiek, byle być jedyną alternatywą. Z uwagi na Polskę mam nadzieję, że tym razem jednak tak to nie zadziała. PiS, nie dbając o marketing, trwał przez osiem lat przy kilku zasadniczych hasłach, które w miarę rządów PO-PSL powolutku, pomału, ale były akceptowane przez coraz liczniejszych wyborców. PO dokładnie odwrotnie, zamknąwszy się w urojeniach wyższościowych i kompleksach odrzuconych elit, trwa przy hasłach, których popularność topnieje jak frekwencja na jego marszach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

PiSteria Pawlikowskiego

Piotr Gociek

Podczas gdy jego nowy film „Zimna wojna" walczy o światowe nagrody, reżyser Paweł Pawlikowski woli walczyć z rządem. Szkoda, że kłamstwem

FOT. PIOTR ZAJĄC/REPORTER

W sztuce dobrze unikać słowa „zasługi", lepiej oceniać: udany czy nieudany, uczciwy czy nieuczciwy. Czytelnicy tego tekstu są mądrzejsi ode mnie, bo już wiedzą, czy w sobotni wieczór 19 maja wyróżniono „Zimną wojnę". O samym filmie chętnie podyskutuję, kiedy tylko go obejrzę.

Żadne palmy ani pokazy prasowe nie są natomiast potrzebne do tego, by podyskutować o tym, czy twórca zachowuje się uczciwie czy nieuczciwie. A tu z Pawłem Pawlikowskim mamy problem, bo albo wypowiada się niezbyt mądrze na tematy, o których posiada niepełną wiedzę, albo z pełnym rozmysłem publicznie łże. Przypuszczam zresztą, że możemy mieć do czynienia z mieszanką jednego i drugiego.

Przykro pisać mi te słowa, bo pamiętam Pawlikowskiego z czasów, kiedy był świetnym autorem filmów dokumentalnych, poczynając od wstrząsającego „Z Moskwy do Pietuszek z Wieniediktem Jerofiejewem" (1990). W pierwszej połowie lat 90. nakręcił jeszcze kilka innych godnych uwagi dokumentów. Wszystkie za pieniądze brytyjskie, czasem występując jako Paul Pawlikowski.

Naprawdę głośno zrobiło się o Pawlikowskim, kiedy jego „Ida" w roku 2015 otrzymała Oscara dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego. „Podziw dla filmu miesza z wściekłością na kontekst – pisał w »Do Rzeczy« Andrzej Horubała. – Człowiek wychodzi z kina i jego wrażenia tłumione są dręczącą myślą: oto kolejny film przedstawiający wojnę jako czas wielkiego polowania przez Polaków na Żydów, oto kolejny obraz, który będzie budował fałszywe uogólnienia". Jednak jednocześnie dodawał, że: „Film Pawlikowskiego rzeczywiście jest zaprzeczeniem »Pokłosia«. Jest dziełem paradoksalnym: nastrojowym, nostalgicznym obrazem o Holokauście w nas".

Kilka tygodni temu dużo ostrzej na naszych łamach pisał poeta i krytyk Remigiusz Włast-Matuszak: „Apogeum liberalnej kultury PO/PSL/UE – »Ida«. Ponownie polski chłop morduje żydowskie dzieci, by zagarnąć ich dom i ziemię. A pani prokurator, nie chcąc dalej żyć w tak antysemickim kraju, wyskakuje przez okno".

Spór o „Idę" przetoczył się przez polskie media. Szkoda, że zbyt często przybierając formę „skoro zagranicą docenili, to znaczy, że wielkie, a kto krytykuje, ten ciemny i tępy nacjonalista". Sam reżyser sobie nie pomógł, bo zamiast powiedzieć: „Taka jest moja artystyczna wypowiedź, nakręciłem film, niech mówi sam za siebie, a wy interpretujcie sobie, jak chcecie", zaczął się wikłać w polityczne manifesty. Ledwie zaprzysiężony został rząd Beaty Szydło, a Pawlikowski już narzekał, że Polacy wybierając PiS, pokazali, iż nie umieją korzystać z wolności. I dodawał w wywiadzie dla „Newsweeka", że boi się „żądzy destrukcji, wpieprzania się do wszystkiego, tych najazdów po północy, nienawistnych transparentów na moście Poniatowskiego, których język staje się poniekąd normą… Boję się też złości, boję się zarazić ich złością".

RAZEM Z KOD

Receptą na normalność były według Pawlikowskiego marsze KOD. I w ogóle nastąpił czas walki, bo za moment miało być

eprasa.pl f1c0d8f093

u nas gorzej niż w PRL: „Jeżeli Polska stanie się całkowicie PiS-owska […], wtedy nie będzie jak za komuny, że warto trwać, być kamyczkiem w bucie władzy. Wtedy istniało poczucie, że artyści i naród są razem, bo mają wspólnego wroga. Teraz może się okazać, że naród już nie jest z nami, w końcu spora część społeczeństwa chce tej PiS-owskiej demokratury. Na razie to tylko 6–7 mln, ale nie wiadomo, co tu się zacznie dziać, gdy położą łapę na wszystkim. Wówczas niczego tu nie nakręcimy. Już się robi groźnie".

Jeżeli tak groźnie było kilka tygodni po objęciu rządów przez PiS, to można tylko wyobrażać sobie, jak bardzo przerażony Pawlikowski musi być dziś, czyli dwa i pół roku później. No, właściwie nie trzeba sobie wyobrażać, wystarczy poczytać, co opublikowała agencja AFP przy okazji prezentacji nowego filmu Pawlikowskiego „Zimna wojna" w Cannes.

CZARNA LISTA?

W tekście przedstawiającym sylwetkę reżysera Pawlikowski wypowiada się o polityce chętnie, sypiąc jak z rękawa takimi oto mądrościami: „Jest teraz »czarna lista« książek, reżyserów teatralnych i filmowców, którzy nie mogą być wspierani. Mam zaszczyt być na tej liście". Albo: „Wraz z nowym rządem, który przejął całkowitą kontrolę nad publiczną telewizją, wracamy do czasów komunizmu".

Stwierdzenie Pawlikowskiego jest zwykłym kłamstwem, bo „Idę" w ostatnich latach dwukrotnie pokazano w TVP2 i czterokrotnie w TVP Kultura, a kolejna emisja zaplanowana jest na czerwiec. Przypomniała o tym sama telewizja publiczna, ale najlepiej powinien wiedzieć reżyser, wszak tantiemy z emisji trafiają do artystów. No, chyba że wiedzieć nie chce.

Pawlikowski jednak jedzie dalej: „Na indeksie znalazły się również książki Olgi Tokarczuk, Andrzeja Stasiuka i filmy Agnieszki Holland, »Pokłosie« Władysława Pasikowskiego, książki Doroty Masłowskiej, Adama Zagajewskiego, Zygmunta Miłoszewskiego, spektakle Krystiana Lupy". Byłoby śmiesznie, gdyby nie ponuro i kłamliwie. Sam widziałem, jak Olga Tokarczuk była oficjalnym gościem ubiegłorocznych targów książki w Kijowie, no ale może była to fatamorgana. Polskich krytyków rekomendujących tłumaczom książki Miłoszewskiego widziałem z kolei w minionym czerwcu na Kongresie Tłumaczy w Krakowie, ale może po prostu zwidy nękają mnie często. I tak dalej.

Kabaretowo zabrzmiał fragment, w którym Pawlikowski skarży się, że film „Ida" „został też publicznie skrytykowany przez panią premier Szydło i innych polityków rządzącej partii". Czego Pawlikowski najwyraźniej nie rozumie, to faktu, że jak długo on może publicznie krytykować Beatę Szydło, a Beata Szydło publicznie krytykować Pawlikowskiego, to jest to bardzo wolny i normalny kraj.

Kiedy wicepremier i minister kultury Piotr Gliński wypomniał Pawlikowskiemu, że na przywiezioną do Cannes „Zimną wojnę" dostał państwowe pieniądze (i to dwa razy – od poprzedniej szefowej PISF i od obecnego), reżyser zamiast przeprosić za bzdury, wybrał obronę przez atak i postanowił przebrać się za wielkiego obrońcę polskiej kultury w ogóle.

„Zabieranie państwowego dofinansowania ważnym, lecz politycznie niewygodnym festiwalom, teatrom lub czasopismom również nas – twórców kultury – napawa niepokojem i jest formą cenzury ekonomicznej – zagrzmiał. – Mam nadzieję, że władza w końcu zrozumie, że sukcesy polskich twórców kina, teatru, literatury, malarstwa za granicą są cenne dla wizerunku naszego kraju i że wszelkie próby inżynierii dusz i rządowego sterowania kulturą prowadzą Polskę w ślepy zaułek konformizmu, miernoty i skutkują osłabieniem żywych kontaktów polskiego doświadczenia ze światem".

OPŁATA ZA POGARDĘ

Bzdura goni bzdurę, absurd goni absurd. W Polsce artyści, którzy odkryli, że najłatwiejszą drogą do popularności nie jest działalność artystyczna, tylko bluzganie w mediach na PiS, do perfekcji doprowadzili sztukę szantażowania polskiego państwa. Domagają się państwowych pieniędzy, odrzucając jakąkolwiek próbę kontrolowania, na co te pieniądze zostaną przeznaczone. I co gorsza, ciągle te pieniądze dostają. Elementarna wrażliwość nakazywałaby, żeby artysta polski przejadając pieniądze polskiego podatnika, miał choć odrobinę szacunku dla jego światopoglądu. Tymczasem do dobrego tonu w środowisku Pawlikowskiego i jemu podobnych należy szydzenie z polskich obywateli. Bo jakże inaczej nazwać pogardę manifestowaną wobec ich politycznych wyborów?

Pawlikowski krzyczy, że „nowy rząd przejął kontrolę nad telewizją publiczną", ale nie przeszkadzało mu to, kiedy taką kontrolę przejmowały rządy PO-PSL, a wcześniej SLD-PSL. Poucza, co jest cenne dla wizerunku kraju, nie zauważając, że rozpowszechnianie w zagranicznych mediach zwykłych kłamstw na temat „czarnych list", „cenzury ekonomicznej" itd. dobrze się temu wizerunkowi nie przysługuje. To choroba szeroko rozpowszechniona w dwóch najbardziej dziś wpływowych środowiskach artystyczno-medialnych. Wśród sierot po Polsce Platformy, wśród ludzi otumanionych propagandą „Gazety Wyborczej" oraz wśród sierot po PRL i transformacji ustrojowej. „Analityków" w rodzaju Pawlikowskiego jest legion – jeśli nie aktorzy, to reżyserzy, jeśli nie pisarze, to twórcy teatru, wszyscy opętani antykaczyzmem, ale jednocześnie żądni dotacji rozdzielanych przez państwo. Państwo tymczasem wychodzi na ostatniego frajera – daje, bo się boi, że jeśli nie da, to Holland na zmianę z Pawlikowskim et consortes będą urządzać seanse nienawiści dziesięć razy częściej niż do tej pory.

Czy artysta może mieć własne poglądy polityczne? Oczywiście. Czy ma prawo krytykować rząd? Często nawet powinien. Czy nie powinien jednak także mieć przy okazji odrobiny klasy? W opublikowanej niedawno książce Frédérica Beigbedera „Rozmowy dziecięcia wieku" znalazł się wywiad z włoskim pisarzem Antonio Tabucchim, który nie cierpiał premiera Silvio Berlusconiego. Opowiada w nim, jak pewnego razu stanął przed trudnym wyborem: nielubiana władza chciała go wysłać jako przedstawiciela włoskiej kultury na targi książki we Francji. Tabucchci zorientował się, że „część kosztów podróży, pobytu, ptifurek, ciastek i czekoladek jest opłacana przez pana Berlusconiego i włoskie ministerstwo". Teraz uwaga: „Gdy się o tym dowiedziałem, nie miałem ochoty brać pieniędzy od pana Berlusconiego" – wyznaje Tabucchi. A dopytywany, co zrobił, odpowiada: „Powiedziałem, że ewentualnie przyjadę na własny koszt".

Podobno pod rządami PiS – tak twierdzą rozmaici podobni Pawlikowskiemu artyści – coraz dalej nam do standardów europejskich. Jest okazja je przywrócić, może właśnie z inspiracji tym włoskim przykładem. Róbcie, co chcecie. Krytykujcie, kogo chcecie. Na własny koszt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Równanie z ziemią

Joanna Lichocka

Rysem charakterystycznym miejsc, „z których jest" Jarosław Marek Rymkiewicz, jest to, że ich już nie ma

Adres, precyzyjnie określone miejsce geograficzne, jest ważny. „Zastanów się warszawski inteligencie w trzecim pokoleniu. Bo może ty w ogóle nie zasługujesz na to, żeby gdziekolwiek mieć miejsce urodzenia?" – tak w „Rozmowach polskich latem 1983 roku" pan Mareczek rozważa, skąd pochodzi.

Tym, skąd jest, pisarz zajmuje się często, ale drobiazgowe poszukiwania adresowe dotyczą przede wszystkim postaci, o których pisze – Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Bolesława Leśmiana, a także Tadeusza Reytana czy Samuela Zborowskiego. Towarzyszy temu zwykle ustalenie, jak współcześnie – w chwili, gdy pisarz opisuje miejsca życia i poczynań swoich bohaterów – owe adresy wyglądają. Z jakiegoś powodu ta konsekwentna metoda – uściślenie miejsca – jest pisarzowi koniecznie potrzebna. Dokładnie brzmi to tak (rzecz dzieje się w „Wieszaniu" gdy młody czeladnik kowalski wyszedł z kuźni stojącej tam, gdzie dom Bez Kantów, z rozpaloną do czerwoności sztabą): „Sztaba uderzyła w kark, przecięła, może przepaliła szyję, głowa Fiodora Gagarina odpadła od ciała i poleciała na jezdnię, jeździec bez głowy zachwiał się w siodle, ale ściągnął cugle i utrzymał równowagę, a jego głowa upadła w tym miejscu, gdzie teraz, vis à vis kościoła Panien Wizytek, u wylotu Królewskiej, stają na czerwonych światłach samochody, jadące od strony hotelu Victoria i zamierzające skręcić w prawo w Krakowskie Przedmieście – i potoczyła się pod koła samochodów". A kilka akapitów wcześniej, opisując tę samą bitwę

eprasa.pl f1c0d8f093

Dwór w Świerczynie babki Aliny
FOT. ARCHIWUM RODZINY

na Krakowskim Przedmieściu pułku Działyńskich z syberyjskimi grenadierami, autor tak zachwyca się widokiem (bitwa była zwycięstwem naszych): „Ich granatowe mundury, ich żółte naramienniki i kołnierze, ich różowe rabaty, ich błyszczące w słońcu warszawskiego kwietnia bagnety i pałasze między bramą Uniwersytetu i przystankiem autobusowym przed Księgarnią imienia Prusa”!

Zdarzyło się właśnie tu, w tym konkretnym miejscu, nie dalej, nie bliżej. O widzicie – przed Prusem. A co z przeszłością, z czasem przeszłym? „Nasza pamięć czas ten ujmuje – we fragmentach, ułamkach, okruchach” – pisał w 1977 r. Rymkiewicz w książce „Aleksander Fredro jest w złym humorze” – „a wszystko w jednej chwili”. Przeszłość jest wiecznym teraz, gdzie zdarzenia, ich okruchy stoją obok siebie – „ta budowla stoi w czasie teraźniejszym naszej pamięci”.

Być może zatem – skoro przeszłość jest porządkiem rozsypującym się i budowanym przez pamięć na nowo – dookreślenie miejsca jest tak ważne, bo istnieje bezwzględnie? Dwory, kamienice, groby mogą być równane z ziemią, ale miejsce trwa.

Pan Mareczek w „Rozmowach...”: „Zrób coś takiego, o mój Boże, żeby to, co piszę, na wieki było wierne temu, o czym piszę. [...] Pomóż mi wypowiedzieć bezruch i ruch, trwanie i przemijanie, chaos i porządek. Chciałbym opisać całe moje tu życie, nasze tu życie [...]. Ale jak pisać, o Boże, jak pisać?”. Pan Bóg „rozsunąwszy [...] zatrzymane przed chwilą obłoki, mówi do pana Mareczka: – Pisz prawdę, Mareczku. I ładuj konkret, bo wszelka potomność, jak mi dobrze wiadomo, uwielbia konkrety”.

Te adresy, te ściśle oznaczone na siatce kartograficznej punkty to ów konkret.

Przyjrzyjmy się im – adresom Jarosława Marka Rymkiewicza, miejscom, skąd, z jakich okolic, jego ród.

WOŁYŃ

Pan Mareczek w „Rozmowach” próbuje snuć, nieprzekonująco zresztą, hipotezę, że pochodzi z przedzielonej granicą (wtedy sowiecką) Suwalszczyzny, z Winksznupia, które niegdyś było własnością tatarskiego gen. Baranowskiego, przodka i pana Mareczka, i autora zarazem. „Nad jeziorem Gaładuś, co w połowie ruskie, mój dom, nora lisia”. Utrzymać to się – wobec oczywistych faktów biograficznych – nie dało, pan Mareczek koryguje to więc kilka stron dalej w rozmowie z dziadkiem Baranowskim, który mówi mu: „Co do tego generała Baranowskiego z Winksznupia, to wcale nie jest pewne, czy my stamtąd pochodzimy. Bo ja się urodziłem w Hiranowcu pod Żytomierzem”.

Rzeczywisty dziadek Wacław Baranowski wcale jednak nie urodził się w Hiranowcu, tylko we Włodzimierówce pod Włodzimierzem Wołyńskim – to wiemy z jego metryki ślubu z Aliną Rau i z jego aktu zgonu. Jednak w zapisach rodzinnych dziadek jest „spod Żytomierza”. W wywodzie rodu Baranowskich zapisano precyzyjnie: „Szymon, [...] właściciel majątków Maniatyn, Hełubne, Hiranowiec i Mokre na wsch. Wołyniu”.

Zatem Wołyń. Maniatyn leży tuż obok (jakieś 5 km w linii prostej) Berezdowa w obecnym obwodzie chmielnickim, niedaleko miasteczka Sławuty. Do Żytomierza jest jakieś 100 km (trasą wyznaczaną przez nawigację w Internecie – 124 km). Trochę bliżej jest do Równego, to nieco mniej niż 100 km. Gorzej jest w przypadku drugiego majątku. Hiranowiec nie istnieje – mnie w każdym razie nie udało się go znaleźć – próżno go szukać w atlasach, słownikach i wyszukiwarkach. Być może przepadł wchłonięty przez jakąś inną miejscowość, może przestał istnieć starty z powierzchni (wraz z jego mieszkańcami) wołyńskiej ziemi. Niedaleko Maniatyna (10 km) leży jednak Horowiec. Różnica nazwy jest spora – ale brzmi podobnie. Czy te istniejące po sąsiedzku miejscowości to miejsce, z którego wywędrował dziadek poety?

„Dobrze jest przecież – myśli, już przysypiając, pan Mareczek – znać miejsce swego urodzenia. Bo jednak tu się urodziłem, właśnie tu, a nie tam, nie w Warszawie”.

A jeszcze jest Niemirów. Miasteczko na Wołyniu, ze słynnym gimnazjum, do którego trafiło część kadry nauczycielskiej po zlikwidowaniu Liceum Krzemienieckiego. Czy dlatego matka poety – Hanna – miała na drugie imię Niemira?

Szkic mieszkania przy ul. Koszykowej 38
FOT. ARCHIWUM RODZINY

Czy został tak zapisany przez dziadka Baranowskiego ślad miejsca? I mówi w ten sposób panu Mareczkowi – skąd jesteś? Z Wołynia, wnuku.

Jednak przecież z Litwy też. Ze Żmudzi, z miasteczka Kroże i z powiatu szawelskiego, skąd Jerzy Rymkiewicz z Bogumiłą z Ordyłowskich, prapradziadkowie poety, wyruszyli do Królestwa, do Blizanowa, w okolice Kalisza.

eprasa.pl f1c0d8f093

Zatem i z południowej Wielkopolski. Z przedmieść Kalisza, wsi Dobrzec, ale i z ulicy Łaziennej w Kaliszu, gdzie mieszkała z matką babka poety Irena Rymkiewczówna, nim wyszła za mąż za Brunona Szulca. To centrum miasta, na którym Niemcy przeprowadzili próbę generalną przed tym, co zrobili z Warszawą. W 1915 r., kiedy Kalisz opuściła armia rosyjska, niemieckie wojska metodycznie, ulica po ulicy, paliły i wysadzały w powietrze większość miasta. Osobiste, rodzinne doświadczenie równania z ziemią jest wpisane w metrykę poety – nie jest jednorazowe, historia rozpisała je na pokolenia.

BEZ ŚLADU

I jest Mazowsze – Pułtusk, majątek Kleszewo dziadków Rauów oraz Gnojno przemienione na Świerczyn, a należące do babki Aliny Baranowskiej. Zdaje się, że istnieje do dziś jedna z kamienic w Pułtusku, która należała niegdyś do Rauów, reszty – nie ma. W poszukiwaniu miejsc „skąd jest" Jarosław Marek Rymkiewicz, w ścisłych, precyzyjnych oznaczeniach kamienic i mieszkań, w opisywaniu krawędzi murów, układów cegieł, wykroju okien i okuć drzwi, chropowatości tynku, gładkości drewnianych poręczy – jesteśmy bez szans, bo niczego nie ma. Miejsca zrównane z ziemią – to rys charakterystyczny. Dotyczy to także cmentarzy. Grób dziadka Baranowskiego pochowanego na cmentarzu ewangelickim w Pułtusku w grobowcu rodziny Rauów został przez Niemców – teraz wydaje mi się to oczywiste, mieści się w tej logice – zrównany z ziemią.

W kamienicy przy Nowogrodzkiej, gdzie wisiał taki kilim jak ów wspominany w „Rozmowach polskich…" (kupiony w cepelii, „kolory kilimu: szary, brązowy, zielony, czerwony i żółty"), poeta mieszkał z rodzicami w pierwszych czterech latach swego życia, do września 1939 r. Pisarz mówił mi, że pamięta balkon i koronę drzewa, gdzieś na wysokości balkonu. To by oznaczało, że mieszkanie – wynajmowane przez rodziców – musiało być na drugim lub trzecim piętrze. Z balkonu widać było Marszałkowską i tramwaje jadące w kierunku Dworca Głównego, którego gmach stał naprzeciwko hotelu Polonia, a których widok z mieszkania mały Jarek zapamiętał. W mieszkaniu – tak również zapisała to pamięć dziecka – był patefon z wielką korbą, ustawiony w szafce, a na dole pod patefonem stały płyty. Pokój dziecinny, który zajmował ze starszą siostrą i gdzie – jak pamięta – rozbijał jej lalki o ściany, był właśnie z wyjściem na balkon. „Dom w którym było to mieszkanie, stał mniej więcej tam, gdzie teraz jest wielopiętrowy parking obok hotelu Forum" – czytamy w „Rozmowach polskich...". Informacja ta została podana także przez siostrę poety w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów". To ścisłe, eleganckie, zamożne Śródmieście przedwojennej Warszawy.

Autor „Kinderszenen" także urodził się w Śródmieściu. Poeta wskazuje je precyzyjnie – to prywatny szpital położniczy znajdujący się przy ul. Marszałkowskiej, w jej głębi, o krok od pl. Zbawiciela. Chodzi o klinikę dr. Ludwika Bryndza-Nackiego, która mieściła się budynku postawionym w 1890 r. na potrzeby wcześniej działającego tu z Zakładu Leczniczo-Ginekologicznego dr. Apolinarego Thiemego, znanego polskiego lekarza położnika i twórcy pierwszej takiej kliniki w Warszawie. W czasie, gdy Jarosław Marek Rymkiewicz przychodził na świat, był to znany, renomowany szpital.

We wrześniu 1939 r. ze zniszczonego mieszkania przy ul. Nowogrodzkiej rodzina Rymkiewiczów przeniosła się na ul. Koszykową 38

Możemy się mu trochę przyjrzeć. Budynek stał w głębi posesji, przed nim, od strony ul. Marszałkowskiej, był ogród, na zdjęciu pochodzącym z książki Stanisława Herbsta „Ulica Marszałkowska" widać, że miał trzy piętra, piaskową elewację i solidną stolarkę. Miał też niemniej solidne ogrodzenie z podmurówką, murowanymi słupkami połączonymi balustradą. Reprezentował przyzwoitą XIX-wieczną architekturę – i przetrwał wojnę. W czasie powstania warszawskiego mieścił się w klinice szpital polowy, w czasach PRL przychodnia dla komunistycznych notabli. III RP budynek nie przetrwał.

„Z przedwojennej kliniki została kupa gruzu – ogłosił 16 czerwca 2011 r. portal TVN Warszawa. – Śladów świetności budynku z końca XIX w. trudno było się doszukać, za to dla sąsiadów klinika była dopustem bożym. Zabierała światło i część podwórka". Budynek kliniki, miejsce urodzenia poety – zostało zrównane z ziemią.

Zachowana w domowym archiwum poety metryka nie wspomina, że urodził się on właśnie w tej klinice (niedaleko stuku tramwajów sunących Marszałkowską). „Wypis z Aktu Urodzenia wydanego na zasadzie ksiąg metrycznych Za Rok 1937 nr 93" i wystawiony przez Parafię Kościoła Rzymsko-Katolickiego św. Aleksandra w Warszawie mówi, że Jarosław Marek Szulc, syn Władysława Michała i Hanny małżonków Szulc (tu widnieje błędny dopisek „córka Niemiry z Baranowskich"), urodził się pod numerem 1618-L przy ul. Nowogrodzkiej 13 lipca 1935 r. Jest także wiadomość, że ochrzczony został niecałe dwa lata później, bo 25 kwietnia 1937 r. Wypis został wydany 29 września 1942 r. To dlatego w tej metryce, na samym szczycie, po lewej stronie, pierwszą informacją jest napis odciśnięty pieczątką: „GUBERNIA GENERALNA".

Nowogrodzka 1618-L – to prawdopodobnie numer hipoteczny adresu Nowogrodzka 33 – tu w książce telefonicznej Warszawy z 1939 r. wymieniony jest Władysław Szulc, adwokat. Chyba jednak nie jest to miejsce, na którym stoi parking mający dziś numer Nowogrodzka 27. Pod numerem 33 stoi zaś peerelowski, ośmiopiętrowy blok, na rogu Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej, naprzeciw parterowej części hotelu Novotel. Tak, z tego położenia można było z balkonu zobaczyć masywny gmach Dworca Głównego.

BAŻANT OD BUKIETA

„I pan Mareczek przypomina sobie bażanta w piórach, który leżał na półmisku w mieszkaniu na Nowogrodzkiej, a przyniesiony został od Bukieta. Kto dzisiaj wie, co to znaczy: od Bukieta?". Ano właśnie. Ja wiem, ale musiałam poszukać.

Z publikacji „XV lat istnienia zakładów gastronomicznych »Pod Bukietem« 1923–1938" można się dowiedzieć, że chodzi o sieć restauracji, których centrala mieściła się przy ul. Marszałkowskiej 114. „Przed pięćdziesięciu kilku laty założył w tem miejscu Tomasz Gabler restaurację pod firmą »Metropol«, prowadzoną od 1907 r. przez Leona Moraczewskiego. W roku 1910 zakład ten został nabyty przez Władysława

eprasa.pl f1c0d8f093

Rodzice poety w mieszkaniu przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie
FOT. ARCHIWUM RODZINNE

Bocqueta, który prowadził go przez dziesięć lat pod swoją firmą" – czytamy w jubileuszowej publikacji zakładów. Władysław Bocquet był synem Aleksandra, który od lat 60. XIX w. prowadził w Warszawie restauracje i hotel. W 1923 r. restaurację przy Marszałkowskiej przejęła spółka, „na której czele stanął prezes Roch Krzeczkowski", co „stanowiło punkt zwrotny w historii tego zakładu, prowadzonego odtąd pod nazwą »Pod Bukietem«". Marszałkowska 114 była niedaleko Nowogrodzkiej, na rogu ze Złotą – tam, gdzie teraz jest budynek dawnego domu towarowego „Sawa". Był tam, oprócz „restauracji i gabinetów" oraz baru, także sklep ze specjałami wyrabianymi przez zakłady. Były też filie – trzy! – przy ul. Nowy Świat 5, Marszałkowskiej 90 oraz w Al. Jerozolimskich 39, czyli w Hotelu Polonia-Palace. Zatem ów bażant w piórach na półmisku na stole w salonie mieszkania przy Nowogrodzkiej mógł być przysłany właśnie stamtąd – hotel Polonia jest tuż obok, po drugiej stronie Marszałkowskiej. Ten jeden adres przetrwał.

KOSZYKOWA

We wrześniu 1939 r., prawdopodobnie na skutek bombardowań, mieszkanie przy Nowogrodzkiej nie nadawało się do zamieszkania. Rodzina przeniosła się na Koszykową 38, do mieszkania dziadków Szulców. Babka Irena już nie żyła, dziadek Brunon umiera w 1940 r. Od którego roku państwo Szulcowie mieszkali w Śródmieściu, tego dokładnie nie wiemy, ale musiało to być niedługo po 1904 r. Wcześniej, jak wynika z metryki ich syna Feliksa, zajmowali mieszkanie na ul. Bednarskiej – ta kamienica, choć zmieniona, istnieje. Potem zapiski w parafii św. Jana na temat rodziny Szulców się urywają – wyprowadzili się. Jeśli zatem zamieszkali wtedy przy Koszykowej – w zamożnej śródmiejskiej dzielnicy – to dziadek Szulc albo babka Irena, idąc do domu lub stojąc na balkonie, mogli zobaczyć to, o czym tak pisał „Kurier Warszawski" 19 września 1906 r.: „Dziś, o kwadrans na 10-tą z rana, gdy dowódca 7-ej baterii 111 brygady artylerii gwardii, pułkownik Eugeniusz syn Jana Nikołajew, lat około 40-tu, z mieszkania swego (Marszałkowska 38) szedł do sztabu III brygady, mieszczącego się przy ul. Koszykowej, na rogu tejże ulicy oraz Wielkiej podeszło do niego kilku ludzi i dało szereg strzałów z rewolwerów. Rażony 4-rna czy 5-ciu kulami przeważnie w tył głowy, co spowodowało wypływ mózgu, pułkownik Nikołajew padł trupem na miejscu. Sprawcy strzałów zbiegli bez śladu. Niebawem na miejscu zamachu znalazło się kilku oficerów oraz nadbiegły patrole i policja, które otoczyły dzielnice i zaczęły robić rewizje, ale bezskutecznie". Pewnie zrobili rewizję i w mieszkaniu dziadków poety.

Mieszkanie było czteropokojowe, z dużą kuchnią, trzema pokojami w amfiladzie. Na użytek tej książki poeta narysował jego szkic. Pośrodku korytarz, na jego końcu łazienka. Z lewej strony pokój i duża kuchnia. Z prawej gabinet ojca, przejście do kolejnego pokoju i na końcu amfilady pokój ostatni, obok łazienki, z napisem na szkicu „ja" – zajmowany przez mamę i dzieci. Z tej sypialni były drugie drzwi do łazienki. „Tam stała miedziana wanna i wielki owalny piec, też chyba miedziany, pod którym przed kąpielą paliło się drzewem oraz brykietami" – opisuje pisarz w „Kinderszenen". Jadalnia miała „wielkie okna oraz balkon wychodzący na ulicę Koszykową. Kto stanął w drzwiach balkonu albo na balkonie, po prawej ręce miał wylot ulicy Lwowskiej i dalej Halę na koszykach, a po lewej tramwaje jadące ulicą Marszałkowską". A na półpiętrach klatki schodowej – o tym także przeczytamy w „Kinderszenen" – stały posągi złotobrązowych Murzynek, które „fascynująco półnagie (ich piersi były obnażone, ich podbrzusza zasłonięte), w podniesionych rękach trzymały matowe abażury w kształcie kwiatów".

Z MILANÓWKA

Po wydaniu „Kinderszenen" do Milanówka przyszedł list od potomka właścicieli kamienicy prof. Juliusza Chrościckiego. Kamienicę przy Koszykowej 38 kupili jego dziadkowie Julian i Emilia Paderewscy. Dom przetrwał powstanie, ale kamienica została „spalona i rozgrabiona w listopadzie–grudniu 1944 r. przez hitlerowskie komanda działające w Śródmieściu". Profesor Chrościcki wspomniał także o próbie – nieskutecznej – dochodzeniu roszczeń za odebraną i zrównaną z ziemią przez komunistów kamienicę. Poeta w odpowiedzi zadeklarował, że gdy profesor odzyska kamienicę, on rezerwuje do wynajęcia mieszkanie na trzecim piętrze, z balkonem wychodzącym na Koszykową.

Takie to listy wymieniają chłopcy ze spalonego miasta.

Zachowały się notatki pracowników Biura Odbudowy Stolicy sporządzone w październiku 1946 r. Ze skrótów słów jasny tekst: „Budynek stary, murowany, pięć kondygnacji. Nie nadaje się do odbudowy. Oficyna prawa zburzona". W opisie zagrożeń zapisano: „Balkon frontowy prawy popękany i obciążony gruzem. Nadproże okienne prawe od frontu. Zabezpieczyć". To ten balkon?

Kamienica została rozebrana w 1950 r., by mógł powstać MDM – socrealistyczny projekt Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Zmieniono wtedy linię Koszykowej, odsunięto jej bieg od Śniadeckich i wykręcono w stronę centrum. To dlatego miejsce, gdzie stała, znajduje się teraz pod asfaltem obecnej Koszykowej, jej prawym – patrząc w stronę pl. Konstytucji, pasie, a może częściowo nawet pod chodnikiem i murami przeciwległej, nieparzystej strony. W „Kinderszenen" trwa ono tak: „Dom niejasno istniejący, na wpół przezroczysty, unosi się ponad jezdnią, jeszcze trochę istnieje (dokąd ktoś go sobie wyobraża – niebawem po mojej śmierci zniknie i ta zjawa)". Dzisiaj przejeżdża pod nią autobus linii 159.

„Zawsze uważałem, że najlepiej jest być Polakiem, najlepiej z Warszawy, najlepiej z ulicy Koszykowej, najlepiej – z domu pod numerem 38. A teraz uważam, że najlepiej być Polakiem z Milanówka. Ale kto uważa, że najlepiej być z Brwinowa – też ma rację" – te słowa z rozmowy z prof. Andrzejem Nowakiem dla „Arcanów" z 2012 r. zrozumiałe są tylko u nas – na Litwie, na Wołyniu, w Wielkopolsce, na Mazowszu i w Warszawie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Krzysztof Masłoń

Arcydzieło

Od, najmarniej licząc, trzydziestu kilku lat zawodowo zajmuję się literaturą. W pierwszym rzędzie, co oczywiste, literaturą polską. I po 1989 r. – jak sądzę, nie będąc w tym odosobniony – liczyłem na to, że teraz, po zdjęciu cenzorskiego knebla, niepozwalającego, nawet najświetniejszym pisarzom, tworzyć dzieł na miarę ich talentów, powstaną utwory wybitne, godne wielkiej przeszłości literatury polskiej, bo w swoich najmocniejszych porywach bywała ona prawdziwie wielka.

Tak się nie stało i nie pora tu ani miejsce, by roztrząsać powody dlaczego. Jednak jeden, jedyny raz – w tym czasie, w wolnej Polsce – czytając nową powieść rodzimego autora, poczułem, że obcuję z literaturą wprost nawiązującą do tego, co w annałach naszego narodowego piśmiennictwa najlepsze. Był to „Warunek" Eustachego Rylskiego, pisarza znanego z wydanego wcześniej, jeszcze w PRL, też znakomitego „Stankiewicza". Nazwałem wtedy tę niewielką książeczkę arcydziełem, może nieco na wyrost, ale nie wycofuję się z tamtej oceny. Tyle że nie wiem, jak określić mam obecnie to, co w „Nad Zbruczem" napisał Wiesław Helak. Autor, mimo tego, że jest to już jego piąta książka, wciąż niedostatecznie spopularyzowany, bardziej chyba kojarzony z wcześniejszymi filmami, bo zajmował się reżyserią, niż z literaturą, mimo bardzo dobrej „Lwowskiej nocy" czy „Tryhubowej". Jednak cóż, nie wyszły te tytuły poza krąg – co mówię z pewnym sarkazmem – wtajemniczonych. Bo to nie takie książki są nagradzane, nie takie książki czyta młode pokolenie, a dokładnie ta jego część, która w ogóle jeszcze czyta.

Jeśli „Warunek" był arcydziełem, to „Nad Zbruczem", powieść już samym tytułem nasuwająca oczywiste skojarzenia z „Nad Niemnem", jest arcydziełem do kwadratu. To powieść arcypolska, arcykatolicka – a to dziś prawdziwy ewenement – a przy tym krystalicznie piękna. Dziejąca się na przełomie XIX i XX stulecia, fabułą sięgająca po 1939 r. Cała osadzona w naszej przeszłości, a przecież przemawiająca do nas, tych z XXI w., tych dzisiejszych.

KOZACY ZZA RZEKI

Życiorys Konstantego, pierwszoplanowej postaci „Nad Zbruczem", nie jest wcale jednoznaczny. Cichym bohaterem, bo jest takim, staje się pod wpływem wydarzeń historycznych, w których bierze udział. A po drodze upada, i to wielokrotnie. Rumieniec wstydu wywołuje w nim wspomnienie tego, jak zachował się na wiedeńskim dworze, gdy przed obliczem rosyjskiego satrapy, który tam akurat zjechał, przedstawiony mu wyrzeka się polskości, powiadając: „Ja nie jestem Polakiem u dworu…". A przecież ojciec przestrzegał go: „Nie będziesz służył cesarzowi. Nikt z naszej rodziny nie był sługą u obcego". On jednak przez jakiś czas był. W gruncie rzeczy przypadek sprawił, że nie zrobił w Wiedniu kariery i powrócił do domu, nad Zbrucz, gdzie przywitał go stary napis na bramie wjazdowej: „Wiara i praca".

W tym domu najważniejsi byli oczywiście rodzice, służba, ale niepodobna było zlekceważyć… koni. Opisy ich pełne są miłości, oczarowania pięknem tych zwierząt, znajomością ich zwyczajów. Już na początku powieści trafiamy na świetną scenę ścigania się konno Konstantego z jego ojcem: „... właściwie nie lubił jazdy konnej, już samo siadanie na grzbiecie zwierzęcia wydawało mu się nienaturalne, a gonitwa bez celu czymś, co wyzwala emocje niegodne istoty myślącej. Uważał, że Stwórca powołał konie

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI/FORUM

eprasa.pl f1c0d8f093

do kwadratu

do życia jako najdoskonalsze przykłady piękna, toteż codzienne ich używanie było w jego mniemaniu jak grzech pierworodny, łamało czystość na zawsze. […] Teraz jechał kłusem piaszczystą drogą i myślał o tym, że jego granatowy strój, który kazał mu kupić ojciec w nadziei, że zrobi z niego jeźdźca, ten pięknie skrojony żakiet i bryczesy zaraz pokryją się kurzem, a on sam będzie wyglądał jak ci Kozacy zza rzeki, brudni i spoceni".

Ci Kozacy przyjdą tam kiedyś, wytracą stadninę i wszystkie te piękne konie, najbliżsi zaś Konstantemu… No nie, nie będę przecież streszczał powieści. W każdym razie ojciec, jeździec zawołany, podobnie jak po latach potomek Konstantego, będzie pouczał niekwapiącego się do jazdy syna: „Puść wodze luźniej!", a w jego spojrzeniu odczytać można było zdanie: „Jakżeż ty możesz być następcą moim, jeśli koni nie pojmujesz?!".

OKOPY ŚWIĘTEJ TRÓJCY

Konstanty ma duszę artysty – podróżując po Europie, poznał najznakomitsze galerie malarskie i sale koncertowe, jest człowiekiem oczytanym, a jednak uświadamia sobie, jak silnie tkwią w nim wartości nabyte w dzieciństwie i w pierwszych latach młodzieńczych. Uśmiechać się może do wspomnień, ale na pamięć zna „Pieśni Janusza" Wincentego Pola, w całości i na wyrywki, bo za błędy ojciec karał go, i to ostro. W nowym malarstwie, ekspresjonizmie i innych izmach dominujących w sztuce europejskiej próżno szukał tych wzruszeń, które znajdował u Caravaggia czy Botticellego. W sztuce celowo deformowanej widział jedynie skryty strach i pustkę. Aż zdał sobie sprawę, że cały szum wokół obrazów „brudnych i egzaltowanych", przedstawiających a to żółtego Chrystusa na krzyżu (Paul Gauguin), niebieskiego konia (Franz Marc), a to znów autoportret artysty z obciętym uchem (Vincent van Gogh) niesie ze sobą co najwyżej „przemijające półprawdy, mity i teorie bez znaczenia".

Tak naprawdę opowiedział autor o Polsce, której nie było, która istniała jedynie w pamięci i w snach naszych przodków, a której bronili przed rosyjską, a później sowiecką przemocą, przed terrorem germanizacji, ale i wynarodowieniem, do czego zachęcał trzeci z zaborców – austriacki, może najbardziej podstępny. Opowiedział o determinacji i heroizmie tych, o których Zygmunt Krasiński przedwcześnie, ale jednak proroczo napisał, że zniknęli z powierzchni ziemi i wielkie milczenie jest po nich. Otóż Wiesław Helak milczenie to przerywa, nieprzypadkowo sytuując fabułę swojej powieści u stóp Okopów Świętej Trójcy.

Stworzył Helak dzieło niezwykle plastyczne, także z innymi wyrazistymi postaciami, przede wszystkim ze wspaniałym ojcem Konstantego, na każdym kroku przypominającym, że: „Trzeba w ciszy miłować Boga w jego darach", a komunię świętą przyjmującym jedynie od wielkiego dzwonu, bo człowiek jest mały wobec Eucharystii, a to, że ma nie grzeszyć, jest oczywiste.

Twórca filmowy myśli obrazami, tak też dzieje się w najnowszej powieści autora „Lwowskiej nocy". Scena, w której Konstanty – na oczach całej wsi – przeprasza w kościele swego sługę, stangreta Iwaszkę, za to, że podniósł na niego rękę, i całuje go w dłoń, byłaby w filmie zrealizowanym według „Nad Zbruczem" jedną z tych nie do zapomnienia. Gdyby taki film powstał…

W kaplicy, zanim przeprosił Iwaszkę, Konstanty rozpoznawał kolejno modlących się: „… najbliżej ołtarza, tuż za matką, siedziała zgarbiona w ławce Marfuta, a obok niej lokaj Charyton, który był we dworze najdłużej. Przyjechał za ojcem zza kordonu, gdy car zabrał jego pana majątek za udział w powstaniu, i stamtąd też, z dalekich stepów Podola, byli inni: koniuszy Mykoła, kucharz Matwij i ogrodnik Parfen. Reszta służby była tutejsza, z majątku matki, ale wszyscy modlili się po polsku, choć także i po rusińsku w unickiej cerkwi, którą matka wybudowała im we wsi". Ilu z nich podchodziło potem pod dwór, by palić, niszczyć, grabić… Ci najwierniejsi – nie, ale reszta… Z drugiej strony wybitny przedstawiciel polskiego ziemiaństwa, niegdyś marszałek powiatu, pokrzykiwał: „Ja panie to mówię, że co nie jest Polską, to jest Moskwą. A Rusi nie ma wcale… I nie życzę sobie, żeby moje dzieci uczyły się w języku pastuchów!".

HARMONIA I PIĘKNO

Powieść nie jest, jak widać, apoteozą polskiego ziemiaństwa. Nic podobnego. Ten sam ojciec bohatera, na okrągło powtarzający zmieniającą się w zależności od okoliczności maksymę: „Harmonia i uniżenie", „Harmonia i siła", „Harmonia i dyscyplina", a w końcu także „Harmonia i piękno", bez namysłu i bez litości każe wybatożyć kłusownika, który śmiał w jego lasach zapolować na dzika, a to „jego las i jego dzik". Główny bohater też pod naciskiem zrewoltowanej tłuszczy z dnia na dzień dziesięciokrotnie podnosi uposażenie pracującym w jego majątku, co pokazuje, że było to możliwe też wcześniej, a jednak tego nie robił, skazując tych ludzi na życie w wiecznym niedostatku. A więc nic tu nie jest do końca oczywiste, nic nie jest lekkie, łatwe i przyjemne, jak mawiano w Galicji – cacane. Poza jednym: obowiązki polskie przedkładane są ponad wszelkie inne.

Tak jak Konstanty buntuje się przeciw swojemu ojcu, tak przeciw niemu z kolei buntować się będzie jego syn. Na szczęście więzy krwi okazują się mocniejsze niż te konflikty, zresztą i dziadek, i ojciec, i syn są podobnie silnymi ludźmi: głównie dzięki tej sile, którą daje miłość.

WIESŁAW HELAK „NAD ZBRUCZEM" ARCANA 2018

Z książki Wiesława Helaka najmocniej utkwiły mi w pamięci słowa: „Żyj tak, jakby tylko od twego życia zależał los świata". Piękne zdanie, ale serdecznie żałuję, że nie wtłaczano go do uczniowskich łbów już przed laty, że nie wpojono go i mnie: może byłbym wówczas lepszym człowiekiem, lepszym Polakiem.

Lektura wydanej przez Arcana powieści „Nad Zbruczem" była dla mnie wielkim przeżyciem. Życzę, by takim stała się i dla państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Zdradzeni o świcie

★★★★★★

REŻ. PIOTR SZKOPIAK
„KATYŃ. OSTATNI ŚWIADEK" („THE LAST WITNESS")
POLSKA/WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Alex Pettyfer, Talulah Riley, Robert Więckiewicz

Kiedy na ekrany wchodził „Katyń", mówiło się, że tabu zostało przełamane i tylko czekać, aż o najohydniejszej ze zbrodni Stalina wypowiedzą się inni polscy filmowcy. Od tej pory minęło już ponad 10 lat i chętnych jakoś nie widać. I tym razem nie da się zrzucić winy na cenzurę ani Wajdę, który podobno blokował próby dobrania się do „jego" tematu przez mniej ustosunkowanych kolegów.

No cóż, są takie tragedie, w obliczu których milkną muzy. Wydaje się jednak, że prawdziwym powodem owej wstrzemięźliwości jest brak pomysłów tudzież obawa przed popadnięciem w martyrologiczny banał. W sukurs naszym twórcom przyszedł reżyser urodzony w Londynie. Akcja rozgrywa się w południowej Anglii, główne role grają brytyjscy aktorzy. Czyżby wyspiarzy wreszcie ruszyło sumienie i postanowili oddać hołd sojusznikom, rzuconym na pożarcie czerwonemu smokowi? Nic z tych rzeczy – reżyser ma polskie korzenie i osobistą motywację – jego dziadek zginął w Katyniu.

Piotr Szkopiak, mimo odmiennych życiowych doświadczeń i przynależności do młodszej generacji (miał dziewięć lat, gdy na ekrany wchodziła „Ziemia obiecana"), zastosował ten sam manewr co Wajda. „Ostatni świadek" jest bardziej filmem o kłamstwie katyńskim niż o samym mordzie.

Jest rok 1947. Wszyscy chcą wiedzieć, kto i dlaczego zabił polskich oficerów, ale polityczny interes Londynu wymaga, by trzymać gębę na kłódkę. „Myślmy o tej sprawie zawsze, lecz nie ujawniajmy jej nigdy" – te słowa mogłyby wyjść z ust Winstona Churchilla, którego portret wisi w gabinecie szefa lokalnej gazety. Jego podwładny w pogoni za sensacją odwiedza obóz uchodźców w Bristolu. I przypadkowo trafia w dziesiątkę: wśród dipisów ukrywa się chłop spod Smoleńska, świadek sowieckiej zbrodni.

Iwan Kriwoziercew alias Michał Łoboda żył naprawdę, pisał o nim m.in. Józef Mackiewicz. Scenarzyści postawili jednak na postać fikcyjną: dziennikarza z detektywistyczną żyłką, który rozgłosi prawdę o Katyniu i zdradzieckiej postawie rządu Jego Królewskiej Mości. Motywy, jakimi się kieruje, pozostają jednak enigmatyczne. Reporter Underwood z dziecinną łatwością dociera do dokumentów oznaczonych klauzulą „tajne łamane przez poufne". Sowiecka agentura również robi, co chce, zaś Wielka Brytania sprawia wrażenie państwa teoretycznego.

Warsztatowo „Ostatni świadek" jest dziełem poprawnym, ale pozbawionym ikry. Ograniczenia budżetowe też zrobiły swoje. W kinach film Szkopiaka obejrzą prawdopodobnie tylko Polacy. Świat nie dowie się więc, że Robert Więckiewicz to lepszy aktor niż Alex Pettyfer. Szkoda. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „HAN SOLO: GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE"

Drugi film z cyklu „Gwiezdne wojny – historie", który jest okazją do pokazania fabuł wychodzących poza kanoniczny cykl. Pierwszym był „Łotr 1", opowiadający o tym, jak zdobyto plany Gwiazdy Śmierci. Teraz zajrzymy jeszcze dalej w przeszłość, by poznać młodość Hana Solo, ujrzeć jego pierwsze kryminalne wyczyny, zobaczyć, jak poznał Lando Calrissiana i jak trafił na „Sokoła Millenium", a przede wszystkim by odkryć, kim była dla niego w tym czasie piękna Qi'ra. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Han Solo: Gwiezdne wojny – historie", reż. Ron Howard, wyst. Alden Ehrenreich, Emilia Clarke, Woody Harrelson, Danny Glover, USA 2018***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Pozycja obowiązkowa" („Book Club"), reż. Bill Holderman, USA 2018***
- ***„Made in Italy", reż. Luciano Ligabue, Włochy 2018***
- ***„Duża ryba i begonia" („Da Hai"), reż. Xuan Liang, Chiny 2016***
- ***„Futrzaki ruszają na ratunek" („Dwa chwosta"), reż. Victor Azeev, Rosja 2018***

eprasa.pl f1c0d8f093

Autorka widmo

Polański znów to zrobił – nakręcił film pozbawiony znaczenia. Są okoliczności łagodzące: skoro ambitne projekty wciąż biorą w łeb, a człek nie chce popaść w bezczynność, to lepiej już popełnić utwór kameralny jak spektakl teatralny. I przy okazji zmusić media, by wspominały o nim nie tylko w kontekście starych grzechów.

„Prawdziwą historię" można uznać za ćwiczenie stylistyczne Mistrza z czytelnymi aluzjami do „Wstrętu" i „Lokatora" (muzyka przywodzi na myśl „Psychozę" Hitchcocka). To wersja optymistyczna. Pesymista odpowie: król jest nagi i beznadziejnie staroświecki. Wciąż wierzy w psychoanalizę, od której zdystansował się już nawet Woody Allen. Tworzy dla francuskich snobów.

Delphine, autorka specjalizująca się w psychotycznych fabułach, zaprzyjaźnia się z pisarką gorszego sortu, ghostwriterką przekładającą na ludzki język zwierzenia celebrytów, Elle. Okazuje się ona osóbką wyjątkowo zaborczą. Kto zna „Misery", ten pomyśli, że jest w domu. Jeśli rzecz wydaje się wydumana, to z winy pań obsadzonych w głównych rolach. Seigner gra, jakby była na ciężkim kacu, Green przeciwnie – na mocnym rauszu. Na tej dysharmonii film zamiast zyskiwać, traci. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★★★

REŻ. ROMAN POLAŃSKI
„PRAWDZIWA HISTORIA" („D'APRÈS UNE HISTOIRE VRAIE")
FRANCJA/BELGIA 2017

wyst. Emmanuelle Seigner, Eva Green, Vincent Perez

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DANIEL SAM W DŻUNGLI

★★★★★★

REŻ. GREG MCLEAN
„DŻUNGLA"
USA 2017, KINO ŚWIAT

wyst. Daniel Radcliffe, Thomas Kretschmann, Alex Russell

Historia zdarzyła się naprawdę: młody Izraelczyk Yossi Ghinsberg na początku lat 80. znalazł się w Boliwii, gdzie wraz z dwójką napotkanych w drodze podróżników dał się namówić tajemniczemu przewodnikowi na wyprawę w dzikie ostępy. Miała to być przygoda życia. Wycieczka zamieniła się w surwiwalowy dramat, który próbuje oddać na ekranie reżyser znany z thrillerów i horrorów („Wolf Creek", „Zabójca", „The Belko Experiment"). Mocną stroną opowieści jest obsada, świetnie wyszła pierwsza połowa filmu. W drugiej jest już gorzej, bo walka głównego bohatera (Daniel Radcliffe) o przetrwanie w skrajnie niesprzyjających warunkach bardziej nuży, niż straszy. Sceny sennych majaków, w których Yossi porównuje swój los z dziejami ocalonej z Holokaustu rodziny, też nie pomagają. Mógł to być znakomity dramat i wielki hymn ku czci ludzkiego uporu oraz nadziei wbrew wszystkiemu, wyszła umiarkowanie emocjonująca opowiastka.

DRUGA LIGA

★★★★★★

REŻ. ZACK SNYDER
„LIGA SPRAWIEDLIWOŚCI"
USA 2017, GALAPAGOS

wyst. Ben Affleck, Gal Gadot, Jason Momoa

Superman nie żyje, więc Ziemia pozostała bezbronna. Wieść o tym rozniosła się po kosmosie, a pierwszym, który chce wykorzystać jej słabość, jest niejaki Steppenwolf, niszczyciel światów (właściwie to bardziej je przekształca na swoją modłę). Targany wyrzutami sumienia Batman (obwinia się za śmierć Supermana) próbuje zmontować drużynę obrońców Ziemi, gdyż – jak głosi jeden ze sloganów reklamowych filmu – „nie uratujesz świata w pojedynkę". Tak oprócz znanej już Wonder Woman na scenie pojawiają się nowi bohaterowie: Flash, Aquaman i Cyborg. Niestety, to, co świetnie wyszło Marvelowi, niespecjalnie udało się w przypadku filmów osadzonych w konkurencyjnym komiksowym uniwersum. „Liga Sprawiedliwości" próbuje opowiedzieć zbyt wiele naraz, poprzedzający ją „Świt sprawiedliwości" był po prostu nudny i głupiutki. Ciąg dalszy zapewne nastąpi i tak, bo mimo fatalnych recenzji wpływy z biletów są niezłe. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „TOTAL WAR SAGA: THRONES OF BRITANNIA"

★★★★★★

Przełom IX i X w. to czas, w którym Wyspy Brytyjskie spływały krwią. To również okres, kiedy rozgrywa się akcja najnowszej edycji strategii „Total War". Co ciekawe, nie jest to „pełnoprawna" odsłona gry, ale pierwszy odcinek „Sagi", czyli cyklu mniejszych produkcji skupiających się na krótkich epokach historycznych. Jak wypadł podobny zabieg? Nadspodziewanie dobrze. „Thrones of Britannia" urozmaica rozgrywkę poprzez większe skupienie na osobach władców, których prowadzimy do tytułowego tronu. Ze względu na specyfikę nacji (Anglosasów, wikingów i Celtów), różne są również warunki zwycięstwa. ©℗

Marcin Makowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Creative Assembly/Cenega*
- ***Klasyfikacja wiekowa PEGI:*** *16+*

eprasa.pl f1c0d8f093

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Syreni śpiew Krahelskiej

Trzydzieści wierszy spośród pięćdziesięciu, składających się na wydany właśnie przez PIW w wyborze, opracowaniu i ze wstępem Karola Samsela zbiór liryków Krystyny Krahelskiej, zaprezentowanych zostaje po raz pierwszy. To bardzo ważna publikacja, poszerzająca naszą wiedzę o życiu i twórczości poetki, której imię i nazwisko przed laty znał każdy mieszkaniec stolicy. Dzisiaj tak, niestety, nie jest i powinniśmy wstydzić się tego, bo dla Warszawy Krahelska powinna być postacią wyjątkową, piękną i świętą. To przecież Syrena Warszawska.

Stojący przy Wybrzeżu Kościuszkowskim, powstały z inicjatywy prezydenta Warszawy Stefana Starzyńskiego, pomnik Syreny ma twarz i korpus Krystyny Krahelskiej. To ona w 1937 r., wtedy 23-letnia studentka etnografii, pozowała rzeźbiarce Ludwice Nitschowej i obie wzięły udział w uroczystym odsłonięciu pomnika tuż przed wybuchem wojny.

Urodziła się 24 marca 1914 r. w rodzinnym majątku w Mazurkach na pograniczu Nowogródczyzny i Polesia, jako córka inżyniera Jana Krahelskiego, oficera Wojska Polskiego, w latach 1926–1932 wojewody poleskiego, i Janiny Krahelskiej z domu Bury, doktor biologii. Była bratanicą Wandy Krahelskiej-Filipowiczowej, uczestniczki zamachu na carskiego gubernatora gen. Skałona, i krewną męża Haliny Krahelskiej, lewicowej działaczki, aktywistki MOPR, autorki powieści „Strajk polski", za którą oskarżono ją o zniesławienie władz.

Wiersze Krystyna Krahelska zaczęła pisać w gimnazjum w Brześciu, gdzie zdała maturę w roku 1932. W szkole wstąpiła do Związku Harcerstwa Polskiego, wzięła udział w Zlocie Skautów Słowiańskich w Pradze. Miała wszechstronne zainteresowania, poza wierszowaniem wyróżniając się śpiewem, co udowodniła już w 1935 r. na Wystawie Wołyńskiej Sztuki Ludowej w Krzemieńcu. Pieśni regionalne wykonywała kilkakrotnie przed mikrofonami Polskiego Radia. W 1937 r. w Baranowiczach nagrała dla Centralnej Agencji Fonograficznej 120 (!) pieśni białoruskich i ukraińskich, w części obrzędowych. Nagranie, niestety, nie przetrwało wojny.

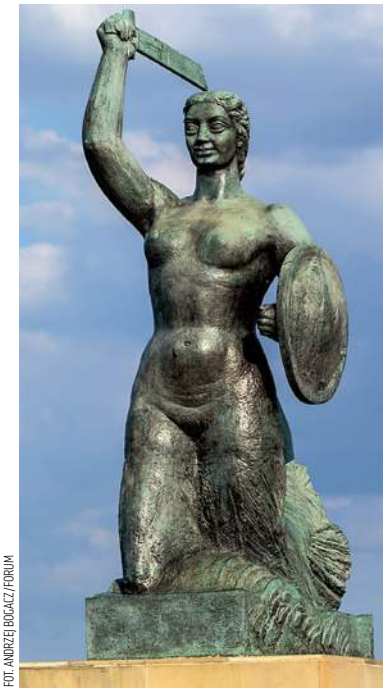

FOT. ANDRZEJ BOGACZ/FORUM

Jej debiut literacki to wydrukowanie w 1938 r. w dodatku do „Życia Krzemienieckiego" dwóch wierszy okolicznościowych, na trzecią rocznicę śmierci Józefa Piłsudskiego. Jednak o wielkim talencie młodej poetki dobitniej świadczy o rok wcześniejszy „Pogrzeb serca", także dowód zauroczenia Wilnem:

Lasem pachnącym, pniami,
szeregami kolumn
Znad Wilii schodzą sosny, ze wzgórz
za Antokolem.
Za Suboczą horyzont zamknięty
błękitem,
Na Rossie czoła chylą nad płyty
z granitu.
I nad sercem samotnym
w poszumie żałosnym
Stają – bolesne siostry
– ze wzgórz wileńskich sosny.
I śpiewają skupione
stugłosnym chorałem
Nad najgorętszym sercem
– przywalonym skałą.

W czasie okupacji działa w konspiracyjnym Związku Walki Zbrojnej, a następnie w Armii Krajowej. Mieszkała w Warszawie, ale wyjeżdżała do oddziałów partyzanckich na szkolenia sanitarne, przewoziła również broń na Nowogródczyznę.

Zginęła pierwszego dnia powstania warszawskiego podczas ataku powstańców na Dom Pracy przy ul. Marszałkowskiej, w chwili opatrywania rannego. Trzykrotnie postrzelona w klatkę piersiową skonała w nocy w szpitalu przy ul. Polnej. Najpopularniejszą piosenką AK-owców jest marsz „Hej chłopcy, bagnet na broń!", napisany przez nią jeszcze pod koniec 1943 r. W jeszcze wcześniejszym wierszu „O wojence" pisała:

O wojenko, wojenko, jaka siła w tobie...
Cicho śnią twoi chłopcy
w płytkim swoim grobie.
Na ulicach Warszawy, pod Mławą,
pod Rawą
Polegli młodą śmiercią,
jaskrawą i krwawą.
Gorzko śnią twoi chłopcy
w płytkim swoim grobie,
A Polskę – niby ziarno w roli
– mają w sobie. [...]

Gdyby ktoś miał wątpliwości, to Krystyna Krahelska, nie Jarosław Marek Rymkiewicz.

I jeszcze jeden cytat z „Jesieni" datowanej na 1941 r., wzruszającej i aż niewiarygodnie dojrzałej:

W mgle wzgórz kształty wypukłe
łagodnieją i miękną.
Liście leżą na trawie, krwawe, złote,
wśród drzew...
Myślisz miły, że Polska
(Polska droższa nad krew)
Taka teraz, jesienią,
musi być strasznie piękna... ©℗

★★★★★★

REŻ. KRYSTYNA KRAHELSKA „NIE PRZYJDĘ O ZMIERZCHU. WIERSZE WYBRANE" PIW 2018

eprasa.pl f1c0d8f093

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Biedny jak Amerykanin

Elegia dla bidoków" to piękne połączenie autobiografii z esejem. W USA stała się sensacją, jest w niej i coś, co przyda się Polakom. Niektóre lekcje będą trudne, szczególnie dla tzw. salonów. J.D. Vance nie wyszydza swoich krewnych: ubogich, niewykształconych, z małych ośrodków. Pisze o nich uczciwie, kiedy trzeba – z tkliwością, kiedy indziej – okrutnie. Nie kpi z religijności, wręcz przeciwnie – opowiada, jak w trudnych chwilach ludzie wiary pozwolili mu wrócić do pionu.

J.D. Vance urodził się w tzw. Pasie Rdzy, jego przodkami byli biedacy z Kentucky, dziś jest wziętym autorem, który skończył prawo w Yale. Co go wydźwignęło? Po pierwsze, bardzo chciał coś w życiu zmienić. Drugi kluczowy moment to decyzja, by zaciągnąć się do piechoty morskiej. Zrobił to, by zdobyć pieniądze na studia, zyskał dużo więcej. Armia nauczyła go dbać o siebie, pokazała właściwą dietę, jak oszczędzać, jak się edukować, zadbała o pomoc przy wyborze dróg kariery. Dała poczucie przynależności do wspólnoty i wiarę w to, że lepsze życie jest w zasięgu ręki.

Wyedukowany Vance pisząc „Elegię dla bidoków", chciał podzielić się tym doświadczeniem i zastanowić, dlaczego jego los to wyjątek, a nie reguła. Co sprawia, że biedni pozostają biedni? Oto diagnoza: tragedia zaczyna się przede wszystkim od rozbitych rodzin. Brak więzi społecznych to katastrofa, to otwarte drzwi do przemocy, narkotyków. Następnie błędna polityka społeczna: system dopłat i zasiłków, który utrwala patologię, zamiast prowadzić do jej likwidacji. Zaniedbana edukacja, zwłaszcza na poziomie początkowym. To wszystko uzupełnia się i nawzajem nakręca.

Najbardziej wstrząsające są fragmenty, w których czytamy o zgubnym braku pewności siebie. Nie chodzi o brak umiejętności i talentów, lecz o to, że ziomkowie Vance'a nie są w stanie uwierzyć w to, że cokolwiek potrafią, że są jeszcze coś warci. I to sprawia, że są przykuci do biedy jak do więziennej kuli. Wyuczona bezradność – znamy w Polsce to pojęcie aż za dobrze. Od czego zacząć naprawę? Vance'owi wypada pozazdrościć uporu, Amerykce – korpusu Marines. „Żaden rząd nie rozwiąże za nas naszych problemów – mówi jednak Vance. – Musimy się ogarnąć". To nie znaczy, że polityczne rozwiązania są niepotrzebne. Tylko kto odważy się powiedzieć, że nie chodzi o zasiłek na przetrwanie, chodzi o program „Przyszłość Plus"? ©℗

★★★★★★

J.D. VANCE „ELEGIA DLA BIDOKÓW" MARGINESY 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Przywracania klasyki na półki księgarskie ciąg dalszy. Starannie przygotowane edytorsko wznowienie wielkiej epopei Lwa Tołstoja od 150 lat fascynującej czytelników i wciąż inspirującej filmowców (ostatnio wersja BBC z 2016 r.).

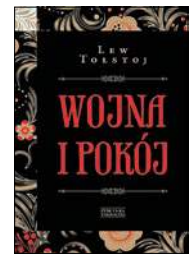

LEW TOŁSTOJ „WOJNA I POKÓJ", T. I–II ZYSK I S-KA

Opowieść o pracy słynnej elitarnej jednostki policji z Krakowa, wyjaśniającej kryminalne zagadki z przeszłości. Funkcjonariuszy do zwierzeń skłonili Piotr Litka (autor znany z „Do Rzeczy") oraz Bogdan Michalec i Mariusz Nowak.

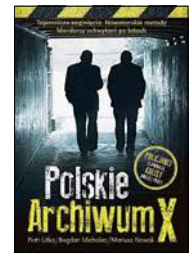

PIOTR LITKA, BOGDAN MICHALEC, MARIUSZ NOWAK „POLSKIE ARCHIWUM X" WAM

Powieść kryminalna znanego reportażysty. Rzecz o nielegalnym handlu organami, a także o „zadzierżystości zła, jakie wylazło z nory w latach przełomu". Tak, chodzi o krytyczną ocenę czasu tzw. transformacji ustrojowej.

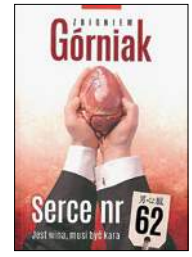

ZBIGNIEW GÓRNIAK „SERCE NR 62" RONIN

Lekko i sympatycznie o polskiej historii. Młodzi bohaterowie zaczną od zwykłych wakacji w leśniczówce na Podlasiu, a skończą, odkrywając rodzinną tajemnicę i znaczenie słów: „Bóg, honor, ojczyzna". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

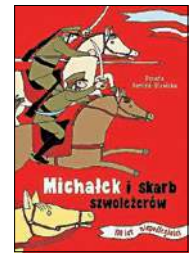

DONATA DOMINIK-STAWICKA „MICHAŁEK I SKARB SZWOLEŻERÓW" SKRZAT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. Vincent V. Severski „Zamęt" (Czarna Owca) – międzynarodowy thriller autora trylogii „Niewierni". Czyli tajna sekcja polskiej Agencji Wywiadu w akcji.

2. Jo Nesbø „Macbeth" (Wydawnictwo Dolnośląskie) – autor cyklu o Harrym Hole'u tym razem o porachunkach policyjno-przestępczych z lat 70.

3. Beata A. Dąbrowska „Dieta warzywno-owocowa dr Ewy Dąbrowskiej" (WAM) – zbiór przepisów opartych na popularnej diecie. Autorką jest synowa lekarki.

4. Katarzyna Puzyńska „Nora" (Prószyński i S-ka) – dziewiąta powieść z cyklu kryminałów, których akcja rozgrywa się w zacisznym Lipowie.

5. Nela „Nela na wyspie rajskich ptaków" (Burda Publishing Polska) – literatura edukacyjna dla najmłodszych czytelników, kolejny tom popularnej serii.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik od 9 do 22 kwietnia 2018 r.)

eprasa.pl f1c0d8f093

Wszystkie dotychczasowe płyty rapera KęKę zdobyły status platynowych FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

Wartościowy przekaz listonosza

Każdy nawija o hajsie, zakupach i życiu w luksusie [...] Zarabiasz, potem wydajesz, to jest kapitalizm i jest kapitalne Z tym że ja myślę o synach, lecę z tym odpowiedzialnie.

I właśnie dlatego, że raper KęKę nie „nawija" ani o tym, co inni (podkreśla m.in., jak ważne są dla niego rodzina, wiara, wartości), ani tak, jak inni (ma własny, charakterystyczny styl), wart jest poznania również przez tych, którzy omijają rap szerokim łukiem. Bo ci, którym zdarza się z hip-hopem obcować nieco częściej, niż tylko czasem przypadkowo zasłyszeć coś w radiu, rapera z Radomia z pewnością znają.

Postać to niezwykle ciekawa, artysta, który od czasu pierwszej wydanej legalnie płyty w 2011 r. na oczach ciągle rosnącej grupy fanów przeszedł przemianę nie tylko artystyczną, lecz przede wszystkim osobistą. Nagrywając pierwsze kawałki, jeszcze w tzw. podziemiu, był listonoszem. I zupełnie innym człowiekiem – pełnym złości i frustracji (co słychać nawet na jego pierwszej „legalnej" płycie), z poważnymi problemami, na czele z tym największym, będącym źródłem pozostałych – alkoholizmem.

KęKę poszedł na odwyk, odbudował relacje rodzinne, doczekał się drugiego syna. Schudł, zaczął ćwiczyć, zdrowo żyć. Taka metamorfoza nie mogła się nie odbić na jego tekstach. Zmiana trybu życia się opłaciła. Słychać, że życie blisko rodziny, z dala od alkoholu i w zgodzie z Bogiem pomogły raperowi odnaleźć wolność i szczęście.

Stoję przed lustrem, trzymam głowę do góry
Myślę: „Zrobiłeś to, chłopak"
Nie chcę za to nikogo już dłużej przepraszać
Że jestem dowodem, że można.

Szczerość również się opłaciła. Jego płyta „Trzecie Rzeczy" z 2016 r. pokryła się podwójną platyną, choć KęKę rapuje tam o rodzinie, miłości, modlitwie i wizytach u psychiatry. Wydany w tym roku „ToTu" ma równie duże szanse na sukces. A KęKę w „Nigdy ponad stan" rapuje:

Mimo to raczej ciągle normalnie, nie żyję w błyskotkach
Nie żyję ponad stan, bo wolę żyć constans. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Perfekcyjnie wstrząśnięte

★★★★★★
ARCTIC MONKEYS „TRANQUILITY BASE HOTEL & CASINO"
DOMINO

Po pięcioletniej przerwie ukazał się szósty album jednego z najważniejszych i najpopularniejszych brytyjskich zespołów niezależnych. Arctic Monkeys raczej nie zyskają nowych fanów, ale niewątpliwie znaleźli nową drogę.

Trudno oczekiwać, by gitarowe zespoły dziś mogły nas czymś zaskoczyć. Również grupa z Sheffield czerpie z rockowej przeszłości. Jednak w tym przypadku opowieści Alexa Turnera o zdewaluowanym, tandetnym świecie rozrywki Los Angeles, w którym siłą napędową jest pożądanie, są nad wyraz przekonujące i inspirujące.

Lider, akompaniując sobie głównie na fortepianie, tworzy wraz z kolegami wyrafinowany muzyczny koktajl o niebanalnym smaku. Piosenki nie kokietują słuchacza. Przeciwnie – wymagają od niego zaangażowania i poddania się emocjom. To jest jedna z tych płyt, których muzyczne warstwy odkrywamy z każdym kolejnym przesłuchaniem. Odnajdziemy subtelny funk, brzmienia muzyki filmowej z lat 60., retroklawisze... „Próbowałem napisać piosenkę, która sprawi, że będziesz się rumienił – śpiewa Turner. – Ale mam wrażenie, że to wszystko może okazać się zbyt sprytne, tak jak to jest w niektórych książkach science fiction".

Możliwe, że to najlepszy album grupy od czasów debiutu „Whatever People Say I Am, That's What I'm Not" z 2006 r. A tamta płyta wstrząsnęła rockowym światem. ©℗

★★★★★★
PECTUS „AKUSTYCZNIE" POLSKIE RADIO

Czterech braci o jednobrzmiących głosach nagrało akustyczne wersje swoich najpopularniejszych utworów. Brzmi to mocno staromodnie, a i teksty młodzieży raczej nie rozczulą. W dwóch utworach gościnnie zagrał pianista Włodek Pawlik. ©℗

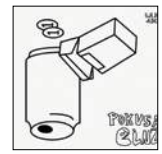

★★★★★★
POKUSA „EINZ" LADO ABC

Młode jazzowe trio udanie eksperymentuje z brzmieniami na bas, perkusję i saksofon barytonowy. Nie wirtuozeria, lecz nastrój jest głównym atutem tej płyty. Dźwiękowe pasaże przeplatają plamy ciszy, rozwijając się w stronę improwizowanej medytacji. ©℗

eprasa.pl f1c0d8f093

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Co wiedział Isaac Newton

Pewien mój znajomy został zaskoczony. Zaskoczyły go nastolatki, które w klasycznym już filmie „Forrest Gump" nie dostrzegły aluzji do Elvisa Presleya. Nie mogły jej dostrzec, bo nie bardzo kojarzyły króla rock and rolla i – szczerze mówiąc – miały bardzo mglistą świadomość jego istnienia.

Spokojnie. To nie będzie felieton o tym, że młodzi są głupi i nic nie wiedzą. Powiem nawet, że dobrze, iż nie wiedzą, bo Presley nie był dorodnym okazem dobrego smaku (tylko nie mówcie mojej mamie, że tak napisałem). Nie ma też co labiedzić nad niewiedzą dzieciaków. Co prawda Elvis jest postacią ikoniczną, ale tych ikon jest teraz tak wiele, że blakną szybciej niż kiedyś.

I warto też wziąć pod uwagę naszą wiedzę o bohaterach masowej wyobraźni sprzed „naszych" czasów. Wiem, kto to był Rudolf Valentino, ale gdyby mi pokazać pięciu amantów kina niemego, to nie jestem pewien, czy bym wskazał właściwego (raczej nie). A kiedy cofniemy się jeszcze epokę wstecz, do XIX w. i ery, gdy globalnymi gwiazdami byli śpiewacy i śpiewaczki operowi (a każde szanujące się miasto, nawet Manaus w Amazonii, stawiało sobie lepszą lub gorszą kopię opery paryskiej), to okaże się, że nie byłbym w stanie podać nawet pół nazwiska tych gigantów. Nie czuję się więc lepszy od nastolatków.

To jedynie połowa mego wywodu. W drugiej chcę powiedzieć, że ludzie mają dość naturalną tendencję do wynoszenia i faworyzowania „swoich" czasów nawet wtedy, kiedy są one wyjątkowo koszmarne. Siłą rzeczy bagatelizujemy to, co było kiedyś, a wręcz gniewnie prychamy na to, co przychodzi po nas. Pamiętam moją mamę, która za śmieci uważała zespoły, których słuchałem w podstawówce (mówiąc między nami – miała rację), i znam wielu moich ówczesnych idoli, którzy sądzą, że muzyka umarła, a hip-hop to jedno wielkie badziewie. Taka jest kolej rzeczy.

Jednak „nasze czasy" mają jego wręcz wyjątkowo rozdęte. Spójrzmy, z jakim lekceważeniem patrzą na przeszłość, traktując ją jako zbiornik zabobonów, niesprawiedliwości, okrucieństwa, rasizmu i w ogóle – wszystkiego, od czego trzeba się odciąć. Jakże wyniosłe jest to skreślanie poszczególnych książek czy pisarzy za karę, że nie byli tak postępowi jak współczesność. Tymczasem nasze czasy nie wzięły się znikąd. Nie wyskoczyły niczym Atena z głowy jakiegoś oświeconego Zeusa. Tę świadomość miał w XVII w. Isaac Newton, chyba największy naukowiec wszech czasów, gdy mówił o sobie skromnie (co w jego przypadku było rzadkością), że stoi na ramionach olbrzymów. My tę świadomość zatraciliśmy.

Nie jest niczym złym nie wiedzieć o istnieniu Elvisa Presleya. Każdemu się może zdarzyć. Jednak gardzić przeszłością dlatego, że nie była taka jak teraźniejszość – oto jest głupota. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Życie na Marksie

Arcykapłan Juncker odsłonił pomnik Marksa, a pomniejsze „junckerki", jak uważająca się za filozofa Magdalena Środa, zaczęły się prześcigać w komplementach na temat brodatego Żyda z Trewiru, jednego z największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości. Argument, że był jedynie myślicielem, który nikogo osobiście nie zabił, pasuje równie dobrze do Adolfa Hitlera czy Himmlera, który przecież zemdlał na sam widok egzekucji.

Podstawowe grzechy Marksa to niedouctwo, zadufanie i chciejstwo. Cała jego doktryna wyrosła z kompleksów niewyżytego artysty (znów podobieństwo do austriackiego malarzyny). Karol obraził się na Pana Boga, bo ten nie dał mu talentu poetyckiego. Mógł zostać choćby przeciętnym literatem. Niestety! Podważając przyrodzone prawa, zaproponował utopię. Otworzył puszkę Pandory, wmawiając ludziom, że są równi, apriorycznie beatyfikował klasę robotniczą, którą znał głównie ze słyszenia (od Engelsa). Potrzebował jej wyłącznie jako siły do skruszenia dotychczasowych struktur. Gdyby znał historię, wiedziałby, że np. buntujący się w starożytności niewolnicy nie czynili tego w imię wolności. Chodziło wyłącznie o to, żeby po zwycięstwie oni byli panami. Komuniści postąpili identycznie.

Ci, którzy próbowali zrealizować jego utopię, musieli nieuchronnie sięgać po terror

Ojcowie komunizmu mylili się zresztą prawie we wszystkim, poczynając od teorii walki klas, rozwoju sił wytwórczych, religii jako efektu alienacji, a na teoriach następujących po sobie formacji, które może obalić średnio rozwinięty uczeń szkoły średniej.

Główny błąd wynikał z mechanicznego przeniesienia doświadczeń nauk ścisłych do społecznych oraz pychy. Marks nie dowiedział się zapewne nigdy, że nie ma dwóch identycznych płatków śniegu, podobnie jak nie ma identycznych ludzi. Dlatego ci, którzy próbowali zrealizować jego utopię, musieli nieuchronnie sięgać po terror. Sam teoretyk, pozbawiony empatii i choćby elementarnej ludzkiej przyzwoitości, nie rozumiał, że są siły potężniejsze od praw ekonomii – takie jak miłość, wiara, solidarność. A przede wszystkim własność, która czyni ludzi wolnymi i kreatywnymi. W dodatku identyczne próby na żywych organizmach społecznych mogą w innych laboratoriach dać kompletnie odmienne wyniki.

Jeśli więc Pierwszy Komunista może gdzieś chichotać w zaświatach, to tylko dlatego, że światowe lewactwo nadal próbuje czerpać z jego bredni po to, by uszczęśliwiać innych, choć doświadczenia co najmniej 150 lat od Sowieckiego Sojuza do III Rzeszy dowiodły, że życie na Marksie jest niemożliwe. ©℗

eprasa.pl f1c0d8f093

Opcja na trudne czasy

Figura św. Benedykta
FOT. FOTOLIA

ks. Robert Skrzypczak

Istnieją pewne książki, które należy przeczytać. Z całą pewnością zalicza się do nich „Opcja Benedykta" Roda Drehera

eprasa.pl f1c0d8f093

Od przeszło 10 lat Rod Dreher pisze i mówi o tzw. opcji Benedykta, czyli metodzie, by żyć w sposób chrześcijański w społeczeństwie niechrześcijańskim. I od przeszło 10 lat nie przez wszystkich jest rozumiany. „Niektórzy moi krytycy nazywają moją książkę »alarmistyczną«. Zgadzam się z nimi. Jednak pokazuję, że jest wiele powodów takiej właśnie postawy. Jeśli nie bijemy na alarm, to nie potrafimy odpowiednio odczytać znaków czasu. Jestem jedynie realistą" – przyznaje.

Na jeden z takich powodów wskazał niedawno papież emeryt Benedykt XVI w liście odczytanym na pogrzebie kard. Joachima Meissnera: „Wiemy, że temu żarliwemu kapłanowi i duszpasterzowi bardzo trudno było odchodzić, niemniej nauczył się on żyć w głębokim przekonaniu, że Bóg nie opuści swojego Kościoła nawet teraz, gdy łódź nabrała wody i jest na skraju zatopienia". Dla Drehera jest całkowicie jasne, że Benedykt XVI mówi, iż Kościół Chrystusa wydaje się tonąć, kapitulując przed Zeitgeistem (duchem czasu). „Najgłębsza przyczyna kryzysu, który osłabia Kościół, tkwi w zacieraniu priorytetu Boga" – stwierdził papież Benedykt XVI. I dodał: „Jeśli na niego nie znajdziemy odpowiedzi, jeśli wiara nie odzyska żywotności, stając się głębokim przeświadczeniem i realną siłą dzięki spotkaniu z Jezusem Chrystusem, to wszystkie inne reformy pozostaną nieskuteczne".

POTOP SEKULARYZACJI

Tytuł książki Dreher zaczerpnął z ostatniego akapitu pracy szkockiego filozofa Alasdaire MacIntyre'a z 1981 r. – „Dziedzictwo cnoty", w której dzisiejszy chaos moralny został przyrównany do dekadencji, która poprzedziła upadek Cesarstwa Rzymskiego. „Tym razem barbarzyńcy nie forsują granic, ale rządzą nami już od dawna. Brak świadomości tego jest częścią problemu. Nie czekamy na Godota, ale na kogoś innego – o wiele bardziej innego – na świętego Benedykta".

Celem Drehera jest śledzenie konturów twarzy wielkiego świętego i ojca monastycyzmu zachodniego z VI w., który uczy, jak żyć i przekazywać wiarę w świecie zadowolonego z siebie oraz demokratycznie zorganizowanego barbarzyństwa.

Masowa apostazja pochłania wielu ochrzczonych i wcześniej praktykujących katolików. Jest ona duchowym odpowiednikiem potopu, który pochłonął świat za czasów Noego. Trzeba zatem budować arki, by przenieść wiarę przez obecne, burzliwe czasy. Opcja Benedykta jest opowiadaniem się za Kościołem takim, jakim był u swych początków: twórczymi mniejszościami noszącymi w sobie radość bycia z Chrystusem. Skuteczność ewangelizacji, zdaje się przekonywać nas autor, domaga się od nas życia w sprzeciwie względem dominującego sposobu bycia tego świata.

Opcja Benedykta nie oferuje jakiejś agendy politycznej, nie jest to też standardowa skarga dotycząca naszej cywilizacji. Autor nie zamierza zakładać nowego ruchu ani też nie planuje przy stoliku modelu idealnej wspólnoty chrześcijańskiej. Podsuwa na nowo to, co chrześcijanie robili od wieków. Chodzi o życie po chrześcijańsku w sposób twórczy i elastyczny, dostosowany do zmieniających się okoliczności, lecz bez żadnej ślepej wiary w ducha czasów. „Byliśmy kapelanami kultury, która gwałtownie utraciła sens bycia chrześcijanami" – wyjaśnia Dreher.

W związku z tym autor nie wzywa do budowania klasztorów, aby przywrócić zagubioną przez nowoczesność kulturę porządku wyższego. Chodzi mu o benedyktyńskiego ducha, w którym wszystko zostaje podporządkowane służbie Chrystusowi. „Mnisi, którzy odbudowali Europę – mówił papież Benedykt XVI w Paryżu – nie chcieli tworzyć jakiejś nowej kultury ani zachowywać kultury z przeszłości, ale ich celem było quaerere Deum (poszukiwanie Boga). Wszystko inne z tego wynikało".

Wchodzimy w okres postchrześcijański z pytaniem, czego możemy nauczyć się od benedyktyńskich mnichów i co zastosować w codziennym życiu, żyjąc poza monastyczną wspólnotą. Zeświecczenie powoli przyzwyczaja nas do oddzielania wiary od reszty aktywności. Tymczasem Jezus nie chce być Panem małych epizodów życiowych. Zresztą nasza działalność może nas przybliżać do Boga albo od Niego oddalać. Chodzi o duchowość praktyczną pozwalającą dokonać uświęcenia rutyny codzienności: pracy, modlitwy, wiary, zaangażowania politycznego, wychowania dzieci i korzystania z dóbr technologii. To chrześcijańskie zaangażowanie w codzienność musi łączyć się z pójściem pod prąd współczesnej kultury. „Należy dawać odpór światu z taką samą siłą, z jaką on napiera na nas" – mówiła pisarka amerykańska Flannery O'Connor. Wielu współczesnych katolików zamiast wiary wyznaje coś w rodzaju „moralistycznego terapeutycznego deizmu", nastawionego na dobre samopoczucie, a nie na zbawienie wieczne. Stąd obawa autora, że rodziny i wspólnoty chrześcijańskie, które nie podążą za opcją Benedykta, nie przetrwają obecnych czasów próby.

AMERYKAŃSKIE ROZCZAROWANIE

Dreher reprezentuje pokolenie Amerykanów, którzy czują się zdradzeni przez własną ojczyznę. Niegdyś mieli tutaj swoje miejsce w świecie, swoje City upon a Hill (miasto położone na wzgórzu; por. Mt 5, 14). Katolicki prezydent Stanów Zjednoczonych John F. Kennedy mówił: „Dzisiaj oczy wszystkich są zwrócone naprawdę na nas. Nasze rządy, w każdej gałęzi, na każdym szczeblu: krajowym, stanowym i lokalnym muszą być jak miasto na wzgórzu – zbudowane i zamieszkałe przez ludzi świadomych ich wielkiego zaufania i ich wielkich obowiązków". Ci dawni Amerykanie spacerowali sobie z Ewangelią pod ręką, a National Review puszczała patriotyczne i sakralne pieśni. Dzisiaj pozostało dla nich niewiele miejsca na obrzeżach społeczeństwa lub – jak kto woli – w głębinach własnego sumienia. Na Park Avenue, na rogu 37 ulicy, w sercu starego Nowego Jorku, niegdyś miejsca wyrażającego chrześcijański charakter narodu, dziś naciska od zewnątrz nieprzychylna siła sekularyzacji, by zniwelować tamto szlachetne skojarzenie. Duch indywidualizmu wypchnął poczucie wspólnotowości. Stąd amerykański, i nie tylko, dramat przejścia od „moral majority" do „moral minority".

Przekonanie o byciu w kraju większością, która podziela chrześcijańskie wybory moralne i religijne, popchnęło Jerry'ego Falwella do założenia w 1979 r. ruchu

Wchodzimy w okres postchrześcijański z pytaniem, czego możemy nauczyć się od benedyktyńskich mnichów i co zastosować w codziennym życiu, żyjąc poza monastyczną wspólnotą

eprasa.pl f1c0d8f093

Moral Majority. Jego celem było posłużenie się mechanizmem demokracji, by wypchnąć z fotela dominacji zsekularyzowane elity spod szyldu Ivy League, Hollywoodu czy środowisk sędziowskich. Tym sposobem miał się ziścić sen amerykańskich konserwatystów o cichej większości w społeczeństwie. Tymczasem efekty rewolucji seksualnej w 1968 r. zaczęły kształtować wiodące postawy mainstreamu i być wcielane w przepisy prawne. Zwłaszcza epoka Baracka Obamy sprawiła, iż chrześcijanie zostali zepchnięci do rangi mniejszości. Nowa zaś wolność została podporządkowana kaprysom nieprzychylnej im nowej większości, która używa możliwości, które jej daje nowoczesne państwo liberalne, by wychodząc od praw antydyskryminacyjnych wymóc publiczne przyjmowanie norm sekularyzacyjnych i antyewangelicznych. Wniosek Drehera jest jednoznaczny: Ameryka jest dziś zarządzana przez „niemoralną większość". Co zatem robić? Porzucić gromadzenie worków z piaskiem, by nas złowrogie morze nie zalało, w zamian za to budować arki, przechowujące skarby chrześcijańskiej mądrości, aż uda się przetrzymać potop.

MAŁE WSPÓLNOTY

Nie wszyscy podzielają poglądy Roda Drehera. Tradycjonaliści kręcą nosem na haniebne uchylanie się przed podejmowaniem batalii na płaszczyźnie publicznej, progresiści zarzucają mu uparty zachodniocentryczny opór wobec konieczności przystosowania Kościoła do paradygmatu życia zsekularyzowanego. Tymczasem Rod Dreher dowodzi, że punktem wyjścia myślenia o przyjęciu opcji Benedykta jest fakt, iż Kościół znalazł się dzisiaj w śmiertelnym uścisku świata. „Jeśli mamy być dla świata, jak chciał Chrystus, to musimy się od niego oddalić, by pogłębić modlitwę, życie wspólnotowe i rozumienie Pisma Świętego" – pisze. Wiele przykładów przystosowywania się Kościoła do nowoczesności skutkuje tym, że trudno odróżnić katolika od niekatolika. Stąd potrzeba sięgnięcia po inspirację św. Benedykta z Nursji: „Chrześcijanie dziś muszą być gotowi do przegranej na polu polityki i przyjęcia życia w warunkach zewnętrznej niechęci, podobnie jak żyli chrześcijanie pod komunizmem, a obecnie w krajach islamskich. Mnisi u schyłku imperium rzymskiego ocalili wiarę i kulturę, bo przenieśli ją poza sferę barbarzyństwa".

Według niemieckiego filozofa Roberta Spaemanna chrześcijaństwo stoi dzisiaj wobec fundamentalnego wyzwania – czy Kościół winien przejąć się paradygmatem współczesności aż do nadania dominującym ludzkim zachciankom religijnej sankcji w imię miłosierdzia. Chodzi tutaj o odwieczne napięcie pomiędzy Kościołem a światem, między chrześcijańskim a laickim stylem życia. W tym względzie Kościół w świecie współczesnym staje się coraz bardziej „kontrkulturą". Jego przyszłość będzie zależeć od zdolności zachowania swej wyjątkowej oryginalności, która nie rozpłynie się pod presją uległości wobec oczekiwań ludzi. Ma on, jak zawsze, przed sobą wybór: albo być solą ziemi, albo słodzikiem angażującym się w kompromisy ze światowym sposobem myślenia i pozwolić lub nie na rozwodnienie swej specyfiki tkwiącej w Chrystusowym nauczaniu.

PROROCTWO RATZINGERA

Kardynał Joseph Ratzinger uważał, że potrzeba „kreatywnych mniejszości", by zaradzić kryzysowi wiary w zeświecczonym świecie. Nie muszą one ustawiać się poza światem lub przeciwko niemu, natomiast potrzebują przestrzeni do tego, by autentycznie móc poszukiwać Boga i podejmować działalność wychowawczą, kulturalną, ekonomiczną i charytatywną w oparciu o pokarm Ewangelii. „Moje podejście jest bez wątpienia niedoskonałe – mówił Dreher. – Z chęcią przyjmę korekty. Lecz wolę podjąć coś na serio, niż poddać się strategii kapitulacji".

Książkę Reda Drehera warto czytać w kontekście tzw. proroctwa Josepha Ratzingera, wygłoszonego przez bawarskiego teologa w 1969 r. na zakończenie cyklu konferencji przygotowanych dla Radia Hesja. – Kościół czeka poważny kryzys, który drastycznie ograniczy liczbę wiernych i jego wpływy – mówił wówczas Joseph Ratzinger. – Z obecnego kryzysu wyłoni się Kościół jutra, Kościół, który stracił wiele. Będzie niewielki i będzie musiał zacząć od nowa, mniej więcej od początku. Nie będzie już w stanie zajmować wielu budowli, które wzniósł w czasach pomyślności. Ponieważ liczba jego zwolenników maleje, straci wiele ze swoich przywilejów społecznych… Kościół będzie wspólnotą bardziej uduchowioną, niewykorzystującą mandatu politycznego, nieflirtującą ani z lewicą, ani z prawicą. To będzie trudne dla Kościoła, bo ów proces krystalizacji i oczyszczenia będzie kosztować go wiele cennej energii. To sprawi, że będzie ubogi i stanie się Kościołem cichych… Tymczasem w totalnie zaplanowanym świecie ludzie będą strasznie samotni. Uświadomią sobie, że ich egzystencja oznacza »nieopisaną samotność«, a zdając sobie sprawę z utraty z pola widzenia Boga, odczują grozę własnej nędzy. Wtedy – i dopiero wtedy – w małej owczarni wierzących odkryją coś zupełnie nowego: nadzieję dla siebie, odpowiedź, której zawsze szukali.

Dreher, nawiązując do słów przyszłego papieża Benedykta XVI, dodał: „Przyszłość wiary na Zachodzie zależeć będzie od naszego sposobu życia tym proroctwem".

Opcja Benedykta wskazuje wyraźnie na małą, wspólnotową formę istnienia wiary. Świat wciąż przyśpiesza, a wraz z nim jego mieszkańcy. Dla ludzi zmęczonych, zestresowanych „gonitwą szczurów" i zgłodniałych jakości życia najważniejszym celem zdaje się być znalezienie jak najwygodniejszych warunków jego spędzenia. Nasza postnowoczesna cywilizacja przypomina mocno rozpędzony pociąg zapewniający pasażerom komfortowe warunki podróżowania. I to właściwie spełnia oczekiwania jego użytkowników. Nikt nie pyta o cel tej podróży. Tymczasem pociąg zmierza z wciąż wzrastającą prędkością do przepaści. Nic nie zdoła go uratować. Małe chrześcijańskie wspólnoty mogą w tej sytuacji przypominać ludzi, którzy rozpalają wzdłuż torów kolejowych wielkie ogniska i tańczą wokół nich, zachęcając przejeżdżających podróżnych, by wyskakiwali z tego ekspresu, ratując się przed katastrofą. „By odkryć pierwsze prawdy wiary i jej piękno – pisał papież Franciszek – potrzeba małych wspólnot".

Oczywiście gdy zajdzie potrzeba, trzeba będzie z nich wyjść, by stawić opór technokracji i dominacji „władcy świata". Polska wydaje się na razie szczęśliwa wyspą na mapie galopującej sekularyzacji. Nie oznacza to jednak, że potop nas ominie. Mamy jedynie trochę więcej czasu na przygotowanie bariery immunologicznej przeciw wirusowi chrystofobicznej dewastacji. „Opcja Benedykta" jest książką, po której lekturze czytelnik będzie w inny sposób widział Kościół w otaczającym go świecie.

ROD DREHER „OPCJA BENEDYKTA" WYDAWNICTWO AA 2018

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. DAREK REDOS/REPORTER

Zdążyć przed klęską

Sławomir Cenckiewicz

Walka o pozostawienie w Jersey City Pomnika Katyńskiego ukazała wszystkie słabości polskiej polityki historycznej, państwa polskiego i nas, jako wspólnoty narodowej

Angażując się w obronę pomnika i utrzymując kontakt z wieloma decydentami, zdałem sobie sprawę, że Polska nie tylko nie jest w stanie zadziałać w trybie awaryjnym w ciągu dziewięciodniowej majówki, lecz także nawet nie dysponuje anglojęzyczną broszurą tłumaczącą mord katyński, którą można by w ciągu jednego dnia przerzucić do Stanów Zjednoczonych, rozdać mieszkańcom i wręczyć burmistrzowi Jersey City.

WYPRAWA PO PRZEGRANĄ

Stanisław Mackiewicz pisał dawno temu, że aby wyprawić się na wojnę, trzeba mieć elementarną pewność zwycięstwa. I dodawał, że „wywoływanie wojny z góry skazanej na przegraną i klęskę stanowi największą zbrodnię, jakiej dopuścić się mogą politycy za los kraju odpowiedzialni". Otóż historia jest polem bitwy! Na geopolitycznej szachownicy i bezkresnych polach bitewnych Polska stoi dzisiaj bezbronna, samotna i nieufortyfikowana! Mało tego – na własne życzenie wyszliśmy w pole bez oręża, nie wiedząc nawet, z kim się bijemy i z której strony padną pierwsza i kolejna salwa. W polityce nie wolno naruszać tak radykalnie balansu sił i wyprawić się na sądy, trybunały, komisarzy europejskich, reprywatyzację, Niemców, Żydów i Amerykanów, nie budując skutecznej osłony międzynarodowej wokół Polski. To zawsze musi oznaczać klęskę!

To, co wydawało się dotychczas pewne – strategiczny sojusz dwustronny z Ameryką i przyzwolenie Białego Domu na wewnętrzne porządki nad Wisłą oraz porozumienie z Izraelem i Żydami – zostało bardzo poważnie osłabione. Sprawa pomnika w Jersey City i twitterowe połajanki burmistrza pod adresem Polski oraz szybkie podpisanie przez Donalda Trumpa ustawy 447 i niemożność przeprowadzenia jakichkolwiek konsultacji polsko-amerykańskich w tej sprawie dobitnie ukazały nasze miejsce w szeregu. Ktoś, kto myślał, że opowieść Trumpa o bohaterskich żołnierzach AK przedzierających się przez kanały na placu Krasińskich w 1944 r. zastąpi realną politykę, musiał się mocno rozczarować.

Styczniowa nowela ustawy IPN, która powstała w całości poza instytutem,

eprasa.pl f1c0d8f093

a obróciła się przeciwko niemu i Polsce, choć wypływa z dobrych intencji, jest postrzegana na Zachodzie za groźną nie tylko dla wolności słowa, lecz także swobody badań naukowych. Tajemnicą poliszynela jest, że o losy tej ustawy pytają dosłownie wszyscy nasi partnerzy – dyplomaci, wojskowi, ludzie tajnych służb, biznesmeni, naukowcy, duchowni i… Żydzi z całego świata. W marcu w Nowym Jorku kolega pokazał mi żydowskie – rosyjskojęzyczne – stacje radiowe, które całymi godzinami trąbiły o „antysemickiej ustawie o IPN". Nasz cały wysiłek państwowy musi zatem skoncentrować się na zasypaniu tego konfliktu i odwróceniu negatywnych skutków nieprzemyślanych działań z początku 2018 r.

NIE PRZEGRAĆ NA WŁASNE ŻYCZENIE

Na szczęście fundamentem relacji polsko-amerykańskich są armia i sprawy obrony wschodniej flanki NATO. Geopolityka i geograficzna mapa są nieubłagane i chociaż Polacy żyją pod skrajnie złym adresem narażającym nas na zagrożenia, to powinniśmy uczynić z tego atut. Ofensywność Rosjan – nie tylko przecież wobec nas – musi spotkać się z reakcją Ameryki, co stanowi dla nas ważne pole gry do powiększania swojego potencjału. Dwie wizyty ministra Mariusza Błaszczaka w Pentagonie w ciągu zaledwie kilku miesięcy ukazują wciąż spory potencjał wizerunkowy i polityczny Polski. Jednak mimo nagłośnienia przez MON rozmów naszego ministra obrony z amerykańskim sekretarzem obrony państwo polskie i jego narzędzia komunikacyjne zachowują się tak, jakby obu wizyt nie zauważyły.

We współczesnym świecie każdy wysiłek polityczny – rozmowy, spotkania, reformy, ustawy, deklaracje i weta – wymaga odpowiedniego obudowania informacyjnego i marketingowego. Dobrym przykładem z ostatnich tygodni jest wpisanie na listę światowego dziedzictwa UNESCO dokumentacji polskiego kontrwywiadu z okresu wojny polsko-bolszewickiej 1920 r., przechowywanej w Wojskowym Biurze Historycznym. Polskie świadectwo archiwalne będące dowodem na udział Polski w obronie Zachodu przed komunizmem zostało docenione przez międzynarodową wspólnotę, ale nie docenił jej praktycznie nikt w Polsce (poza MSZ). Najlepszym na to dowodem jest brak relacji medialnych z uroczystego wręczenia certyfikatów UNESCO, nieobecność wysokich przedstawicieli władz RP i zupełne niewykorzystanie tego doniosłego wydarzenia w polityce informacyjnej rządu.

CO Z MABENĄ?

Polska potrzebuje Maszyny Bezpieczeństwa Narracyjnego (MaBeNy), która mimo zainicjowanej przez Andrzeja Zybertowicza dyskusji na dobrą sprawę od półrocza nie wyszła poza sferę weekendowego tweetowania. Wtórny wydaje mi się w tej chwili powrót do dyskusji na temat Polskiej Fundacji Narodowej, która miała się stać – takie jest jej formalne usytuowanie w strukturze komunikacyjnej państwa – faktycznie głową polskiej MaBeNy. Napisano o tym zjawisku dostatecznie dużo, by się tym teraz zajmować. Jedno jest pewne – powierzenie tak odpowiedzialnego zadania człowiekowi, który przez lata skupiał się na przemocowym (poprzez odwołanie się do paragrafów karnych, urządzanie nagonek i publiczne ciskanie wyzwisk w rodzaju „folksdojczyzmu stosowanego" w stosunku do krytyków polityki zagranicznej Józefa Becka) ustalaniu kanonu poglądów historycznych i tego, co wolno historykowi w Polsce napisać, od początku uważałem za nieporozumienie. Brak pomysłów i kreatywności, ciasnota intelektualna i nieznajomość świata, a zamiast tego wiara w zapis kodeksowy i paragraf, który obroni Polskę przed antypolonizmem, to części składowe naszej obecnej katastrofy wizerunkowej.

Jednak nawet lekcję związaną z PFN i nasze niedawne klęski powinniśmy przekuć w nasze sukcesy. Ileż to razy słyszeliśmy na prawicy, że chcemy być jak Izrael – silnym, poukładanym państwem pomimo zewnętrznych i wewnętrznych nieprzyjaciół, ze świetnie funkcjonującą MaBeNą potrafiącą wykorzystać własną diasporę?! Nikt lepiej nie opisał tego fenomenalnego zjawiska w ostatnim czasie jak Krzysztof Kłopotowski w „Geniuszu Żydów na polski rozum". Niestety, wydana przed trzema laty książka nie stała się ani przestrogą, ani nauką dla polskiej prawicy rządzącej od 2015 r. Gdyby było inaczej, nikogo nie zaskoczyłoby ani to, co w obecności polskiego premiera stanowczo o ustawie o IPN mówiła w Muzeum Auschwitz ambasador Anna Azari, ani też późniejsze zasypanie Polski jednobrzmiącymi oświadczeniami różnych instytucji żydowskich (tak właśnie powinna działać MaBeNa). No właśnie… Gdyby przeczytano książkę Kłopotowskiego, do takiego zwarcia polsko-żydowskiego nigdy by nie doszło, a międzynarodowy polski przekaz historyczny budowalibyśmy wspólnie z polskimi Żydami, jak to miało miejsce ostatnio w sprawie Pomnika Katyńskiego w Jersey City.

INFRASTRUKTURA

Nie da się stworzyć MaBeNy bez infrastrukturalnego zaplecza. Samym geniuszem IT wojny o wizerunek Polski nie wygramy, choć bez niego na pewno przegramy. Musimy dysponować siecią nieruchomości w kluczowych stolicach i centrach opiniotwórczych świata. I organizować tam konferencje, pokazy sztuki, filmów, spotkania, briefingi prasowe… Przenieść tam niektóre z naszych instytucji polonijnych, tak by państwo uzyskało nad nimi większą kontrolę, a jednocześnie mogło podjąć ofensywne działania – ale już nie z dalekiej Warszawy czy polskiego getta na Greenpoincie w Nowym Jorku, ale z samego centrum Manhattanu czy Waszyngtonu. I co ważne: prowadząc przykładowo spór z Żydami o II wojnę światową, musimy rozgraniczyć to, co naukowe, od tego, co jest czystą polityką i hucpą. I zejść – zwłaszcza na gruncie amerykańskim i izraelskim – z „linii strzału", przenosząc akcenty na to, co może połączyć, co jest mniej kontrowersyjne, co humanistyczne, otwarte i kulturalne, co pozwoli wyjść z klinczu niemocy i konfliktu. Właśnie tę strategię zastosowali Szwajcarzy, którzy w połowie lat 90. znaleźli się w opałach ze względu na sprawę przejęcia żydowskich depozytów bankowych po II wojnie światowej. Odbudowa wizerunku Szwajcarii nie opierała się wówczas na pogłębianiu polemik ze Światowym Kongresem Żydów o depozytowe mienie pożydowskie, ale na konsekwentnym przybliżaniu piękna kulturowego poszczególnych kantonów…

Rozróżnienie polityki historycznej na kierunek zewnętrzny i wewnętrzny to podstawa skutecznej polityki historycznej

POZYTYWNY AKTYWIZM

Strategia polskiej polityki historycznej winna wyraźnie rozróżniać dwa kierunki działania i związane z tym odmienne (choć skorelowane ze sobą) cele. Pierwszy: zewnętrzny/zagraniczny – związany z szero-

eprasa.pl f1c0d8f093

ko pojętym dynamicznym propagowaniem Polski w świecie (głównie na Zachodzie, w tym w Ameryce), upowszechnianiem wiedzy na temat wkładu Polaków w dzieje europejskiego i światowego humanizmu, prawa, nauki, kultury, walki z totalitaryzmami etc. Dopiero w drugim wymiarze tej „zewnętrznej" polityki jest miejsce na reaktywność – walkę z kłamliwymi oskarżeniami Polski i Polaków (ale tylko jako całej wspólnoty!) o współodpowiedzialność za zagładę Żydów. Najskuteczniejszym narzędziem propagowania „polskiego punktu widzenia", „polskiej dumy" i dorobku jest ofensywny, ale i pozytywny przekaz, nie zaś sprowadzenie się do roli „strażaka" reagującego jedynie w sytuacjach zagrożeń (oskarżeń), które zawsze pozostawiają po sobie wiele szkód w postaci ugruntowania fałszywych opinii. Socjologia i psychologia społeczna podpowiadają, że w takich sytuacjach liczy się przede wszystkim oskarżycielski „news" – zwłaszcza jeśli jest „dobrze podany", w uznanym nośniku medialnym, z charakterystyczną później powtarzalnością – a nie prostująca reakcja sprowadzona zazwyczaj do roli petenta wyszukującego prawnej podstawy do sprostowania czy medialnej polemiki.

Cel drugi: wewnętrzny/krajowy – powinien zawierać w sobie rozróżnienie związane z podmiotami naszej strategii. Oczywiście w aspekcie edukacyjnym musi zyskać wymiar powszechny, nakierowany głównie na pokolenia uczących się dzieci i młodzieży, co w perspektywie zaowocuje wyższym poziomem świadomości historycznej i poczuciem własnej wartości jako Polaka. Oznacza to również edukację dorosłych i dojrzałych obywateli poprzez zróżnicowane środki i formy przekazu.

DZIEDZICTWO ZACHODU I WSCHODU

W tym kontekście musimy zyskać wpływ na budowę nowej tożsamości Polaków, zwłaszcza tych osiadłych na tzw. Ziemiach Odzyskanych (stanowiących przecież większość), którzy ze względu na powojenne migracje i procesy społeczne nie poczuwają się do więzi ze swoją małą ojczyzną. Paradoksalnie rozumieli to komuniści, którzy zdając sobie z tego sprawę, zbudowali – choć płytką – koncepcję powrotu na ziemie piastowskie. Była to jednak perspektywa zbyt odległa, by mogła się zakorzenić trwale wśród społeczeństwa tzw. Ziem Odzyskanych. Istotnym elementem tej tożsamości powinny być – polonizacja (i związana z tym katolicyzacja) tzw. Ziem Odzyskanych po 1945 r. oraz – by nie popaść w błąd afirmacji PRL – antykomunizm i wielkie tradycje antykomunistycznego oporu społecznego związane z Gdańskiem, Olsztynem, Elblągiem, ze Słupskiem, z Gorzowem Wielkopolskim, Szczecinem, Lesznem, Wrocławiem i Wałbrzychem. Tradycja konspiracji Wolnych Związków Zawodowych czy Ruchu Młodej Polski, a zwłaszcza buntów Marca '68, a potem Grudnia '70, Sierpnia '80, Solidarności i oporu dekady lat 80. jest trwałym wkładem w polskość tych ziem.

Polacy w swojej masie wywodzą się z rubieży Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Nie można zapominać, że część naszych rodaków została na Wschodzie (za kordonem) po 1944 r., zaś inna została przesiedlona w granice obecnej Polski. Tradycje kresowe są w ich domach często kultywowane. Tradycję tę należy włączyć w wewnętrzną politykę historyczną (muzea, filmy, edukacja, literatura), gdyż buduje ona i podtrzymuje wspólnotę Polaków kresowych i łączy współczesną Polskę z Polakami na Wschodzie.

Wewnętrzną MaBeNą muszą zostać objęte grupy społeczne stanowiące szeroko rozumianą elitę administracyjną i urzędniczą Polski, którą cechują bardzo niska samoocena, kompleksy, poczucie niższości w stosunku do Zachodu, oportunizm, karierowiczostwo, klientelizm, a w konsekwencji groźna podatność na wpływy rozmaitych lobby. Dlatego właśnie statystyczny polski urzędnik – od szczebla samorządowego do centralnego – uważa polskość za rodzaj obciążenia i przeszkody w kreowaniu własnej kariery.

Rozróżnienie polityki historycznej na kierunek zewnętrzny i wewnętrzny uważam za podstawę skutecznej polityki historycznej. Oczywiście musimy pamiętać, że mamy do czynienia właśnie z „polityką" ze wszystkimi jej pozytywami, a także z obciążeniami. Muszę zatem w tym miejscu z całą stanowczością podkreślić, że uznanie takich czy innych postaci oraz wydarzeń historycznych przez państwo polskie za elementy składowe polityki historycznej nie może ograniczać w jakimkolwiek wymiarze wolności badań historycznych w Polsce. Innymi słowy – polityka historyczna ze swoim propagandowym, a więc siłą rzeczy uproszczonym przekazem historycznym nie może stać się cenzorską „pałką" na tych, którzy roztrząsają nasze dzieje i krytycznie spoglądają na przeszłość. Wspominam o tym, gdyż w środowiskach patriotycznych w ostatnich latach mieliśmy do czynienia z groźnym zjawiskiem wzywania do prokuratorskiego ścigania niektórych historyków (najpierw w stosunku do autorów książek o Lechu Wałęsie, a później na temat błędów polskiej polityki w latach 1939–1945 i decyzji o wybuchu powstania warszawskiego).

Polska musi zbudować sieć instytucji oddziaływania – również z tych, które już w Ameryce i Anglii istnieją (weterani ze SWAP i z SPK, Fundacja Kościuszkowska, polskie unie kredytowe i banki, Instytut Piłsudskiego, Polski Instytut Naukowy, polskie teatry, kluby, stowarzyszenia itd.) – które niezależnie od placówek dyplomatycznych (które słusznie traktowane są przecież jako instytucje rządowe, a więc niejako zmuszone do propagowania „polskiego punktu widzenia") staną się „społecznymi" ambasadami Polski.

Skuteczny PR historyczny to również próba umiejętnego przekierowania uwagi. W tym kontekście wciąż niezagospodarowaną kartą jest Ryszard Kukliński, który w Ameryce w dalszym ciągu jest pamiętany, ale jakby przez Polskę i jej placówki dyplomatyczne zupełnie pomijany. Kukliński mógłby się stać skutecznym przyczynkiem do opowieści nie tyle o zniewoleniu Polski po 1944 r. przez Sowietów, ile o roli, jaką Polacy odegrali w pokonaniu Imperium Zła (Kuliński w wymiarze indywidualnym, zaś Solidarność – w powszechnym).

Tylko skoordynowane działania mogą przynieść efekt w postaci spójnej polityki historycznej wyraźnie rozgraniczającej cele wewnątrzkrajowe i zagraniczne. Musi powstać polski „task force" – zespół specjalistów znających specyfikę poszczególnych krajów i rejonów świata, którzy przygotują zdywersyfikowaną koncepcję działania polskiej MaBeNy adekwatną do potrzeby danej społeczności.

Polska zasługuje na więcej, na realną zmianę, również w sprawach polityki historycznej. Nie chcemy ani obrońców Grossa działających za publiczne pieniądze, ani muzealników europeizujących naszą świadomość historyczną, puszczających oko do genderystów i składających kwiatki na grobach żołnierzy Armii Czerwonej! Nie chcemy także nieudaczników i nacjonalistycznych megalomanów protekcjonalnie i inwazyjnie narzucających światu polskie racje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Triumf i upadek bożyszcza paryżan

Ewa Polak-Pałkiewicz

Prelekcje Mickiewicza wygłaszane w Paryżu były ogromnym wydarzeniem. Do czasu, gdy cieniem na jego życiu nie zaczęła kłaść się działalność w sekcie. Czy za upadkiem polskiego wieszcza stał rosyjski car?

Znalazł się tu z przymusu, nie z wyboru, po długiej podróży po Rosji. I choć gdy pisał „Pana Tadeusza", nie był wielbicielem Francji, wkrótce stał się tu jednym z najgłośniejszych artystów, a wśród elit intelektualnych jednym z najbardziej cenionych myślicieli. Na koniec zyskał powagę naukowego autorytetu – jako profesor uczelni konkurującej z Sorboną, Collège de France – otrzymując specjalnie dla siebie utworzoną Katedrę Literatury Słowiańskiej.

Było to wielkie wyróżnienie, dla cudzoziemca prawdziwy zaszczyt. Chociaż poeta nie był zawodowym uczonym, to jego wykształcenie, oczytanie, a przede wszystkim patriotyzm były czymś wyjątkowym nawet w rozdyskutowanym Paryżu. Mówiono, że nikt inny nie powinien „odkrywać, tłumaczyć i nauczać, co to jest słowiańszczyzna".

SPŁATA DŁUGU

Jednak nawet tak znanemu twórcy nie było łatwo uzyskać katedrę w Collège de France. Książę Czartoryski uruchomił wszystkie swoje znajomości, dwoił się i troił wielbiciel Mickiewicza Léon Faucher, redaktor opiniotwórczej gazety „Le Courrier Francis"; minister oświaty Cousin przekonywał premiera Thiersa, nie obyło się bez targów i kłótni. W 1840 r. Mickiewicz głosił wykłady o literaturze klasycznej na uniwersytecie w Lozannie. Pływał swobodnie w dobrze znanej rzece, znajomość literatury klasycznej, wyniesiona z Uniwersytetu Wileńskiego, była jego mocną stroną. „Żrę łacinę, a pluję francuskim" – pisał do przyjaciół przemęczony, ale szczęśliwy. Wkrótce uzyskał tytuł profesora nadzwyczajnego Collège de France. Przyjął to zadanie jako spłatę długu wobec kultury polskiej, a nawet wobec całej słowiańszczyzny.

Jego kolegami w Collège de France byli historycy Jules Michelet i Edgar Quinet, obaj starali się dawać odpowiedzi na piętrzące się w umysłach francuskich pytania, wątpliwości, nadzieje. Nauka ówczesna mocno oddziaływała na tworzące się na bieżąco poglądy i opinie, a obaj historycy mieli temperament polemiczny, gwałtownie zaprzeczający tradycji myślenia o historii. Michelet podobnie jak Mickiewicz traktował swoje wykłady jako misję („Taka katedra nie jest niczym mniej niż urząd, niż kapłaństwo"). W tym oczekiwaniu, że Mickiewicz okaże się nie tylko historykiem literatury, lecz także historiozofem, a zarazem w słusznym podejrzeniu, że ma on w gruncie rzeczy dosyć karmienia siebie i innych wyłącznie słowem – jako prawdziwemu romantykowi potrzebny jest mu czyn – kryć się mogła przemyślnie zastawiona, inteligentna pułapka. Nawet geniusz ma przecież swoje słabsze strony. Nie uprzedzajmy jednak wydarzeń.

Przez prawie dwa lata świat literacki, świat filozofów, historyków i dziennikarzy żył jego wykładami; renesansowa sala uczelni przy Place Marcelin-Berthelot pękała w szwach. Wykłady Mickiewicza były

eprasa.pl f1c0d8f093

nie tylko wielką promocją kultury polskiej, tak intrygującej w związku z wydarzeniami światowymi, lecz także dramatycznym rozrachunkiem z Europą. Mickiewicz posiadał subtelny zmysł historii, dostrzegał rozchwianie umysłów klasy politycznej Zachodu i utożsamiał je z przyjęciem przez rządzących państwami kryteriów protestanckich, czysto materialistycznych.

MISTRZ I POETA

W tym czasie przeżywał dramat osobisty. Krótko wcześniej żoną poety została 22-letnia Celina Szymanowska – którą dotąd widywał tylko w salonie matki, słynnej pianistki – i trudno tu było mówić o jakiejkolwiek miłości czy nawet przyjaźni. Małżeństwo z poetą, który już za życia stał się własnym pomnikiem, nie mogło być sielanką dla tak pozbawionej doświadczenia życiowego osoby, żyjącej w świecie sztuki i doborowego towarzystwa. „Rozczarowanie Celiny musiał łagodzić blask jego sławy; rozczarowanie to płynęło nie tylko z niezbyt zachęcającego przyjęcia; zapamiętała świetnego bywalca petersburskich salonów, »polskiego Byrona« – zobaczyła niedbale ubranego, szpakowatego mężczyznę o szorstkim sposobie bycia. Wielki poeta; tak jednak było, że nie poetyzował swego życia, nie »układał dramatu«, wprowadził swoją żonę do trudnej prozy: miała dbać o polską kuchnię, bo nie lubił francuskiej, miała mu grać na fortepianie wtedy, gdy sobie tego życzył, miała być żoną nieprzejmującą się biedą" – pisze Maria Dernałowicz. W czasie, gdy rozpoczynał prelekcje, Celina Mickiewiczowa była już matką ich trojga dzieci i z trudnością radziła sobie z rolą żony geniusza. Ostry kryzys psychiczny, w jaki popadła, w ówczesnych kategoriach medycznych mógł mieć tylko jedno miano: obłędu. I właśnie wtedy, gdy Mickiewicz przytłoczony był nawrotami jej choroby, koniecznością zmieniania mieszkań, ubóstwem – pomimo przyzwoitej pensji profesorskiej – a do tego dręczony stale świadomością, że wszystko, co czyni, jest zupełnie nieadekwatne do rzeczywistych potrzeb ojczyzny i jej tragicznego położenia – zapukał do jego drzwi przy Rue d'Amsterdam niewysoki, siwy jegomość.

Mężczyzna został jakimś trafem wpuszczony, pomimo że służąca miała stanowczy zakaz otwierania drzwi komukolwiek. Kazał powtórzyć, że „przybywa z Polski i ma obowiązek do spełnienia". Schludnie ubrany nieznajomy oświadczył, że jest z Litwy, nazywa się Andrzej Towiański i zamierza uzdrowić mu żonę. Widząc jego rezerwę, zapytał jeszcze: „Czy żona nie jest aby z hrabiów Szymanowskich?". Jeden z biografów poety z goryczą zauważa, że zdołał zażyć tym „mizernym, snobistycznym chwytem" przewidującego i ostrożnego Mickiewicza. Gość z Litwy zapowiedział też zmiany i „wielkie rzeczy", które niebawem się staną. Z niepojętych powodów wykładowca Collège de France przestał się wahać, uwierzył we wszystko, co prawił nieznajomy.

Wkrótce zapadła podparyska wieś Nanterre, której daleko było do miana kurortu czy letniska, stała się „kolebką nowego ruchu religijnego, którego prorokiem był Towiański, a Mickiewicz pierwszym uczniem" (Ksawery Pruszyński). Poeta ciągnął za Towiańskim jak ćma do światła. Ogłuszony, oślepiony, bezwolny. Pełna wypowiadanych uroczyście nonsensów, nawiązująca do mesjanizmu nauka „proroka" sprowadzała się do kilku banałów: przemiany świata są jego właściwością i oto właśnie zaczyna się kolejna. Jej skutkiem będzie koniec zniewolenia Polski, emigranci powrócą do ojczyzny. Sprawi to potęga ducha – wspólna wiara tych, którzy oddadzą

REKLAMA

eprasa.pl f1c0d8f093

się Sprawie, czyli misji Towiańskiego, który jest „wybranym duchem" – zupełnie tak jak Napoleon, z tym że on jest duchem znacznie potężniejszym. Jeden z czeskich badaczy historii sekty Towiańskiego Koło Sprawy Bożej przypomina, że „Najbardziej egzaltowani spośród zwolenników Towiańskiego prowadzili całkiem poważnie dyskusje na temat, czy »Mistrz« jest Duchem Świętym, Chrystusem Pocieszycielem, drugim wcieleniem Słowa czy też raczej jakimś sakramentem".

Wszystko podlane sosem religijnej egzaltacji i zasilone rzewną słowianofilską nutą. Niepozbawione typowych dla sekciarstwa akcentów erotyzmu – bo oprócz „braci" w sekcie Towiańskiego były również „siostry". Jedną z nich, Xawerę Deybel („Księżniczkę Nowego Jeruzalem"), „Mistrz" nasłał na dom Mickiewicza, rzekomo do pomocy przy dzieciach. Stała się ona jeszcze jedną przyczyną eskalacji rodzinnego dramatu. Wypadki toczyły się szybko. „Z nastaniem jesieni (1841 r.) Mistrz Andrzej i brat Adam – tak się bowiem teraz zwali – wrócili do Paryża i rozpoczęli apostolstwo".

Raz jeden udało się Towiańskim doprowadzić Celinę do przytomności, podczas seansu hipnotycznego, gdy sprowadzono ją z domu zdrowia w Vanves. Mickiewicz nadal prowadził wykłady i początkowo były one równie znakomite, a nawet coraz bardziej olśniewające. „To wymowa pana Mickiewicza – surowa, energiczna, wypływająca z przekonania – pisał jeden z paryskich recenzentów. – Wymowa błyszcząca, męskiej piękności, bogata w samorodną poezję… to nie zwyczajna mowa profesorów". Oczywiście, Mickiewicz bowiem nie tylko znał dzieła pisarzy i poetów, o których mówił, lecz także z wieloma z nich się przyjaźnił. Powoli jednak „służba Sprawie" kładzie się ponurym cieniem na działalności Mickiewicza i na wszelkiej jego twórczości. Poeta pali swoje rękopisy, w wykłady coraz częściej wplata wątki, które budzą konsternację. „Niebawem wykłady w Collège napełniły się istotnie rozważaniami o wędrówce dusz w coraz inne wcielenia; o kolumnach duchów, jakie kierują ludzkością, o nowym chrystianizmie, o Napoleonie jako o wielkim duchu, który zgrzeszył pychą i został pokarany, ale wróci w nowym wcieleniu; o tym, że narody francuski, polski i żydowski mają prowadzić świat. Wszystko to było pościągane przez Towiańskiego to od Saint-Simona, to od Vintras, to od Saint-Martina, to od Enfantina. Koniec ubiegłego, a początek obecnego stulecia były pełne religijnych i socjalnych utopistów, reformatorów obyczaju i po prostu szalbierzy" – podsumowuje złośliwy Pruszyński. We francuskiej Izbie Deputowanych zawrzało.

Można by powiedzieć, że koronkowa operacja przechwycenia głównej idei autora prelekcji i doprowadzenie do tego, by zamieniła się ona w swoją własną karykaturę, okazała się operacją udaną. „[…] zapiera się świętej religii nauki Jezusa Chrystusa […], niszczy chrześcijanizm, głosi jako postęp symbolizm religijny – pisano ze zgrozą w jednym z pism emigracyjnych. – Odmawia Chrystusowi bóstwa i robi nowych mesjaszy. Ażeby uzyskać dla swoich celów wsparcie politycznej władzy – rzuca się pod maską słowianizmu w objęcia cara – przestaje być Polakiem". Także w prasie francuskiej zaczęły się prześmiechy, ironizowanie i ostrzeganie przed sekciarstwem. Szalę przeważyło oskarżenie o szerzenie przez Mickiewicza kultu Napoleona. Na jednym z wykładów poeta rozdawał słuchaczom obrazek z Napoleonem, litografię malarza towiańczyka, na której cesarz w welonie na głowie, z zamglonymi oczyma obejmuje drżącymi dłońmi mapę Europy. Niegdyś gorący wielbiciel poety, autor przedmowy do „Ksiąg narodu polskiego i pielgrzymstwa…", Charles Montalembert, pisarz, historyk i działacz katolicki, protestował w Izbie Parów przeciw opieszałości władz francuskich, które tolerują gorszące poglądy wypowiadane publicznie w Collège de France. „Ostatni wykład Mickiewicza odbył się 28 maja 1844 r. W trzy dni później minister Villemain zapewniał prefekta policji, że polski poeta więcej już wykładać nie będzie" (Maria Dernałowicz).

„Służba Sprawie" kładzie się cieniem na działalności Mickiewicza. Poeta pali swoje rękopisy, w wykłady wplata wątki budzące konsternację

Po dwóch latach potężnie zasilone przez przyjaciół i znajomych Mickiewicza szeregi wyznawców Koła poczęły rzednąć, sam Towiański został z Francji wydalony, „brat Adam" siłą niemal wyrwany z jego objęć przez energicznych Zmartwychwstańców z ks. Semenenką i ks. Jełowickim na czele. Spowiedź Mickiewicza u tego ostatniego trwała siedem godzin, jak odnotowano w kołach emigracyjnych. Zygmuntowa Krasicka z pokoju obok „słyszała jakby krzyki rozpaczy, jakby ryki krajanego nożem".

CARSKA RABOTA?

Mętna, pseudofilozoficzna nauka „Mistrza" zdołała jednak uwieść wielu Polaków, a jego legenda trwała jeszcze długo po jego śmierci. Starannie utkane z zapożyczeń pseudomistyków i pseudofilozofów przedsięwzięcie zaczadzenia najwybitniejszych emigracyjnych umysłów proroctwami, że skoro tylko wszyscy Polacy „odrodzą się z ducha", czyli uwierzą w Towiańskiego, „niewola skończy się sama", było dobrze przemyślaną i sprytnie przeprowadzoną psychomanipulacją. W kilku polskich środowiskach emigracyjnych i w wydawanych we Francji pismach ostrzegano od początku przed Towiańskim jako carskim prowokatorem. „Gdy niebawem, na zlecenie Mistrza, wyjdzie z kół Słowiańszczyzny pismo do cara, by i on przyjął ich wiarę, w emigracji zakotłuje się i zakipi. Nim się to stało, nabrała podejrzeń również francuska policja i po kilku miesiącach Mistrz Andrzej otrzymał nakaz opuszczenia Francji" – pisze Pruszyński. Osiedliwszy się w Brukseli, począł z kolei szturmować Rzym, by i papieża oświecić swoją wiarą. Wtedy pojawił się nakaz wyjazdu z Rzymu. W tamtych czasach nie zwlekano z tego typu decyzjami; policja pilnowała, by szemrane postacie nie mąciły innym w głowach, brano na serio niebezpieczeństwa sekciarstwa i wrogiej Kościołowi propagandy. Dzisiaj wielu historyków uważa, że Towiański wypełniał specjalną misję na zlecenie rządu rosyjskiego, starając się doprowadzić do kompromitacji Mickiewicza i ideowego rozkładu polskiej emigracji.

Jeśli istotnie tak było, to co do osoby Mickiewicza wypełnił tę misję perfekcyjnie, choć nie do końca skutecznie. Czy było to trudne zadanie? Trudne i łatwe jednocześnie, bo Mickiewicz był typem niezwykle wyrazistym i – pomimo wielkiej bujności swojej natury i wszechstronności talentów – zdumiewająco jednorodnym. „Zawsze to ten sam, żadnym cierpieniem nie zużyty duch, duch tytański, Prometej przykuty do skały czy nieszczęść narodowych, czy wiar własnych, ale piersią podnoszący kajdany ludu swego… jedną myślą, co gwoździem wrosła mu w czoło, chcący przewiercić świat, myślą o zbawieniu ojczyzny" – jak trafnie podsumował fenomen jego osobowości w jednym z listów młody wówczas poeta Zygmunt Krasiński.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Mackiewicz a kłamstwo katyńskie

– Jest pewne pytanie, które zazwyczaj zadajemy każdemu świadkowi, a które, jak sądzę, wygląda na raczej zbyteczne w tym przypadku, ale uważam, że dla porządku w protokole powinniśmy zapytać świadka o to mianowicie, czy wyrobił sobie jakąś opinię na temat tego, kto jest winny mordu katyńskiego?

– Jestem przekonany, że zbrodni tej dopuścili się bolszewicy.

W ten sposób zakończyły się zeznania Józefa Mackiewicza przed Specjalną Komisją Śledczą Kongresu USA do Zbadania Zbrodni Katyńskiej. Wybitny polski pisarz okazał się jednym z najbardziej kompetentnych świadków. Krok po kroku rozmontował kłamliwą sowiecką wersję wydarzeń.

Jego zeznania zrobiły na Amerykanach olbrzymie wrażenie. A teraz – dzięki Instytutowi Pamięci Narodowej – mogą zapoznać się z nimi polscy czytelnicy. Na rynku pojawił się bowiem właśnie drugi tom dokumentów tzw. komisji Maddena. Jest to lektura pasjonująca. Ukazuje nie tylko sowieckie bestialstwo, lecz także perfidię.

Mimo niepodważalnych dowodów, świadczących o tym, że polscy oficerowie zostali zgładzeni przez NKWD w roku 1940, bolszewicy upierali się, że zbrodni dokonali Niemcy w roku 1941. Mackiewicz, który w 1943 r. pojechał do Katynia i był świadkiem ekshumacji, z łatwością obalił to łgarstwo.

„Kiedy tam przybyłem – zeznawał – jedną z pierwszych rzeczy, jaką zauważyłem, była duża liczba gazet [znalezionych przy ciałach ofiar – przyp. P.Z.]. Zacząłem przeglądać te gazety i stwierdziłem, że żadna z nich nie pochodziła z okresu późniejszego niż kwiecień lub wiosna 1940 roku".

Dalej: „Byłem tam i widziałem zwłoki spoczywające w grobach. One leżały jak sardynki, całkowicie sprasowane. Podczas ekshumacji kieszenie trzeba było rozcinać nożem. Cholewy butów trzeba było rozcinać nożem i stamtąd wydobywano rozmaite dokumenty. Rosyjskie twierdzenie, że dokumenty te umieścili przy ciałach Niemcy, a potem pochowali te ciała, i twierdzenie, że miesiąc później Niemcy mieliby sprowadzić tam okoliczną ludność i powiedzieć: »Zobaczcie, znaleźliśmy te ciała«, to kompletna niedorzeczność. Wymagałoby to nadludzkiego wysiłku".

Nie przez przypadek władze PRL uznawały Mackiewicza za najbardziej niebezpiecznego emigracyjnego pisarza. ©℗

★★★★★★

„MORD W LESIE KATYŃSKIM. PRZESŁUCHANIA PRZED AMERYKAŃSKĄ KOMISJĄ MADDENA W LATACH 1951–1952", T. 2
IPN 2018

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Przegląd" i poeta

Zapewne niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, że najważniejsza gazeta sportowa w Polsce zawdzięcza swoje istnienie poecie Kazimierzowi Wierzyńskiemu. Wprawdzie „Przegląd Sportowy" zadebiutował jako tygodnik w Krakowie (21 maja 1921 r.), jednak po pięciu latach pismo było na skraju upadku. Na szczęście nie dopuścił do niego zagorzały kibic sportowy Kazimierz Wierzyński, który namówił właścicieli warszawskiego „Kuriera Czerwonego" do zakupu tego tytułu. Oczywiście sam został jego redaktorem naczelnym.

„Nadałem mu format gazety – wspominał po latach. – Powiększyłem objętość i przekonałem wydawców, aby zaryzykować nakład 5 tys. egzemplarzy. Chwyciło z miejsca. […] Dalsze dzieje pisma przeszły wszelkie oczekiwania. Wychodziło kilka razy na tydzień, nakład osiągnęło przeszło 20 tys. egzemplarzy".

Wierzyński okazał się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu, wiedział, że informacja musi być odpowiednio podana i napisana dobrym językiem. Czasami jednak sam nie służył za wzór profesjonalizmu, gdy bowiem wybrał się na mistrzostwa świata w hokeju na lodzie, zapomniał o roli sprawozdawcy. Zrozpaczeni podwładni przygotowywali relacje na podstawie informacji radiowych i depesz agencyjnych, informując oczywiście, że artykuły pochodzą od „własnego korespondenta". A gdy Wierzyńskiemu udało się wreszcie oderwać od suto zakrapianych przyjęć, impreza dobiegła już końca.

„Mistrzostwa się skończyły – opisywał Wojciech Trojanowski. – I kiedy o całej sprawie zaczęliśmy zapominać, kiedy już wszyscy wiedzieli, że Kanada wygrała mistrzostwa – przychodzi depesza od Wierzyńskiego.

Treść była krótka: »Pierwsza – Kanada, druga – Ameryka, trzecia – Czechosłowacja«. Nas oczywiście ogarnęła szewska pasja i wysłaliśmy do niego ironiczną depeszę z zapytaniem: »Dlaczego Czechosłowacja trzecia?«.

W dzień potem Wierzyński odpowiedział telegramem o długości 1,5 m. […] Wszystko było już nieważne, więc depeszę oprawiliśmy w ramki, wieszając ją na ścianie".

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że organizatorzy mistrzostw mieli powody do fetowania poety. W 1928 r. otrzymał on bowiem złoty medal na igrzyskach w Amsterdamie za tomik wierszy „Laur olimpijski". Był to zresztą pierwszy złoty medal olimpijski zdobyty dla Polski i Wierzyński wyprzedził nawet Halinę Konopacką, gdyż wyniki Konkursu Sztuki i Literatury ogłaszano przed rozpoczęciem imprezy.

Przygoda poety z „Przeglądem…" zakończyła się w 1931 r., ale wielbicielem sportu pozostał do końca życia. Natomiast gazeta wychodzi i jest popularna po dziś dzień. ©℗

eprasa.pl f1c0d8f093

Milicja kontra KGB

Stacja metra Żdanowskaja w 1980 r., na której ostatni raz widziano żywego majora KGB FOT. METROFOTO.RU

Adam Przechrzta

Zabójstwo majora tajnej służby pokazało prawdę o skali patologii w sowieckiej milicji

W latach 70. i 80. zeszłego wieku sowiecka milicja nie cieszyła się najlepszą opinią. Państwowa propaganda przedstawiała milicjantów jako obrońców zwykłych obywateli, ale wielu ludzi zetknęło się z zupełnie odmiennym obliczem sowieckich stróżów prawa. Wymuszanie łapówek, brutalność, brak profesjonalizmu – to tylko niektóre zarzuty. Sytuacji nie poprawiało też powszechne wśród mundurowych pijaństwo. W praktyce tuszowano niemal wszystkie przestępstwa dokonywane przez milicjantów. Do czasu.

27 grudnia 1980 r. o godz. 8.20, niedaleko osiedla Piechorka, przy drodze wiodącej do podmoskiewskiego lotniska Bykowo, znaleziono nieprzytomnego mężczyznę. Samo zdarzenie nie wzbudziłoby specjalnego zainteresowania, gdyby nie to, że ofiarę zidentyfikowano jako Wiaczesława Afanasjewa, majora KGB. Do wyjaśniania sprawy zabrała się nie milicja, a zupełnie inny resort. I jak było do przewidzenia – z dużo większą energią.

MAJOR W METRZE

Major Afanasjew zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci były urazy głowy, choć na ciele majora znaleziono także inne ślady przemocy. Wiadomo było, że zatłuczono go na śmierć.

O zdarzeniu natychmiast powiadomiono Andropowa. Ten nakazał, aby sprawą zajął się wydział śledczy KGB. I nie bez przyczyny: kilka miesięcy wcześniej zniknął wraz z całą rodziną inny major KGB, szyfrant Wiktor Szejmow (jak się później okazało, współpracował z Amerykanami i CIA ewakuowała go z Rosji wraz z żoną oraz kilkuletnią córką; wśród informacji, jakie wyjawił, były także te dotyczące zamachu na papieża Jana Pawła II). Jeśli oba wydarzenia byłyby dziełem obcego wywiadu, to – poza wszystkim innym – mogłyby znacząco osłabić pozycję Andropowa.

Śledczy ustalili, co feralnego dnia robił Afanasjew. Major rozpoczął dzień od wizyty w poliklinice (od tygodnia był na zwolnieniu lekarskim w związku z zapaleniem płuc), po czym udał się na spotkanie z dwoma przyjaciółmi, aby świętować 40. urodziny. Co prawda żona prosiła go, aby tego nie robił, gdyż w Rosji uważa się, że świętowanie tej rocznicy przynosi nieszczęście, ale pracownicy KGB gardzili przesądami, więc Afanasjew nie zmienił swoich planów. Panowie posiedzieli, popili (jak na rosyjskie standardy nie tak dużo), po czym wsiedli w metro. Niestety, będący na rauszu i osłabiony chorobą oficer zdrzemnął się i przejechał swój przystanek, zbudzili go dopiero kontrolerzy na stacji Żdanowskaja (dziś Wychino). Tutaj ślad się urywał.

Wersję o przypadkowym napadzie odrzucono niemal natychmiast. Oględziny miejsca, w którym znaleziono Afanasjewa, wykazały, że przewieziono go tam samochodem. Brak dokumentów (legitymację pracownika KGB znaleziono kilkanaście kilometrów dalej, majora zidentyfikowano po zaświadczeniu z polikliniki) wskazywał, że sprawca lub sprawcy doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia. Zresztą żaden urka [pospolity przestępca – przyp. red.] nie odważyłby się napaść na czekistę. Wniosek? Coś było nie tak. Mocno nie tak.

Śledczy musieli wyjaśnić, co łączyło stację Żdanowskaja z osiedlem Piechorka, gdzie znajdowały się co prawda dacze pracowników KGB, ale nie Afanasjewa, który takowej jeszcze nie posiadał.

Kontrolerzy wyjaśnili, że wezwali do drzemiącego pasażera milicję (Afanasjew był po cywilnemu i czuć było od niego alkohol), a ta zabrała go jak pospolitego pijaczka... Maszynista zeznał, że pomagał

eprasa.pl f1c0d8f093

nieść teczkę Afanasjewa, gdyż dzielni stróże prawa zajęci byli pacyfikowaniem protestującego kagebisty. Teoretycznie sprawa była prosta: na posterunku Afanasjew powinien się przedstawić, pokazać legitymację wiadomego resortu, a milicjanci grzecznie przeprosić i zwolnić majora. Milicja miała kategoryczny zakaz zatrzymywania w jakichkolwiek okolicznościach pracowników KGB, a Afanasjew, choć na rauszu, nie był przecież pijany czy agresywny. Teoretycznie.

KIEŁBASA I BUŁGARSKIE POMIDORY

O śmierci Afanasjewa zadecydowała zawartość jego teczki. I nie były to bynajmniej tajne dokumenty! Z okazji zbliżającego się Nowego Roku major otrzymał paczkę z deficytowymi, niedostępnymi prostemu ludowi produktami. Cóż tam było? Wędzona kiełbasa, słoik bułgarskich pomidorów, butelka wódki, konserwa rybna i butelka koniaku, którą podarowali jubilatowi przyjaciele. Afanasjew miał też przy sobie parę jugosłowiańskich sandałków (także deficytowych) dla córki.

Śledczy – rzecz jasna – przesłuchali milicjantów pełniących owego dnia służbę na stacji Żdanowskaja. Ci początkowo wszystkiemu zaprzeczali, jednak dowody były niezbite: liczni świadkowie (w tym m.in. milicjanci z innych posterunków i pracownicy izby wytrzeźwień) widzieli awanturującego się Afanasjewa, który groził miejscowej ekipie konsekwencjami służbowymi i rwał się do telefonu. Wreszcie w notatniku jednego z podejrzanych znaleziono dane kagebisty.

Plączący się w zeznaniach milicjanci nie wytrzymali długo i zaczęli zeznawać. Prawda okazała się równie banalna, co okrutna: Afanasjewa pobito i obrabowano, a później zakatowano, aby sprawa się nie wydała. A wszystko to dla odrobiny alkoholu i zakąski. W momencie zatrzymania Afanasjewa miejscowa załoga była tak pijana, że groźby oficera KGB nie zrobiły na nich żadnego wrażenia, opamiętanie – wraz z decyzją o definitywnym „pozbyciu się" problemu – przyszło dopiero później.

SPÓR I OCHRONA

Wiele osób, nawet niechętnie nastawionych do komunizmu i państwa powszechnej proletariackiej szczęśliwości, wyobraża sobie ZSRS jako monolit zarządzany twardą ręką aktualnego genseka i podległych mu aparatczyków. Nic bardziej błędnego. Najważniejsze rzeczy w rosyjskiej polityce zawsze działy się za kulisami. Przeciętni zjadacze chleba nie mieli pojęcia o rozgrywkach wśród elit i walce o władzę. W 1980 r. było już wiadomo, że dni Breżniewa są policzone, a partyjne wilki szykowały się do ostatecznej rozgrywki. Wśród faworytów wymieniano wówczas szefa KGB Jurija Andropowa i kierującego ministerstwem spraw wewnętrznych Nikołaja Szczołokowa. I nawet najbardziej doświadczonemu znawcy rosyjskiej polityki trudno byłoby przewidzieć, kto wygra. Co prawda ludzie o „czystych rękach i gorących sercach" zawsze cieszyli się większym uznaniem władzy niż pospolici milicjanci, stąd i większe kompetencje służb specjalnych, już od czasów Feliksa Dzierżyńskiego, jednak Szczołokowa łączyła z Breżniewem długoletnia przyjaźń. I mimo że ze względu na stan zdrowia wpływ generalnego sekretarza na politykę państwa malał, nie sposób było nie docenić tego faktu. Stąd siły obu konkurentów były wyrównane. Szczołokow zresztą korzystał bez żenady ze znajomości z Breżniewem, dzięki

Kadr z rosyjskiego filmu z 1999 r. Scena przedstawia aresztowanie Afanasjewa przez milicjantów

czemu udało mu się znacząco poszerzyć wpływy swojego resortu.

W KGB od dawna zdawano sobie sprawę, że moskiewska milicja zamieszana jest w różnego typu przestępstwa, jednak nigdy dotąd nie dotknęły one pracowników „bratniego" resortu – tak jak w przypadku mjr. Afanasjewa. A do tego wszelkie próby wyjaśnienia podobnych spraw tłumione były w zarodku, gdyż minister Szczołokow nie życzył sobie, aby ktokolwiek – w tym i prokuratura! – mieszał się w sprawy jego resortu.

Jednak tym razem Andropow zdecydował się rzucić wyzwanie ministerstwu spraw wewnętrznych, choć aby uniknąć bezpośredniego starcia ze Szczołokowem, przekazał dochodzenie w ręce generalnego prokuratora. Nie obyło się bez problemów, w pewnym momencie kierujący śledztwem funkcjonariusz prokuratury i jego rodzina musieli otrzymać ochronę złożoną z komandosów elitarnego, podległego KGB, oddziału „Alfa", gdyż zachodziła obawa, że ludzie Szczołokowa podejmą „niekonwencjonalne" działania, aby ochronić szefa i swój resort.

Wyniki dochodzenia porażały. Okazało się, że sprawa Afanasjewa nie była wyjątkiem: na porządku dziennym były przekraczanie pełnomocnictw służbowych, pobicia, grabieże, a nawet zabójstwa. Bezpośrednich sprawców śmierci majora KGB skazano na rozstrzelanie, innych – na długoletnie więzienie. Za ciężkie przestępstwa osądzono ponad 80 moskiewskich milicjantów, ponad 300 wyrzucono ze służby, a kariera Szczołokowa zaczęła się załamywać. W 1982 r., miesiąc po śmierci Breżniewa, oskarżonego o korupcję Szczołokowa usunięto ze stanowiska ministra, a na politycznym firmamencie ZSRS pojawiła się nowa gwiazda: Jurij Andropow. W 1983 r. Szczołokow został wykluczony z Komitetu Centralnego. Nawet śmierć Andropowa nie uratowała byłego ministra – został zdegradowany, w grudniu 1984 r. przestał być członkiem partii, po czym pozbawiono go tytułu Bohatera Pracy Socjalistycznej i wszystkich odznaczeń poza bojowymi. Następnego dnia Nikołaj Szczołokow popełnił samobójstwo. Tak zakończyła się jedna z największych afer czasów Związku Sowieckiego, która nieodwracalnie zniszczyła wizerunek milicjanta jako przyjaciela i obrońcy zwykłych obywateli.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

Jacek Przybylski

Krwawa jatka, którą Izrael urządził Palestyńczykom, wzburzyła nie tylko Amnesty International, lecz także władze Francji czy Turcji. Izraelski premier potrzebuje jednak konfliktu. Im większa eskalacja napięcia, tym bardziej rosną jego szanse na przetrwanie

„Magik" na czerwonej linii

Pozwólcie jej zostać ze mną. Dla niej jest za wcześnie, by odchodzić – płakała 17-letnia matka niewinnej ośmiomiesięcznej Leili al-Ghandour, małego aniołka o kruczoczarnych włoskach, owiniętego w białą pogrzebową szatę i palestyńską flagę. Według rodziny dziecko udusiło się w chmurze gazu łzawiącego, rozpylonego przez izraelską armię przy granicy z Autonomią Palestyńską. Tragedię malutkiej dziewczynki natychmiast wykorzystali działacze palestyńskiej partii Fatah i zdjęcia najmłodszej męczennicy powiesili obok zdjęć Mahmuda Abbasa i Jasira Arafata. W ten sposób mała Leila stała się twarzą rzezi w Strefie Gazy.

W zeszły poniedziałek, podczas pierwszego dnia protestów przeciw przeniesieniu amerykańskiej ambasady z Tel Awiwu do Jerozolimy, które to miasto Palestyńczycy, tak jak i Żydzi, uważają za swoją odwieczną stolicę, zginęło co najmniej 63 Palestyńczyków, a ok. 3 tys. zostało rannych. Większość od postrzału izraelskimi kulami. Najkrwawszy dzień w Strefie Gazy od czasu wojny między Izraelem a Hamasem w 2014 r. – w ciągu 50 dni zginęło wówczas co najmniej 2,2 tys. Palestyńczyków i 73 Izraelczyków – wywołał ostry protest francuskiego prezydenta. Emmanuel Macron próbował przekonywać premiera Beniamina Netanjahu, że Palestyńczycy mają prawo do pokoju i bezpieczeństwa w granicach swojego państwa, oraz podkreślał znaczenie ochrony ludności cywilnej. I chociaż w obronie Izraela stanęły Stany Zjednoczone, to zaniepokojenie sytuacją w Strefie Gazy wyraziły też takie kraje jak Niemcy, Wielka Brytania czy Rosja. „Izrael ma prawo do obrony i zabez-

eprasa.pl f1c0d8f093

Ośmiomiesięczna Leila to najmłodsza ofiara krwawych starć izraelsko-palestyńskich FOT. MOHAMMED SALEM/REUTERS/FORUM

pieczania swoich granic. Należy jednak przestrzegać zasady proporcjonalnego użycia siły" – oświadczyło z kolei polskie MSZ.

Zachowanie izraelskiej armii najsurowiej potępiły władze w Ankarze, które poprosiły izraelskiego ambasadora o tymczasowe opuszczenie Turcji i wezwały swojego ambasadora z Izraela „na konsultacje". Prezydent Turcji oskarżył zaś Izrael o państwowy terroryzm, a dokonaną przez żydowskich żołnierzy masakrę Palestyńczyków nazwał ludobójstwem. Recep Tayyip Erdoğan nazwał też Izrael państwem apartheidu i podkreślił, że premier Beniamin Netanjahu: „Ma na rękach palestyńską krew".

UCIECZKA PRZED ŚMIERCIĄ

Dla szefa izraelskiego rządu, który tragicznym losem Palestyńczyków raczej nigdy się nie przejmował, takie oskarżenia ze strony Turcji to woda na polityczny młyn. Netanjahu od lat stara się kreować na przywódcę, który najlepiej potrafi zapewnić bezpieczeństwo otoczonego przez wrogie kraje Izraela. To on był np. wielkim zwolennikiem budowy ogrodzenia, które w zeszłym tygodniu próbowali sforsować Palestyńczycy, aby wydostać się ze swojego getta, czyli terytorium o powierzchni 360 km kw., na którym mieszka ponad 1,5 mln osób. Izraelska armia 11 lat temu rozpoczęła lądową, morską oraz powietrzną blokadę Strefy Gazy, odcinając te terytoria od świata zewnętrznego i doprowadzając do gigantycznego bezrobocia oraz ubóstwa wielu jej mieszkańców, w tym rodzinę zabitej ośmiomiesięcznej dziewczynki. – Erdoğan należy do największych sprzymierzeńców Hamasu i bez wątpienia doskonale rozumie terroryzm oraz mord. Sugeruję więc, aby nie uczył nas moralności – oznajmił „Bibi", jak nazywany jest izraelski premier, odpowiadając na krytykę tureckiego prezydenta. Szefowi izraelskiego rządu, który od kilku miesięcy za wszelką cenę próbuje uciec przed zarzutami kryminalnymi i polityczną śmiercią, zaostrzenie stosunków z Palestyńczykami oraz stąpanie po cienkiej linii między pokojem a wojną między Izraelem a Iranem i Syrią jest jednak paradoksalnie na rękę. Niezwykle zręczny polityczny gracz potrafi bowiem wykorzystywać wszelkie okazje, aby wydobyć się z tarapatów i utrzymać się u władzy.

Do życia publicznego trafił w latach 80., gdy po śmierci starszego brata – Jonatan zginął, dowodząc izraelskim oddziałem specjalnym podczas akcji odbicia pasażerów porwanego samolotu w Entebbe w Ugandzie – założył na jego cześć instytut antyterrorystyczny. Świetnie mówiący po angielsku Netanjahu, który większą część młodego życia spędził w USA, stał się stałym gościem amerykańskich stacji telewizyjnych. W 1984 r. został przedstawicielem Izraela przy ONZ w Nowym Jorku. Cztery lata później wrócił do Izraela. Szybko wygrał wybory do Knesetu i został wiceszefem dyplomacji. W 1992 r. objął przywództwo nad prawicowym Likudem.

Gdy w 1996 r. w przedterminowych wyborach zwołanych po zabójstwie Icchaka Rabina Beniamin Netanjahu jako 46-latek został najmłodszym szefem rządu w historii Izraela, wielu polityków zgodnie twierdziło, że jest za mało doświadczony, aby pełnić tak ważną funkcję. I mieli sporo racji. Jako premier bardziej utrzymywał się przy władzy, niż rzeczywiście rządził. Doprowadził do spowolnienia palestyńsko-izraelskiego procesu pokojowego. W 1997 r. premier Izraela – który 30 lat wcześniej wstąpił do armii i szybko awansował na kapitana komandosów – nakazał agentom Mosadu zamordowanie przebywającego wówczas w Jordanii szefa biura politycznego Hamasu Chalida Maszala. Żydowscy agenci posłużyli się sfałszowanymi paszportami kanadyjskimi. Izraelscy mordercy wpadli jednak w ręce jordańskich służb. Aby doprowadzić do ich uwolnienia, Izrael musiał nie tylko przekazać antidotum na truciznę, którą wstrzyknięto Maszalowi, lecz także wypuścić z więzień wielu palestyńskich więźniów na czele z szejkiem Ahmedem Jassinem. Mimo porażki służb podczas akcji w Jordanii Netanjahu nadal nie chciał kontynuować procesu pokojowego. Podkreślał, że Izrael nie wycofa się ze Wzgórz Golan, nie będzie rozmawiał o podziale Jerozolimy i nie zgodzi się na żadne wstępne warunki przed rozmowami pokojowymi.

Tak stanowcze podejście wobec Palestyńczyków, a także oskarżenia o niewierność i korupcję sprawiły, że już w 1999 r. pierwszy prezes Rady Ministrów, który urodził się już na terenie Izraela, przegrał wybory i stracił miejsce u steru nacjonalistyczno-konserwatywnego Likudu. Podczas intifady Al-Aksa Netanjahu – którego pochodzący z Warszawy ojciec Benzion, historyk i działacz syjonistyczny, opowiadał się za stworzeniem wielkiego Izraela, bez żadnego kompromisu z krajami arabskim – apelował do rządu Ariela Szarona o stłumienie siłą palestyńskiego powstania. Opowiadał się również za budową muru odgradzającego od Izraela terytorium Autonomii Palestyńskiej. W 2002 r. Szaron mianował Netanjahu szefem dyplomacji, a po wyborach w roku 2003 powierzył mu tekę ministra finansów. Ambitny młody polityk sprawdził się w tej roli – za pomocą pakietu reform doprowadził do wzrostu PKB, spadku bezrobocia i obniżenia inflacji.

eprasa.pl f1c0d8f093

W roku 2018 Beniamin Netanjahu może przejść do historii jako najdłużej urzędujący premier Izraela – jeżeli utrzyma się u władzy chociaż do sierpnia, to pobije rekord słynnego premiera Dawida Ben Guriona, pochodzącego z Królestwa Polskiego ojca założyciela Izraela, który sprawował rządy przez 13 lat i 127 dni.

Nie jest to jednak pewne. Od kilku miesięcy można bowiem odnieść wrażenie, że dni urzędowania Beniamina Netanjahu są już policzone. Izraelski premier nadal trwa jednak na swoim stołku, choć wokół szefa rządu coraz bardziej zaciska się pętla wymiaru sprawiedliwości, którego przedstawiciele podejrzewają go o fałszerstwa, złamanie zasad zaufania społecznego oraz korupcję. W lutym izraelska policja oficjalnie zaleciła prokuratorowi generalnemu postawienie premiera w stan oskarżenia. Netanjahu w zamian za przychylne traktowanie przez rząd miał otrzymywać od bogatych przedsiębiorców bardzo drogie prezenty, na co policja ma ponoć dowody zgromadzone w czterech różnych sprawach.

Mimo apeli o podanie się do dymisji premier pozostał jednak przy władzy. Na Facebooku wydał jedynie krótkie oświadczenie, które miało uspokoić jego zwolenników. – Wielu z was pyta, co będzie? Chcę więc was uspokoić. Nic nie będzie, bo wiem, jaka jest prawda – oznajmił Beniamin Netanjahu, który ma tak niezwykłą zdolność utrzymywania się przy władzy mimo różnorakich trudności, że w Izraelu zyskał pseudonim Magik. Zresztą o niezwykłym talencie politycznego przetrwania, który ma Netanjahu, zachodnie media pisały już w 2009 r. Wówczas ten jeden z najbardziej kontrowersyjnych przywódców w historii Izraela po trzyletniej przerwie odzyskał fotel premiera. Od 2015 r. – gdy Netanjahu został wybrany na swoją czwartą kadencję – izraelscy publicyści niemal bez przerwy spekulują, kiedy wreszcie upadnie rząd.

DESER W BUCIE

Sytuacja wewnętrzna nie wygląda ciekawie, a i w relacjach z zagranicznymi przywódcami „Bibiemu" – mimo studiów ukończonych na prestiżowym amerykańskim Massachusetts Institute of Technology – często wychodzi słoma z butów. Czasem niemal dosłownie. Na początku maja izraelski premier zachował się gorzej niż prezydent Komorowski, zgadzając się na to, aby podczas oficjalnej kolacji wydanej dla goszczącego w Izraelu premiera Japonii deser dla Shinzō Abe i jego małżonki został podany w naczyniach przypominających męskie buty. Niezależnie od kraju pochodzenia gościa byłaby to zła decyzja. W przypadku premiera Japonii była to zaś decyzja tym bardziej fatalna, że akurat w Kraju Kwitnącej Wiśni buty uważane są za coś brudnego i godnego pogardy, więc zostawia się je zawsze tuż za głównymi drzwiami domu czy mieszkania. O kładzeniu ich na stole w ogóle nie może być zaś mowy. To tak, jakby żydowskiej delegacji podać deser w naczyniu przypominającym ucho świni. Izraelczycy zbagatelizowali jednak skandal, zrzucając winę na „kreatywność" szefa kuchni.

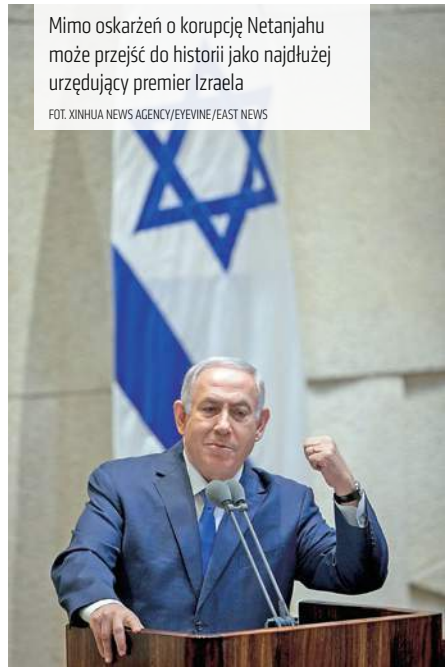

Mimo oskarżeń o korupcję Netanjahu może przejść do historii jako najdłużej urzędujący premier Izraela

FOT. XINHUA NEWS AGENCY/EYEVINE/EAST NEWS

Same do siebie izraelskie władze nie mają już jednak aż tyle dystansu. Członek gabinetu Netanjahu, minister energetyki Juwal Steinitz, nie wahał się publicznie oskarżyć o antysemityzm urodzonej w Jerozolimie aktorki Natalie Portman, gdy ta odmówiła przyjęcia nagrody Genesis Prize, nazywanej żydowskim Noblem. Tymczasem Portman wprost oznajmiła, że nie zdecydowała się na przyjęcie nagrody (w tym 2 mln dol.), bo nie chciała pojawiać się na scenie wraz z premierem Beniaminem Netanjahu. – Troszczę się o Izrael. Muszę więc występować przeciw przemocy, korupcji, nierówności i nadużyciom władzy – oznajmiła w kwietniu znana aktorka, która w roku 2015 – na wieść o kolejnym wyborczym zwycięstwie Netanjahu – stwierdziła, że jest „bardzo, bardzo zasmucona i rozczarowana".

Nawet jeżeli w końcu prokuratorom udałoby się postawić obecnego premiera przed sądem i doprowadzić do jego skazania, to Netanjahu nie byłby pierwszym przedstawicielem najwyższych władz Izraela, który trafiłby do więzienia. Półtora roku za kratkami odsiedział poprzednik Netanjahu na stanowisku premiera: Ehud Olmert, były lider lewicowej partii Kadima, który Izraelem rządził w latach 2006–2009, został uznany za winnego przyjęcia 60 tys. szekli łapówki w zamian za pozwolenie na budowę jednego z luksusowych osiedli mieszkaniowych w Zachodniej Jerozolimie. W grudniu zeszłego roku przedterminowo zwolniono z więzienia byłego prezydenta Izraela. Mosze Kacew – dawniej jeden z liderów prawicowej partii Likud – wyszedł na wolność po odbyciu pięciu z siedmiu lat kary pozbawienia wolności za gwałty na dwóch współpracownicach, a także za przestępstwa seksualne, nękanie świadków oraz utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Był pierwszym prezydentem Izraela odbywającym karę więzienia od czasu utworzenia państwa żydowskiego w roku 1948.

GDY WYBORCY SIĘ BOJĄ

„Bibi" doskonale zna więzienne historie swych politycznych kolegów. I wie dobrze, że poważny konflikt nie tylko może uratować go od prokuratorów, lecz także zapewnić dalsze długie rządy. Wycofanie się USA z umowy z Iranem sprawiło, że kierowana przez niego partia Likud osiągnęła w sondażach poziomy niewidziane od dekady, które – gdyby wybory odbyły się w maju – pozwoliłyby zwiększyć Likudowi stan posiadania w 120-miejscowym Knesecie z obecnych 30 do nawet 42 przedstawicieli. 62 proc. Izraelczyków obawia się bowiem, że może wybuchnąć wojna. „Bezpieczeństwo" od lat jest zaś słowem kluczem dla wyborców. Im większe zagrożenie, tym większe poparcie dla prawicy. W końcu i tak mało kto w Izraelu wierzy, że pokój z Arabami jest w ogóle możliwy. A jeśli do tego wszystkiego dołożyć poparcie ze strony Donalda Trumpa, który w przeciwieństwie do Baracka Obamy dał wiele wyrazów uznania wobec Netanjahu, to pozycja premiera mimo oskarżeń korupcyjnych ostatnio znów się umacnia. Trzeba tylko mieć nadzieję, że „Magik" nie przekroczy czerwonej linii i dbając o swoją skórę, nie wywoła w końcu regionalnej lub globalnej wojny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

NOWY
SERIAL HISTORYCZNY

ZWYCIĘZCY

OD 21 MAJA 2018

PIĄTY ODCINEK SERII
Słowianie przeciw wikingom

Opowiadamy o kontaktach handlowych i politycznych Słowian (szczególnie Pomorzan) i Skandynawów – handel, powiązania rodzinne oraz konflikty. Wyprawa księcia Racibora.

ZWYCIEZCY.DORZECZY.PL | SUPERHISTORIA.PL/ZWYCIEZCY

PARTNER PROGRAMÓW HISTORYCZNYCH „ZWYCIĘZCY"

PGE Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl/11c0d8f093

Eugeniusz Biłonożko

Dlaczego ukraińska pilotka Nadia Sawczenko, o której uwolnienie zabiegali prawie wszyscy politycy zachodniego świata, została oskarżona wraz z emerytowanym oficerem Wołodymyrem Rubanem o zamach stanu oraz terroryzm i trafiła za kratki?

Zagadka Nadii

FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Prawie dwa lata temu Nadia Sawczenko została zwolniona z więzienia w ramach rosyjsko-ukraińskiej wymiany jeńców. Prezydent Petro Poroszenko wręczył jej medal Bohatera Ukrainy, a cały kraj witał pilotkę jak prawdziwą i niezłomną bohaterkę. 22 marca tego roku ukraiński parlament – Werchowna Rada – większością głosów uchylił nietykalność obecnej już pani poseł (do parlamentu Sawczenko dostała się z pierwszego miejsca partyjnej listy „Batkiwszczyna" Julii Tymoszenko) i zezwoliła na jej areszt. Była pilotka ogłosiła głodówkę.

UKRAIŃSKI „HOMELAND"

„Homeland" to amerykański serial telewizyjny opowiadający o sierżancie korpusu piechoty morskiej cudem odnalezionym po ośmiu latach niewoli w Iraku. Powracający do Stanów Zjednoczonych żołnierz wzbudza zainteresowanie agentki CIA, która podejrzewa, że planuje on zorganizować zamach terrorystyczny.

Nikt na Ukrainie nie spodziewał się, że i my będziemy mieli swojego własnego sierżanta Brody'ego. W przypadku Sawczenko – której historia nieco przypomina wydarzenia z amerykańskiego serialu – życie nawet przerosło fikcję.

We wrześniu 2015 r. na Ukrainie ukazała się autobiografia lotniczki pt. „Nadia. Więzień Putina". Pół roku później ukazało się jej polskie tłumaczenie, a wiosną 2017 r. – wywiad rzeka po polsku z Nadią Sawczenko pt. „Ukraina moja miłość". W obu tekstach ukraińska bohaterka nie kryła swojej słabości do alkoholu i wspominała o perypetiach podczas służby w Iraku. Wszystko to potwierdzają także żołnierze, którzy w różnym okresie spotykali Nadię Sawczenko w wojsku. Ekspresja, ostry język, zamiłowanie do zdecydowanych działań i różnych skrajności towarzyszą jej przez całe życie. Nieprzypadkowo w wojsku nazywano ją Pulia, czyli Kula. Jeżeli wierzyć oficerom wywiadu wojskowego, to każdy jeniec w wojsku jest rozpracowywany pod kątem werbunku odpowiednio do jego cech osobowości. To, że Sawczenko jako jedyna miała możliwość występowania przed kamerami i epatowania publiczności, dziwiło od samego początku. W rosyjskich więzieniach przebywa dziś sześciu obywateli Ukrainy, którzy zostali oskarżeni o terroryzm albo szpiegostwo: Oleg Sencow, Oleksandr Kolchenko, Roman Sushchenko, Mykola Karpiuk, Stanisław Kłych, Paweł Gryb. O nich wszystkich w światowych oraz ukraińskich mediach mówiło się mniej niż o jednej Sawczenko.

Niewątpliwie pani kapitan sił zbrojnych Ukrainy ma predyspozycje do odważnych działań i lubi ryzykować. Zresztą w szeregach ochotniczego batalionu „Ajdar" Sawczenko znalazła się podczas swego urlopu, ponieważ jako wojskowy pilot nie została wysłana do walki z prorosyjskimi terrorystami, ale jako oficer uważała za swój obowiązek, aby być na wojnie. Zatem kiedy i dlaczego nastąpiła taka przemiana kpt. Sawczenko, że postanowiła ona w 2016 r. lustrować władze Ukrainy?

JEŃCY, CZYLI TOWAR

Na wojnie można zostać zabitym, ale można też osiągnąć sławę albo okryć się

eprasa.pl f1c0d8f093

hańbą. Wołodymyr Ruban był oficerem lotnictwa, który pilotował bombowce zdolne do przenoszenia broni atomowej. Do 1991 r. używał on nazwiska Garbuziuk. W Armii Sowieckiej służył do 1991 r. i odszedł z niej w stopniu porucznika (starszego lejtnanta). Następnie prowadził biznes poligraficzno-wydawniczy i remontował samochody. Z materiałów udostępnionych przez SBU wynika, że w latach 2004–2008 wspólnie z byłym oficerom wywiadu KGB prowadził działalność wydawniczą. Książki wydawane przez Rubana cechowała wyłącznie promoskiewska narracja i były one dofinansowywane z Moskwy. SBU twierdzi, że od 2012 r. Ruban stale współpracował z organizacją Ukraiński Wybór, której szefem jest Wiktor Medwedczuk. W 2013 r. Ruban powołał fundację Korpus Oficerski, która stylizowała swoje ubrania na siły pokojowe ONZ i jeździła w 2014 r. do Donbasu, aby prowadzić tam wymianę jeńców. Jesienią 2013 r. członkowie fundacji Oficerski Korpus zaangażowali się w samoobronę Majdanu, a w maju 2014 r. Ruban już był w Doniecku i prowadził negocjacje w celu uwolnienia jeńców. Ze słów byłego porucznika wynika, że pojechał tam, aby uwolnić swojego kolegę. Od czerwca 2014 r. regularnie odwiedzał donbaską i ługańską republikę, spotykając się z miejscowymi watażkami: Biezlerem, Plotnickim, Bolotowem, Aleksandrem Tymofiejewem („Taszkientem"), Zacharczenką. Z rozmów z ludźmi znającymi temat – wśród nich z osobą, która w maju 2014 r. była w Doniecku – wynika, że trudno, by ktoś wówczas odwiedzał terrorystów bez gwarancji nietykalności.

W tym czasie do Doniecka z własnej woli jechali tylko ci, którzy mieli w tym interes albo planowali zrobić tam interes. W 2014 r. żadna hierarchia wśród jednostek separatystów nie istniała, a każdym miastem zarządzał ataman. Mimo to nikt z lokalnych watażków nie zrobił krzywdy Rubanowi. Trudno uwierzyć, że ktoś w tym czasie akceptował płatność w postaci „słowa honoru" czy „słowa oficera". Zwłaszcza że Ruban był również nazywany terrorystą przez Janukowycza, bo był na Majdanie. Według plotek miał zarabiać duże pieniądze na wymianie jeńców.

Warto podkreślić, że praca Rubana w roli negocjatora w sprawie jeńców w 2014 r. była opłacana przez Hennadija Korbana (w tym czasie asystenta Kołomojskiego, gubernatora obwodu dniepropietrowskiego).

W 2014 r. SBU wydało Rubanowi legitymację generała, by bardziej uwiarygodnić go w oczach terrorystów. Jednak jeszcze pod koniec tamtego roku SBU mogło nabrać podejrzeń, bo ten heroiczny wyzwoliciel jeńców nie dostał żadnej posady w międzyresortowej grupie do spraw wymiany jeńców przy ministerstwie obrony Ukrainy.

Najbardziej prawdopodobne jest, że Ruban i Sawczenko spotkali się dopiero w 2016 r. (choć ten próbował ją uwolnić od razu po tym, gdy w 2014 r. dostała się do niewoli prorosyjskich separatystów na Ukrainie). Pilotka po aresztowaniu przez separatystów trafiła do rosyjskiego więzienia w Woroneżu pod zarzutem przyczynienia się do śmierci dwóch rosyjskich dziennikarzy na wschodzie Ukrainy. Wolność odzyskała w 2016 r., gdy wymieniono ją na dwóch skazanych na Ukrainie żołnierzy rosyjskiego GRU. Po uwolnieniu od razu wkroczyła do rodzimej polityki. Ktoś pewnie zaczął jej doradzać, co trzeba robić, aby tam zaistnieć.

DROGA DO SEPARATYSTÓW

W październiku 2016 r. Nadia Sawczenko pojechała na proces sądowy innych ukraińskich więźniów – Karpiuka i Kłycha. Na granicy z Rosją została zawrócona. Próbowała dalej – samolotem. Na lotnisku w Moskwie byłego „osobistego więźnia Putina" kontrolowano przez trzy godziny, ostatecznie zezwolono na jej przyjazd do sądu. Sprawa stała się medialna. Jednak Karpiuk i Kłych nie byli z tego zadowoleni i twierdzili, że Sawczenko przyjechała na ich proces dla własnego PR.

W tej sprawie trzeba postawić jeszcze jedno pytanie: Kto przekonał panią poseł, że jest nietykalna i może wjechać do państwa, które niedawno groziło jej 22 latami więzienia za rzekome zabójstwo dwóch dziennikarzy?

W grudniu 2016 r. Sawczenko odwiedziła Mińsk i próbowała nawiązać kontakty z przebywającymi na Białorusi przedstawicielami separatystów. Rok wcześniej to samo próbował zrobić Ruban. W lutym 2017 r. razem odwiedzili okupowany Donieck, by rozmawiać o uwolnieniu jeńców. Po każdym z tych wyjazdów SBU zapraszała Sawczenko na rozmowy, a następnie oświadczała, że jej działalność nie jest koordynowana przez SBU.

ZMOWA CZY PROWOKACJA

W lutym 2017 r. Tatiana Ryczkowa (deputowana z Bloku Poroszenki) poinformowała, że Sawczenko nawoływała ukraińskich żołnierzy do obalenia władz w Kijowie. W akcie oskarżenia prokuratury podaje się, że zmowa w celu obalenia Poroszenki powstała nie później niż 20 listopada 2017 r. Od wyjazdu do Moskwy w październiku 2016 r. Sawczenko miała być obserwowana przez SBU.

8 marca 2017 r. Ruban został zatrzymany przy próbie przemycenia broni na Ukrainę. W sądzie powiedział, że jechał do okupowanej Gorłówki w towarzystwie oficera o pseudonimie Kedr. Ukraińscy dziennikarze szybko ustalili, że to major Paweł Balow, kawaler Orderu Bogdana Chmielnickiego, który służy w 8. Pułku Specnazu (ukraiński wojskowy wywiad) w miejscowości Chmielnicki. Na terenie tej jednostki wojskowej przechowywana była pierwsza partia broni, którą przemycili spiskowcy latem 2017 r.

Sekwencja kolejnych wydarzeń jest taka: Sawczenko przyszła do sądu, żeby poręczyć za Rubana. Potem opowiedziała jednej parlamentarzystce o planowanym zamachu na parlament i prezydenta. Następnie zwołała konferencję prasową, na której ogłosiła, że planowała operację „Surrealizm", która miała ujawnić nieudolność ukraińskiego państwa i jego służb specjalnych. Wszystko skończyło się jej zatrzymaniem.

Sprawa Sawczenko-Ruban trafiła do sądu. Sąd zgodził się na areszt. Podejrzani odmawiali złożenia zeznań. Zawiłości prawne i polityczne skutki tych wydarzeń odbiły się szerokim echem nie tylko na Ukrainie, lecz także za granicą.

Całą historię wieńczą dwa przemówienia prezydenta Poroszenki. Pierwsze – 24 marca, z okazji kolejnej rocznicy SBU, w którym prezydent Ukrainy powiedział, że teraz jest potrzeba przeprowadzenia ogólnokrajowej operacji kontrwywiadowczej, żeby odszukać wrogów, którzy kryją się na tyłach. Drugie przemówienie prezydenta wygłoszone było 26 marca, w rocznicę powołania Gwardii Narodowej, w którym padły słowa o potrzebie zwalczania piątej kolumny i potrzebie dania odporu wrogom wewnętrznym w kraju.

Warto pamiętać, że prawne skutki sprawy sądowej będę zupełnie inne od politycznych skutków tego nieudanego zamachu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest docentem Katedry Socjologii Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu Ekonomicznego im. Wadyma Getmana oraz redaktorem naczelnym polonijnego portalu PoloNews.

eprasa.pl f1c0d8f093

Tomasz P. Terlikowski

Antygenderowy Wyszehrad

To nie Polska, ale Słowacja znajduje się obecnie w awangardzie walki z ideologią gender

Gdy polska prawica złożyła broń w wojnie z ideologią gender i przekonuje, że konwencja stambulska jest niemal tak nienaruszalna jak niegdyś przyjaźń bułgarsko-sowiecka, na Słowacji nie tylko udało się skutecznie zablokować jej ratyfikację, lecz także zbudować – wbrew niemal wszystkim mediom – potężną inicjatywę społeczną, która ma w planach także rozruszanie innych krajów regionu i zbudowanie nowej antygenderowej Grupy Wyszehradzkiej. A wszystko za sprawą determinacji jednego księdza, kilku świeckich i modlitwy kilkuset bezdomnych.

REBELIANCI

Nie słyszeliście o tym? Nie macie pojęcia o tym, że wśród słowackich partii tylko jedna deklaruje poparcie (i tak dość ostrożne) dla konwencji stambulskiej? Nie wiecie nawet o tym, że w kolejne piątki na ulice słowackich miast i miasteczek wychodzą tłumy ludzi, by uczestniczyć w marszach różańcowych, wspieranych przez rzymsko- i greckokatolickich biskupów? Ja też o tym nie słyszałem. I pewnie bym nie usłyszał, gdyby nie to, że pewnego dnia zadzwonił do mnie mój przyjaciel, pracujący dla Słowackiej Konferencji Episkopatu. – Tomek – powiedział – przyjeżdżaj. Robimy spotkanie przeciwników ideologii gender z Europy Środkowej i nie może cię tu zabraknąć.

Cóż było robić, zapakowałem rzeczy do samochodu i ruszyłem w drogę do… niewielkiej wioski po drugiej stronie naszych Tatr.

W kameralnym (takie miało być) spotkaniu uczestniczyli poza Słowakami, także Czesi, Litwini, Austriacy, świeccy i kapłani, a także dwóch biskupów (grecko- i rzymskokatolicki) i wszyscy oni przekonywali, że blokada konwencji w jednym z krajów to za mało, że trzeba przeprowadzić zmasowaną akcję i doprowadzić do tego, aby konwencja została wypowiedziana (to w przypadku Polski) lub skutecznie na zawsze odrzucona (przypadek Litwy i Słowacji). To miałby być pierwszy sukces konserwatywnego ruchu oporu. I choć na pierwszy rzut oka można było odnieść wrażenie, że w ośrodku dla bezdomnych (bo w nim obradowaliśmy) spotkał się polityczny i medialny plankton, ktoś w rodzaju rebeliantów z „Gwiezdnych wojen", to gdy Słowacy zaczęli opowiadać, co już im się udało, to okazało się, że wcale tak nie jest.

Gdy w Polsce rząd Platformy Obywatelskiej wprowadzał konwencję stambulską, w sąsiedniej Słowacji próbowano zrobić to samo. Media, co nie powinno nikogo zaskakiwać, były po stronie zmian. Przekonywano, że trzeba to koniecznie zrobić, że kobiety są bite i prześladowane i że bez wprowadzenia nowego dokumentu tak będzie nadal. I wtedy do akcji wkroczył dynamiczny, lubiany

eprasa.pl f1c0d8f093

Ksiądz Maroš Kuffa, mimo ostrej nagonki mediów, skutecznie zadziałał w sprawie zablokowania ratyfikacji konwencji stambulskiej FOT. YOUTUBE

(do pewnego momentu) przez media ks. Marian (Maroš) Kuffa. Za pomocą mediów społecznościowych, a także kazań i spotkań w kościołach zaczął przekonywać Słowaków do odrzucenia „czystego zła" ze Stambułu. A trudno mu było zarzucić, że nie zna się na sprawie, bo od lat 90. zajmuje się pomocą bezdomnym (prowadzi kilka ośrodków, w których pomaga im wychodzić z problemów), samotnym matkom, a także kobietom, które doświadczają przemocy. Jego ośrodki należą do największych na Słowacji, a on sam jest jednym z autorytetów w dziedzinie pomocy ludziom w sytuacjach kryzysowych. Jeśli więc taki ksiądz występuje przeciwko konwencji, to jego głos ma znaczenie.

KARATEKA, TATERNIK, KSIĄDZ

Nie bez znaczenia było także to, że ks. Kuffa ma życiorys, który może podobać się mediom. Jako chłopak trenował karate, później był taternikiem, studiował agronomię i zamierzał – jak sam wspominał – mieć żonę oraz gromadkę dzieci. Jednak gdy wspinał się na Gerlach, odpadł od skały i spadł w 200-metrową przepaść. Ratownicy dotarli do niego po 13 godzinach, a on w tym czasie złożył ślub, że jeśli przeżyje, to zostanie księdzem. Tak się stało.

Wstąpił do seminarium i jeszcze na studiach znalazł zrujnowaną plebanię w Żakowcach, o której przekazanie poprosił biskupa. Tam założył pierwszy ośrodek dla bezdomnych. A później poszło już z górki. Kolejne ośrodki były otwierane, inne rozbudowywane, nowe pomysły realizowane, a media nie mogły się nachwalić dynamicznego księdza. – Pan Bóg nie będzie nas sądził za to, czegośmy nie mogli zrobić, ale za to, co mogliśmy, ale nie zrobiliśmy – mawiał ksiądz. A telewizje kręciły o nim kolejne dokumenty.

I pewnie mogłoby to tak trwać, gdyby nie to, że ks. Kuffa nie jest tylko działaczem społecznym, lecz także głęboko wierzącym księdzem. I dlatego bezdomni w jego ośrodkach modlą się codziennie, uczestniczą we mszach świętych i angażują w działalność ważną z punktu widzenia wiary. I za to po raz pierwszy zaczęto atakować księdza. Skandalem miało być „przymuszanie" przez niego do praktyk religijnych. To jednak pewnie by mu wybaczono, szczególnie że jego ośrodki są zawsze birytualistyczne (to znaczy, że obok księdza łacińskiego pracuje w nich także grekokatolik), ale duchowny nadepnął na odcisk działaczom gejowskim, gdy jasno wskazał, że ich pomysły prowadzą do zniszczenia narodu i całkowitej depopulacji. Wtedy na jego głowę posypały się gromy.

A on spokojnie, bez strachu wyjaśniał, że jego poglądy na homoseksualizm, ideologię homoseksualną i homoseksualistów wynikają z jego chrześcijaństwa i kapłaństwa. „U siebie w Żakowcach od 24 lat staram się pomagać homoseksualistom. Bóg kocha grzesznika, ale nienawidzi grzechu. Kiedy kochamy alkoholika, to nie dajemy mu flaszki, gdy kochamy narkomana nie dajemy mu narkotyków i podobnie gdy kochamy prostytutki czy homoseksualistów, nie dajemy im nieuporządkowanego seksu. Tak nie postępują dobry ojciec ani dobra matka" – wyjaśniał. Od tego momentu był już jednak wrogiem publicznym. A gdy zaczął walczyć z gender, media liberalne (a te są na Słowacji, gdzie nie udało się zbudować mediów niezależnych, o wiele silniejsze niż w Polsce) zjednoczyły się w oporze przeciwko niemu.

METODA TWARZĄ W TWARZ

A jednak mimo ostrej nagonki nie udało się go zniszczyć. Słowacki episkopat, może nie zawsze publicznie, ale jednoznacznie opowiedział się po stronie walecznego księdza. Wspierać zaczęli go także ludzie świeccy, którzy nie tylko skutecznie przeprowadzili akcję zablokowania ratyfikacji konwencji stambulskiej, lecz także doprowadzili do podpisania wspólnej, ekumenicznej deklaracji przeciwko gender. A wszystko to w zasadzie bez mediów, bez możliwości korzystania z nich, przy ich wrogości albo obojętności. – Mieliśmy świadomość, że musimy to robić wbrew mediom, więc oparliśmy się na prostej metodzie od drzwi do drzwi, rozdawaniu ulotek, robieniu niewielkich, a z czasem coraz większych manifestacji, kazaniach proboszczów – opowiadał mi Anton Chomik, jeden z liderów słowackiego ruchu antygenderowego i prorodzinnego. I to się udało.

Słowaccy rebelianci mają jednak świadomość, że jeśli do ich akcji nie przyłączą się większe państwa regionu, jeśli Polska, Węgry, Chorwacja czy Litwa nie zaczną wspólnie bronić rodziny, to ich sprzeciw na niewiele się zda. Dlatego zaprosili polityków, liderów opinii czy specjalistów do Żakowców na niesamowite spotkanie. Jego gospodarzem był wspomniany już ks. Kuffa, a dzięki niemu udało się nie tylko doświadczyć konserwatywnego sukcesu (to ważne w świecie, gdzie nawet podające się za prawicowe partie nie chcą realizować prawicowego programu), lecz także dowiedzieć się o rzeczach, o których media nie informują, bo same o nich nie wiedzą. Daje także nadzieję to, że wciąż są księża, którzy nie ulegają presji politycznej poprawności, i że są to tacy właśnie – jak ks. Kuffa – kapłani. Dynamiczni, wierzący, zaangażowani.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. ERWIN WODICKA/FOTOLIA

SPRZĘŻENIE ZWROTNE AKCJI #METOO

Studentka z USA pozwała Uniwersytet Cincinnati. Ponieważ uczelnia zawiesiła ją bez możliwości odwołania za niewłaściwe zachowanie seksualne. A poszło o spotkanie ze studentem, który był pod wpływem alkoholu i oskarżył koleżankę o molestowanie. Całowała go i dotykała, choć on stanowczo mówił „nie". Uczelnia wymierzyła więc kobiecie karę. Nie wiadomo, czy władze uczelni bardziej obawiały się pozostawienia tej sytuacji bez reakcji (po akcjach #MeToo presja na reagowanie jest ogromna), czy oskarżeń o dyskryminację ze względu na płeć – i pozostawienia bez echa sprawy, w której poszkodowany jest mężczyzna.

WŚCIEKLI WEGANIE

Weganie, czyli ci, którzy tak miłują zwierzęta, że nie jedzą nie tylko mięsa, lecz także nawet produktów pochodzących od zwierząt, takich jak jaja czy miód, oraz nie ubierają się w rzeczy z wełny, nie mają za to za dużo serca dla ludzi. We Francji zaatakowali i zniszczyli sklep mięsny. W sklepie rzeźniczym w Lille wybili witrynę, zniszczyli towar (posypany został szkłem) i wymalowali hasła sprayem. Właściciele sklepu przyznają, że przez ekstremistów obawiają się już przychodzić do pracy i stawać za ladą.

BYŁY KONSUL CHCE „WYZWOLENIA"

Niedawno odwołany ukraiński konsul w Hamburgu prezentuje w sieci społecznościowej mało dyplomatyczne poglądy. Wasyl Maruszczync udostępniał w sieci materiały negujące Holokaust, pisał, że to Żydzi w marcu 1934 r. wypowiedzieli wojnę Niemcom, a także – jak się teraz okazało dzięki ukraińskiemu dziennikarzowi – wzywał do odebrania Polsce ziem na wschodzie. „Tylko siłą możemy wyzwolić nasze ziemie" – napisał w sprawie dotyczącej okolic Przemyśla.

BO POCIĄG ODJECHAŁ ZA WCZEŚNIE

Japońska firma kolejowa West Japan Railway publicznie przeprosiła pasażerów za „niewybaczalny incydent. Pociąg odjechał z jednej stacji o 25 sekund za wcześnie i poskarżył się na to jeden z pasażerów. Japońscy maszyniści mają szczęście, że nie prowadzą maszyn po polskich torach – nie mieliby wyjścia i po każdej trasie, aby ratować honor, musieliby chyba popełniać publicznie seppuku.

GINEKOLOG KONTRA RAPER

Zakończyła się trzyletnia batalia prawna, w której ginekolog Draion M. Burch sygnujący swoją praktykę lekarską jako Dr Drai wygrał ze znanym raperem Dr Dre. Ciemnoskóry twórca gangsta rapu uznał, że lekarz chce korzystać z jego sławy. Dr Drai udowadniał przed sądem, że muzyk nie ma żadnych kompetencji medycznych, a jego reputacja jest koszmarna. Sąd uznał, że Dr Dre nie ma podstaw, by obawiać się, że konsumenci będą wprowadzani w błąd. ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Postępowy relatywizm

Ulicami Mediolanu przeszła demonstracja. Społeczność muzułmańska protestowała przeciw służbom socjalnym, które nie dość, że odbierają rodzinom islamskim zaniedbane i bite dzieci, to na dodatek oddają je do adopcji lub rodzinom zastępczym – chrześcijanom.

Demonstrantom towarzyszył kwiat mediolańskich wyznawców kultu imigranta. Postępowa włoska dama wywodziła przed kamerami, że to zbrodnia, bo nie wolno pozbawiać dzieci ich religijnych i kulturowych korzeni, tak ważnych w zachowaniu cennej, islamskiej tożsamości. Słowa niewiasty wywołały pewną konsternację, bo okazało się, że od lat walczy o usuwanie ze szkół i przestrzeni życia publicznego symboli chrześcijańskich. Jak więc widać, w imię postępu społecznego i integracji (?) imigrantów, można mieć w tej samej sprawie dwa zdania, zależnie od okoliczności. Mamy więc do czynienia z postępowym rozdwojeniem jaźni – osobowością wieloraką.

Do masowego wylewu symptomów choroby doszło w Italii za sprawą Silvio Berlusconiego. Jak wiecie, były premier został skazany za oszustwa podatkowe w 2013 r. Równocześnie na podstawie ustawy z 2012 r., ale za delikty z lat 2002–2003 (sic!), został wyrzucony z senatu. Sąd tłumaczył, że w tym przypadku prawo zadziałało wstecz, bo skutki przestępczych czynności Berlusconiego były nadal aktualne.

Teraz, gdy ten sam sąd przyspieszył o kilka miesięcy zatarcie kary (rutynowe działanie, gdy skazany sprawuje się bez zarzutu), ci sami ludzie drą szaty i mówią o trądzie w pałacu sprawiedliwości.

Strach pomyśleć, co będzie, jeśli Trybunał Sprawiedliwości w Strasburgu uzna, że Berlusconiego w ogóle skazano niesłusznie, a na to się zanosi. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl f1c0d8f093

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WYWIAD Z AMERYKAŃSKIM AGENTEM, KTÓRY DOPADŁ ESCOBARA

Maciej Rosalak – **Rubikon Piłsudskiego**
Spór o zamach majowy – **Moczulski kontra Giertych**
Tomasz Stańczyk – **Dwie żony Marszałka**
Sławomir Koper – **Tajemnica morderstwa Zauchy**
Piotr Zychowicz – **Amerykańska masakra w Dachau**
Daniel Brown – **Sadystka z Auschwitz**
Marcin Bartnicki – **Kto zabił Różę Luksemburg**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Francja „pomogła" Polsce**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl f1c0d8f093

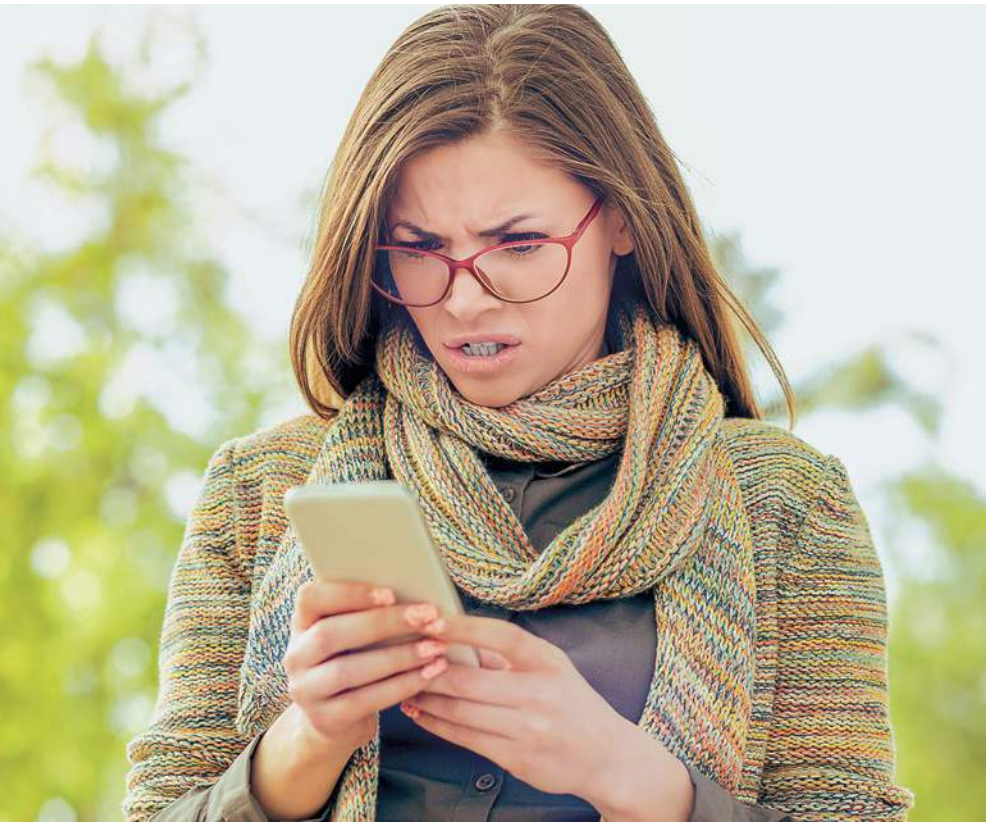

FOT. FOTOLIA

Numer z roamingiem

Łukasz Zboralski

Tylko jedne wakacje w Europie dla Polaków z telefonami w ręku były całkowicie beztroskie. Już wszyscy najwięksi operatorzy w kraju dostali zgody na naliczanie dopłat do roamingu

Regulacje przyjmowane przez europosłów zwykle kojarzą nam się z czymś kuriozalnym, takim jak definiowanie banana i wyznaczanie właściwej jego krzywizny. A przed urlopami wspólna Europa kojarzy nam się nieodmiennie z corocznym staraniem się o kawałek plastiku z napisem EKUZ – bo choć prawie w każdym kraju jest system, w którym można sprawdzić, czy ktoś ma ubezpieczenie zdrowotne, to nijak to nie może zadziałać.

Dlatego ubiegłoroczne wakacje były miłym zaskoczeniem. Po raz pierwszy wszyscy mogli na własnej skórze odczuć, że Parlament Europejski może jednak zrobić dla ludzi coś wymiernego i im bliskiego. Oto od 15 czerwca 2017 r. w całej UE można było telefonować przez sieć komórkową, wysyłać esemesy i korzystać z internetu mobilnego tak, jakby było się wciąż we własnym kraju. „Zlikwidowanie opłat roamingowych to jedno z największych i najbardziej wymiernych osiągnięć, jakimi może się poszczycić UE" – napisali wówczas w oświadczeniu szef PE Antonio Tajani, przewodniczący Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker oraz premier Malty Joseph Muscat (ten kraj sprawował prezydencję w Radzie Unii Europejskiej).

To było zwieńczenie trwającego od dekady kursu UE w tej sprawie. Do tej pory zmniejszała co roku opłaty roamingowe. Teraz, dzięki zasadzie Roam Like at Home, miało być już bez opłat. Jak się okazuje, radość nie trwała długo.

BUNT NA POLSKIM RYNKU

Przyznać trzeba, że europosłowie dali jednak ludziom dobro ograniczone, bo nie mogli się przełamać, żeby ktoś, kto wyprowadził się na dłużej za granicę – a przecież w dzisiejszych czasach ludzie pracują raz tu, raz tam, są mobilni – płacił tak za połączenia, jakby był wciąż w kraju. Czyli roaming przestał istnieć, ale jeśli przez cztery kolejne miesiące korzystało się z niego więcej niż z rozmów w kraju, to operatorzy mogli poprosić klienta o wyjaśnienie – a jeśli jego nie udzielił, mogli obciążać go dopłatami w maksymalnej wysokości: 1 eurocenta za esemesa, 3,2 eurocenta za minutę połączenia oraz 7,7 euro za 1 GB przesłanych danych.

Jak bardzo to ubodło operatorów telefonii komórkowej, było widać dość szybko. Działające w Polsce firmy najpierw ociągały się z wprowadzeniem zmian. Miesiącami operatorzy toczyli bój i przekonywali Urząd Komunikacji Elektronicznej i przedstawicieli Komisji Europejskiej, że w Polsce musi być inaczej – że ceny są średnio niższe niż w Unii, dlatego należy operatorów nad Wisłą potraktować inaczej. Chodziło o to, by nie wprowadzać zerowych stawek roamingu, tylko pozwolić im pobierać opłaty, choć mniejsze. Podobno szczęśliwy (dla operatorów) finał rozmów prowadzonych przy wykorzystaniu Polskiej Izby Informatyki i Telekomunikacji był blisko. I klientów ocaliło tylko to, że nagle wyłamał się Orange. Firma ogłosiła, że za roaming klienci zapłacą jak za połączenia w kraju. Reszta stanęła pod ścianą i choć za nic nie chciała wypuścić pieniędzy z rąk (a idzie o dziesiątki milionów złotych) i zostawić ich w portfelach Polaków, ostatecznie wszyscy zaoferowali to, o co w unijnej regulacji chodziło.

Nie była to jednak biała flaga. Jeszcze jesienią 2017 r. operatorzy w Polsce straszyli klientów publikacjami dotyczącymi rozliczania tych, którzy „łamią zasady Roam Like at Home".

Cztery miesiące po wprowadzeniu RLAH, czyli w październiku 2017 r., działający w Polsce Plus złożył wniosek do Urzędu Komunikacji Elektronicznej

eprasa.pl f1c0d8f093

w sprawie umożliwienia nakładania dodatkowych opłat za korzystanie podczas przebywania na terenie Unii z kart SIM wydanych w Polsce. I taką zgodę dostał jeszcze przed końcem ubiegłego roku. A w sumie wnioski w tej sprawie wysłało aż 11 operatorów, w tym wszyscy najwięksi gracze w Polsce, czyli oprócz Plusa także T-Mobile, Orange i Play.

Telekomy w pismach do UKE twierdzą, iż straciły wpływy i że nie są w stanie sobie tego zrekompensować (poprosiliśmy UKE o przesłanie wniosków operatorów, ale do momentu zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" ich nie otrzymaliśmy). Oficjalnie tłumaczą, że nie chcą podwyższać cen wszystkim klientom w kraju przez tych, którzy będą nadużywać roamingu w UE. A urząd przyznaje każdemu operatorowi inne stawki dopłat, które może pobierać za roaming.

OD TERAZ PO NOWEMU

Miało być więc unijnie – lepiej dla ludzi, jasno i prosto. Jednak jak wszędzie tam, gdzie tworzy się prawo i działają biznesowi lobbyści, ostatecznie dostaliśmy regulację, od której są wyjątki, i już tylko sam klient może badać, co, gdzie i jak.

Bo niby chodziło tylko o ukrócenie nadmiernego korzystania przez Polaków z zasady RLAH, ale zmienia się czasami trochę więcej. Przykład? Play, który na dodatkowe opłaty dostał zgodę w styczniu tego roku, zastosował nowe reguły dla nowych klientów abonamentowych oraz dla wszystkich klientów korzystających z telefonów na kartę. I gdy w styczniu – po obniżeniu hurtowych stawek za transmisję danych na terenie UE – sieć zastosowała skomplikowany przelicznik limitu uzależniony od wysokości opłat wnoszonych przez klienta – a w związku z tym niektórym zwiększyły się paczki danych do wykorzystania w roamingu – to już po zgodzie UKE wszyscy klienci będą mogli bezpłatnie na terenie Unii wykorzystać tylko 1 GB danych. A to nie wszystko.

Chociaż od początku europarlamentarzyści zaplanowali pewną blokadę dla nadużyć (czyli regułę dotyczącą czterech miesięcy, podczas których ponad 50 proc. połączeń powinny stanowić połączenia krajowe), Play wprowadził ostrzejszą regulację. Jak wynikało z komunikatu prasowego sieci w tej sprawie, dopłaty do roamingu będą w niej stosowane, gdy wykorzystanie roamingu będzie większe niż połączeń krajowych po przekroczeniu 30 dni. Zatem zerowe stawki tylko dla tych, którzy po miesiącu wracają do kraju.

Po Plusie i Playu na początku maja zielone światło od UKE dostał także Orange – bo choć w zasadzie wymusił dobrą zmianę dla Polaków rok temu, to od razu złożył też wniosek o umożliwienie pobierania dopłat. Rzecznik firmy, dopytywany przez media, nie chciał zdradzić planów koncernu dotyczących tego, jak postąpi z dopłatami roamingowymi i czy w ogóle coś się zmieni.

Wiele pozwoleń UKE wydał też operatorom wirtualnym (m.in. Virgin Mobile'owi, Internetii, Netii).

W ubiegłym tygodniu urząd wydał decyzję w sprawie ostatniego z wielkiej czwórki – T-Mobile.

Prawdziwy test tego, co zrobią operatorzy, będzie latem. Zobaczymy, czy zmienią cenniki i regulacje dla klientów, bo zrobić to mogą. Czy zachowają się z umiarem, czy postąpią tak jak do tej pory, oferując np. internet „bez limitu", który tak naprawdę oznacza znaczne spowolnienie pobierania danych po wyczerpaniu pewnego limitu zapisanego w regulaminach. Czy chciwość będzie górą?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl f1c0d8f093

Krótsza praca popłaca?

Stefan Sękowski

Zamiast wprowadzać rozwiązania, które nie sprawdzają się nawet w państwach bogatszych, lepiej egzekwować obowiązujące prawo i dostosowywać czas pracy do indywidualnych potrzeb

Partia Razem zbiera podpisy pod obywatelskim projektem ustawy o ustanowieniu 35-godzinnego tygodnia pracy. Docelowo mielibyśmy pracować siedem godzin dziennie. Ten pomysł może spotkać się z entuzjastycznym przyjęciem wielu Polaków i na pewno wpłynie na rozpoznawalność lewicowego ugrupowania. Kto bowiem nie chciałby pracować krócej?

EKSPERYMENT FRANCUZÓW

Na pierwszy rzut oka ma to sens. Możemy intensywnie pracować, ale do pewnego momentu. Później (według różnych badań po trzech–czterech godzinach, a nawet po godzinie, w zależności od rodzaju zajęcia) zaczynamy być zmęczeni i coraz mniej wydajni. Jak pisała dr Dorota Żołnierczyk-Zreda w artykule „Długi czas pracy a zdrowie psychiczne i jakość życia – przegląd badań" („Bezpieczeństwo Pracy" 2009, nr 7–8), „osoby pracujące więcej niż osiem godzin dziennie w dłuższym okresie skarżą się na stres, depresję i lęk. Mają ponadto trudności w pogodzeniu obowiązków zawodowych z rodzinnymi, z zachowaniem dobrych relacji społecznych, często nadużywają alkoholu, substancji pobudzających, mają skłonności do przybierania na wadze, unikają aktywności fizycznej".

Co więcej, osoby, które pracują krócej niż osiem godzin dziennie, są zdrowsze niż te, które poddane są reżimowi obowiązującego czasu pracy. Nie jest on żadnym aksjomatem i właściwie stanowi wynik… sloganu propagandowego ukutego przez utopijnego socjalistę Roberta Owena, który żądał „ośmiu godzin pracy, ośmiu godzin odpoczynku i ośmiu godzin snu". Było to w czasach rewolucji przemysłowej, kiedy ludzie pracowali w fabrykach nierzadko po kilkanaście godzin dziennie. Faktycznie ośmiogodzinny dzień pracy pojawił się dopiero sto lat później, a w Polsce 40-godzinny tydzień pracy mamy na stałe dopiero od 2003 r.

Partia Razem chce iść dalej – w ślady Francuzów, którzy pracują 35 godzin tygodniowo. Celem rozwiązania wprowadzonego między 2000 a 2002 r. przez ówczesny rząd socjalistyczny miała być walka z bezrobociem – pracownicy mieli „podzielić się pracą" z bezrobotnymi, i to przy braku obniżki pensji, do czego dopłacać miało częściowo państwo. W latach 1997–2002 powstało we Francji 2 mln nowych miejsc pracy.

Jednak wcale nie jest pewne, że te efekty zostały osiągnięte dzięki skróceniu czasu pracy. Najbardziej optymistyczne szacunki wskazują na to, że dzięki skróceniu czasu pracy mogło powstać w tym czasie 350 tys. nowych miejsc pracy. To dużo, ale i tak to zaledwie kilkanaście procent wszystkich – i nie wiadomo, czy część z nich i tak by nie powstała, gdyby nie zmiana prawa. Ta ustawa zbiegła się bowiem z okresem prosperity – gdy nastąpił kryzys, bezrobocie wzrosło. 35-godzinny tydzień pracy utrudniał przedsiębiorcom elastyczne dostosowanie się do sytuacji rynkowej, a także obarczył ich dodatkowymi kosztami pracy, negatywnie wpływając na ich konkurencyjność. W efekcie Francuzi po latach musieli zreformować swój system, ograniczając dodatkowe płatności za nadgodziny – a tych mają według Eurostatu średnio cztery tygodniowo.

W Polskich warunkach za brakujące godziny w tygodniu przedsiębiorca musiałby zapłacić (kupując pracę innych lub płacąc nadgodziny) albo trzeba by obniżyć pensje. I nie zmieni tego wiara Partii Razem w magiczną moc ustawy, która – gdyby została uchwalona – zakładałaby brak obniżek.

eprasa.pl f1c0d8f093

Może jednak dzięki większej wydajności pracownicy sami „wypracują" brakujące pieniądze? Raczej nie. Dane OECD czy Eurostatu nie wskazują na to, by we Francji czy w Polsce po skróceniu czasu pracy na początku lat dwutysięcznych skokowo wzrosła produktywność. Z drugiej strony – Amerykanie pracujący dłużej od Francuzów wedle różnych kategorii i tak mają większą od nich produktywność. Jednocześnie dane historyczne wskazują, że to „wydajność macha godzinami pracy". Po latach rozwoju kapitalizmu w państwach uprzemysłowionych czas pracy zaczął sukcesywnie spadać od połowy XIX w. – i nie było to zawsze związane z prawnym ograniczaniem tegoż. Z amerykańskich danych rządowych wynika np., że w okolicy 1830 r. robotnicy w fabrykach pracowali ok. 70 godzin tygodniowo. Liczba ta spadała do ok. 60 godzin do 1890 r. i osiągnęła poziom 50 godzin ok. 1920 r. Jako że pracowano wówczas sześć godzin dziennie, można powiedzieć, że już wtedy osiągnięto poziom ośmiogodzinnego dnia pracy. Gdy w 1938 r. wprowadzono 44-godzinny tydzień pracy dla wszystkich, w praktyce przedsiębiorstw był on już standardem.

Z tych i innych powodów nie wygląda na to, by pomysł Partii Razem został zrealizowany. – Nie chcę mówić, czy PiS poparłby ten projekt, gdyby wpłynął on do Sejmu, o tym zdecyduje klub, mogę mówić we własnym imieniu. Ten pomysł oceniam źle. Owszem, jesteśmy jednym z najdłużej pracujących w Europie narodów, ale jednocześnie zwiększa się nasz PKB i doganiamy bogatsze kraje. Jeśli teraz wprowadzimy przeszkody w postaci skróconego czasu pracy, to będziemy doganiali je wolniej – mówi „Do Rzeczy" poseł PiS Adam Abramowicz. – Obecnie największym problemem pracowników są niskie wynagrodzenia. A ich wzrost nie weźmie się sam z siebie, bo dobrobyt bierze się z pracy – dodaje. Związkowcy są w tej sprawie podzieleni. – Życzliwie przyglądamy się pomysłowi Partii Razem, sami proponujemy wydłużenie urlopów do 32 dni. Ze względów pragmatycznych taka zmiana daje ten sam efekt, ale jest łatwiejsza do przeprowadzenia – mówi „Do Rzeczy" sekretarz prasowy Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych Ryszard Grąbkowski.

Bardziej krytycznie do projektu podchodzi Solidarność. – To nie politycy powinni ustalać, jaki jest czas pracy, ale przedstawiciele pracowników w uzgodnieniu z pracodawcami. Układy zbiorowe w pracy o wiele lepiej odpowiadają rzeczywistym potrzebom. Politycy powinni stać na straży takich porozumień – mówi rzecznik prasowy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność" Marek Lewandowski. I dodaje, że obecnie problemem nie jest zbyt długi ustawowy czas pracy, ale to, że nie przestrzega się obowiązujących regulacji. – Drogą do skrócenia czasu pracy jest bardziej rygorystyczne przestrzeganie obowiązującego prawa, które jest łamane, ograniczanie czasu pracy w niedzielę czy zmiany dotyczące np. doby pracowniczej – dodaje.

CZAS TO NIE WSZYSTKO

Także prof. Jacek Męcina z Uniwersytetu Warszawskiego jest sceptyczny wobec projektu Partii Razem. – Uważam, że mimo iż Polacy bardzo dużo pracują, nie stać nas na skracanie czasu pracy, bo wciąż gonimy Europę. Mamy nadal niższe od średniej wskaźniki zatrudnienia, niższą wydajność, a ostatnio jako kraj obniżyliśmy wiek emerytalny, czyli pogorszyliśmy wskaźniki zatrudnienia osób powyżej 60. roku życia – mówi „Do Rzeczy" doradca Konfederacji Lewiatan. Dodaje, że są firmy, które mogą sobie na to pozwolić, ale decyzja nie może być odgórnie narzucona. – Można sobie nawet wyobrazić, że obowiązujący czas pracy w roku (czy to będzie 40, czy 36 godzin) uzależniony będzie od wskaźnika wydajności w poprzednim roku. Taki mechanizm zachęcałby do wzrostu wydajności, a skrócony czas pracy byłby dodatkowym motywatorem dla pracowników. W praktyce są przypadki skracania czasu pracy np. wtedy, gdy pracodawca funduje nam wliczaną do czasu pracy przerwę na lunch lub gdy skraca o dwie godziny dzień pracy w piątki. Takie praktyki już możemy zaobserwować, a z czasem mogą się okazać powszechną praktyką – wskazuje.

Długość czasu pracy to jednak nie wszystko. Znaczenie ma także to, czy warunki pracy są dostosowane do potrzeb i możliwości konkretnego pracownika. Kto powiedział, że każdy pracownik ma działać osiem godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu, jeśli np. jego stylowi życia i rodzinnym potrzebom odpowiada np. intensywna trzydniowa harówka? To sytuacje ekstremalne i rzadko spotykane, ale jeśli zatrudniony może podejść do czasu pracy elastycznie lub pracować zdalnie (i idą za tym wyniki), to może to być z korzyścią dla niego i pracodawcy. Z kolei Tony Schwartz w swojej książce „The Way We're Working Isn't Working" („Sposób, w jaki pracujemy, nie działa") przekonuje, że duże znaczenie ma nie tyle długość czasu pracy, ile zachowanie odpowiedniego rytmu pracy umysłowej – po 90–120 minutach zajęcia niemal zupełnie się dekoncentrujemy, w związku z czym powinniśmy zrobić półgodzinną przerwę. W każdym zawodzie mogą to być inne proporcje.

Niektóre z takich udogodnień wymagają zmiany w Kodeksie pracy i oczywiście nie wszędzie jest to możliwe, niemniej nie trzeba walić prawem jak toporem; często wystarczy miękkie oddziaływanie na kulturę zarządzania w firmie. To lepsze rozwiązanie niż sztywne skracanie czasu pracy, do którego często trudno się dostosować.

FOT. FOTOLIA

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora think zine'u „Nowa Konfederacja".

eprasa.pl f1c0d8f093

Panie minister Teresa Czerwińska (z lewej) i Elżbieta Rafalska prezentują założenia daniny solidarnościowej

FOT. ROBERT OSTROWSKI/EAST NEWS

Solidarność wymuszana

Łukasz Warzecha

Nowy podatek solidarnościowy ma stworzyć populistyczne wrażenie uderzenia w mitycznych krezusów. Większość tych, którzy mają zostać nim objęci, i tak uniknie jego płacenia

Oto trzy cytaty.

Cytat pierwszy: ***Myślę, że będę miał dobrą wiadomość, że my zasadniczo nie patrzymy na podnoszenie podatków jako to źródło, gdzie ma się znaleźć 40 czy 50 mld zł.***

Cytat drugi: ***Naczelną zasadą polityki finansowej mojego rządu będzie też stopniowe obniżanie podatków i innych danin publicznych. Dotyczy to wszystkich obywateli – i tych biedniejszych, i tych bogatszych. Będzie to marsz rozważny, ale zawsze tylko w jednym kierunku – niższych podatków i likwidacji danin.***

Cytat trzeci: ***Nie planuję żadnych nowych podatków. My podatki obniżamy.***

Wiedzą państwo, kto to powiedział? Cytat pierwszy to wypowiedź ówczesnego wicepremiera Mateusza Morawieckiego ze stycznia 2017 r., wygłoszona na konferencji „Ryzyka i trendy", zorganizowanej przez Polityka Insight. Cytat trzeci to również Mateusz Morawiecki, tym razem w listopadzie 2017 r. w rozmowie z dziennikarzami „Dziennika Gazety Prawnej".

Niepasującym elementem mógłby być cytat drugi, bo to słowa aż sprzed 11 lat, pochodzące z rekordowo długiego pierwszego exposé Donalda Tuska jako premiera. Wbrew pozorom jest to jednak cytat jak najbardziej pasujący, bo obaj przywoływani politycy postąpili dokładnie tak samo: oszukali obywateli, obiecując im niepodwyższanie podatków. Tusk, który zapowiadał swego czasu, że wyrzuci z rządu każdego, kto wspomni o podnoszeniu danin, musiałby w końcu wyrzucić sam siebie, bo za Platformy daniny podwyższono potężnie, odbierając liczne ulgi, możliwość odliczeń, podnosząc VAT, zamrażając progi podatkowe.

BEZ ZMIAN, CZYLI W GÓRĘ

Morawiecki zaprzecza swoim wypowiedziom właśnie teraz w najbardziej jaskrawy sposób, bo ministrowie jego rządu ogłosili w ubiegłym tygodniu wprowadzenie daniny solidarnościowej, będącej niczym więcej jak trzecim progiem podatkowym. Rząd zapowiada też obciążenie cen benzyny dodatkowymi 10 groszami od litra opłaty emisyjnej. Obietnice dotyczące podatków już dawno temu złamała Beata Szydło, która w swoim exposé całkiem wprost zapowiedziała podwyższenie wszystkim podatnikom kwoty wolnej do 8 tys. zł w ciągu pierwszych stu dni. Tymczasem nie tylko kwoty wolnej nie podwyższono, lecz także części podatników ją obniżono bądź całkowicie zabrano. Wciąż w grze jest zniesienie limitu 30-krotności składek na ZUS, a minister przedsiębiorczości Jadwiga Emilewicz zaczęła mówić o tym, że trzeba skończyć z ryczałtowymi składkami ZUS-owskimi od mikroprzedsiębiorców i pora wprowadzić zasadę składek proporcjonalnych. Wszystko to sprowadza się do jednego: już zrealizowanych, rychłych lub przynajmniej planowanych drastycznych wzrostów obciążeń podatkowych różnych grup obywateli. Wyłączona jest z nich tylko jedna grupa, stanowiąca rdzeń elektoratu partii rządzącej: ci, którzy mają najmniej. Jednak i oni zapłacą, nawet jeśli nie bezpośrednio, za nowy podatek od paliw.

Jak podnieść podatki, mogąc zarazem obłudnie twierdzić, że się ich nie podnosi? Tutaj znów w sukurs przychodzi Donald Tusk. Wszak były premier formalnie podatków nie podniósł, może poza „tymczasowo" podwyższonym podatkiem VAT. To „tymczasowe" podwyższenie zresztą PiS skwapliwie przedłużył, mimo że na wspomnianej już konferencji w styczniu 2017 r. ówczesna premier Beata Szydło zapowiadała, że w 2018 r. prawdopodobnie będzie to znów jedyne 22, a nie 23 proc.

Otóż Tusk podatków nie podniósł, bo przecież likwidacja ulg albo utrzymywa-

eprasa.pl f1c0d8f093

nie progów podatkowych od lat na tym samym, niskim poziomie formalnie nie jest podnoszeniem podatków czy nakładaniem nowych. I dokładnie tak samo działa rząd PiS. Nowy próg podatkowy dla niepoznaki nazywa się „daniną solidarnościową" i nie włącza się go w oficjalny reżim stawek podatkowych, a nowy podatek od paliw, który zapłacą wszyscy kierowcy, nazwano „opłatą emisyjną". Czy ktoś tu widzi słowo „podatek"? Otóż to.

DANINA SYMBOLICZNA

Danina solidarnościowa, wymyślona przez otoczenie premiera w drodze do protestujących w Sejmie opiekunów niepełnosprawnych, od początku wydawała się pomysłem nie tylko dziwacznym, lecz także wręcz wziętym wprost z asortymentu towarzysza Wiesława: trzeba zabrać bogaczom, żeby dać potrzebującym. I to mimo powtarzanej do znudzenia opowieści o wielkim sukcesie gospodarczym, pęczniejącym budżecie oraz ukróceniu przekrętów podatkowych. Dopóki nie było jasne, kogo nowy podatek ma dotyczyć, dopóty istniała obawa, że uderzy on w niemałą grupę względnie dobrze zarabiających, którzy inkasują miesięcznie 7–10 tys. zł. To zaś nieuchronnie wywołałoby napięcia i niechęć – ludzie zarabiający uczciwie pieniądze zaledwie przyzwoite uznaliby niechybnie, że rząd wsadza im bezczelnie rękę do kieszeni, żeby kupić sobie zakończenie sejmowego protestu.

Tymczasem sprawa rozwinęła się w inną stronę – czystej groteski. Stało się to jasne, gdy koncepcję pomocy niepełnosprawnym w miniony wtorek zaprezentowały panie minister Elżbieta Rafalska i Teresa Czerwińska. Okazało się, że danina solidarnościowa ma wynieść 4 proc. od przychodu powyżej miliona złotych rocznie, po odliczeniu kosztów i składek. Objąć ma również podatników rozliczających się według stawki liniowej, czyli prowadzących działalność gospodarczą. Jak poinformowały panie minister, nowym podatkiem będzie objętych – uwaga! – ok. 25 tys. osób, a ma on przynieść rocznie półtora miliarda złotych, co w skali budżetu jest sumą niemal symboliczną.

Swego rodzaju obłuda przejawia się nawet w nazwie nowego podatku. Nie tylko w pierwszym jej członie – „danina" zamiast po prostu „podatek" – lecz także w słowie „solidarnościowa". Solidarność to nie jest coś, co można na ludziach wymusić. Przymusem nigdy nie zbuduje się poczucia solidarności z inną, słabszą grupą. Przymusem można wywołać jedynie zawiść, złość, animozje. I tak niechybnie będzie również tym razem.

Na przykładzie daniny solidarnościowej najlepiej widać, w jakich kategoriach rozumują politycy oderwani od realnego życia, planujący politykę finansową i społeczną państwa na podstawie liczb wstawianych w arkusze kalkulacyjne. Można iść o zakład, że w pierwszym roku obowiązywania daniny zapłaci ją nie 25 tys., ale może zaledwie 5 tys. podatników, a w kolejnym – zostanie może 1 tys. największych frajerów i idealistów. Jeśli bowiem ktoś zarabia blisko 90 tys. zł miesięcznie lub więcej, to stać go nie tylko na wynajęcie dobrej kancelarii, wyspecjalizowanej w optymalizacji podatkowej, lecz także w wielu przypadkach na to, żeby urządzić sobie rezydenturę podatkową w innym kraju o niższych obciążeniach. A wtedy Polska nie tylko nie zobaczy ani grosza z daniny solidarnościowej, lecz także w ogóle z podatków takiej osoby. Nie jest to zresztą żadne odkrycie, ta zasada jest świetnie znana od lat: nakładanie podatków na prawdziwych bogaczy jest całkowicie bezcelowe – oni zawsze będą w stanie opłacić ludzi, którzy pozwolą im ich uniknąć.

Mateusz Morawiecki powinien uważnie wczytać się w historię podatkowych wyczynów Franklina Delano Roosevelta. W latach 30. miał on stwierdzić, że aby skutecznie walczyć z zagrażającymi Stanom Zjednoczonym ideologiami, takimi jak komunizm czy coughlinizm (lewicowe nauczanie bardzo popularnego w latach 30. katolickiego kaznodziei, o. Charlesa Coughlina), trzeba będzie być może „rzucić wilkom na pożarcie 46 ludzi, którzy zarabiają ponad milion dolarów rocznie. Trzeba będzie tego dokonać poprzez opodatkowanie".

W czerwcu 1935 r. Roosevelt zwrócił się w te słowa do członków amerykańskiego Kongresu:

Niepokoje społeczne oraz pogłębiające się poczucie niesprawiedliwości zagrażają naszemu narodowi, wobec czego musimy z tym zagrożeniem walczyć twardymi metodami. Ludzie wiedzą, że źródłem ogromnych dochodów nie są jedynie wysiłek, zdolności lub szczęście, lecz także sposobność do osiągania takich zarobków, do czego przyczynia się sam rząd. I dlatego to rząd ma obowiązek ukrócić dochody tego rzędu poprzez opodatkowanie.

Jak FDR powiedział, tak zrobił: w roku 1935 najwyższa stawka opodatkowania sięgnęła absurdalnych 79 proc. i objąć miała osoby zarabiające minimum 5 mln dol. rocznie (równowartość obecnych ok. 80 mln). Na nowy podatek załapał się jednak tylko jeden obywatel w całych Stanach Zjednoczonych – John D. Rockefeller – i płacił go przez kolejne trzy lata. Czy zagrywka Roosevelta miała jakikolwiek finansowy sens? Oczywiście, że nie – żadnego. Nie o to jednak chodziło. Amerykański prezydent miał przed sobą wybory, trwała recesja i trzeba było sięgnąć po najbardziej populistyczny instrument, co zresztą FDR w cytowanej wyżej wypowiedzi w istocie otwarcie przyznał: zabranie bogaczom miało służyć jedynie daniu satysfakcji biedniejszym, a nie uzyskaniu wymiernego efektu finansowego. Ostatecznie okazało się, że skończyło się na jednym bogaczu.

W ślady FDR poszedł rząd Morawieckiego. Być może panie minister pracy i finansów wierzą, że uda się nowym podatkiem objąć naprawdę 25 tys. osób. Trudno jednak sobie wyobrazić, żeby tę wiarę podzielał sam premier. Musiałby być skrajnie naiwny. Nie chodzi tu zatem o nic innego jak tylko o wywołanie wrażenia, że uderza się w jakichś mitycznych krezusów.

RÓWNANIE W DÓŁ

Dalej sytuacja może rozwinąć się na dwa sposoby. Po raz pierwszy danina solidarnościowa ma spłynąć do budżetu w kwietniu 2020 r. Z całą pewnością będzie to mniej niż zakładane 1,5 mld. Rząd – nie wiemy jaki, bo będzie to już po jesiennych wyborach 2019 r. – mógłby wówczas przyznać się do porażki, uznać, że pomysł nie był najmądrzejszy, i z podatku się wycofać. To jeden wariant rozwoju wypadków.

Jeśli jednak będzie to kolejny rząd PiS, nastawiony na socjalne rozdawnictwo i równanie obywateli w dół, to bardziej prawdopodobny jest wariant drugi. Przecież pieniądze skądś jednak trzeba będzie wziąć, żeby zasilać nowo powołany Solidarnościowy Fundusz Wsparcia Osób Niepełnosprawnych. Dlatego możliwe, że właśnie po wyborach, gdy będzie najlepszy czas na podejmowanie ryzykownych decyzji, próg nowego podatku zostanie obniżony i będą go mieli zapłacić już nie ci, którzy zarabiają rocznie przynajmniej milion, ale ci, którzy zarabiają pół miliona. A jeśli i ci zaczną przed podatkiem uciekać – a zaczną – jeszcze bardziej obniży się jego próg, aż w końcu dotknie on osób zaledwie względnie zamożnych, podczas gdy ludzie prawdziwie bogaci znajdą się poza jego zasięgiem. Czyli – jak zwykle. Janosikowanie władzy zawsze ostatecznie skrupia się na średniakach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

PROSTO ZYGZAKIEM

Zaskakujący efekt PiS

PIOTR GABRYEL

Polska w 2017 r. przyciągała inwestorów z zagranicy niczym magnes – aż nie chce się wierzyć, w jakim się to działo tempie.

Biznesmeni deklarowali chęć inwestowania u nas, jakby w ogóle nie obchodziło ich to, co się w Polsce dzieje. Jakby byli głusi na głos ulicy i zagranicy – na jęk polskiej i niepolskiej, wewnętrznej i zewnętrznej opozycji totalnej i nietotalnej. Jakby nie zważali na wszelkie, niezliczone przecież ostrzeżenia – o zamachu na Trybunał Konstytucyjny, niezawisłe sądownictwo, wolne media i opozycję – słane od wielu miesięcy przez Komisję Europejską oraz osobiście przez jej szefa Jeana-Claude'a Junckera i wiceszefa Fransa Timmermansa, przez Radę Europy, Komisję Wenecką, Parlament Europejski i jego agendy. I tak dalej, i tak dalej, bo organizacji, instytucji i państw odsądzających władze Polski i samą Polskę od czci i wiary, raz – zasłużenie, innym razem – niezasłużenie, przybywało przecież z każdym miesiącem – niemal tak szybko jak owych inwestorów, którzy za nic mając te wszystkie ostrzeżenia przed Polską, a więc zapewne także ich autorów, uparli się, żeby właśnie w 2017 r. przywieźć swe pieniądze właśnie nad Wisłę i właśnie tu je pomnażać.

Opublikowane niedawno liczby naprawdę robią wrażenie. Oto według raportu ośrodka analitycznego fDi Markets z grupy „Financial Timesa", bezpośrednie inwestycje zagraniczne w Polsce, których przeprowadzenie zadeklarowano w ubiegłym roku, wzrosły aż o – uwaga! – 49 proc., co dało nam czwarte miejsce w Europie – po Holandii (125 proc.), Hiszpanii (65 proc.) i Rumunii (50 proc.). Z przywołanego przez „Rzeczpospolitą" raportu wynika, że w 2017 r. mocno poszła w górę nie tylko wartość owych zadeklarowanych zagranicznych inwestycji w Polsce – do 14,8 mld dol. (w Niemczech – 13,7 mld dol., we Francji – 13,4 mld dol., w Hiszpanii – 13,9 mld dol.), lecz także liczba projektów, która wzrosła o jedną czwartą – do 338. Wynik osiągnięty przez Polskę w 2017 r. zaczyna budzić prawdziwy podziw, gdy dodać, że w tym samym czasie zadeklarowane zagraniczne inwestycje w całej Europie wzrosły średnio o 14 proc., a w skali świata – spadły średnio o 15,2 proc.

Wszelako wszystkie te informacje ani na jotę nie przybliżają nas do znalezienia odpowiedzi na kluczowe pytanie: Jak do tego wszystkiego mogło dojść? Jak inwestorzy w 2017 r. mogli aż tak gremialnie i tak mocno zbagatelizować płynące do nich ostrzeżenia od tak wielu tak poważnych organizacji, państw, instytucji i polityków? Czy ci wszyscy inwestorzy po prostu stracili rozum? Chyba że nie stracili rozumu. Jednak w takim razie jeśli nie oni stracili rozum, to kto go stracił?

A jeszcze ciekawsze jest to, jak w 2018 r. zareagują oni na kolejną porcję antypolskiego hejtu, którą PiS zafundował Polsce swą nieszczęsną nowelizacją ustawy o IPN. ©℗

RYBIM OKIEM

Jak się rodzą jednorożce

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

W języku finansów „unicorn", czyli jednorożec, oznacza młodą firmę, której wartość (kapitalizacja) na giełdzie przekroczyła 1 mld dol. Takie firmy pojawiają się, gdy wymyślą produkt lub usługę, która zaspokaja potrzeby lub rozwiązuje problemy milionów ludzi. Dzisiaj przedstawiam listę problemów czy raczej wyzwań. Firma, która sobie z nimi poradzi, z łatwością zostanie jednorożcem.

Opracowanie urządzenia, które po włączeniu blokuje komary, meszki i osy w promieniu np. 10 m. Miliardy ludzi są co roku kąsane przez komary, muszą wcierać hektolitry środków chemicznych, które i tak nie zawsze pomagają.

Taki czujnik pokazałby np., czy produkt sprzedawany jako ekologiczny naprawdę taki jest

Wyprodukowanie czujnika, który po zbliżeniu do produktu, np. pomidora czy bułki, pokazałby zawartość środków chemicznych i stopień organicznej czystości produktu. Taki czujnik np. pokazałby, czym różnią się pomidory za 3,99/kg i 20 zł/kg. Albo czy produkt sprzedawany jako ekologiczny naprawdę taki jest. Albo czy woda źródlana w butelce jest ze źródła, czy lepiej napić się w domu kranówki.

Hitem byłoby urządzenie, które łączy w sobie pralkę i prasowalnicę z dodatkiem sztucznej inteligencji. Z jednej strony wkładałoby się brudne ubrania, a z drugiej strony każdy domownik w swojej przegródce znajdowałby swoje uprane i uprasowane ubranie oraz skompletowane pary skarpetek. Alternatywnie zamiast wielu ubrań mogłaby być jedna masa z nanobotów lub odpowiedniego materiału, która przyjmuje taką postać, jaka nam akurat odpowiada. Rano dres do przebieżki, wieczorem smoking do opery.

O ile powyższe zagadnienia wydają się rozwiązywalne na przestrzeni najbliższych paru lat, o tyle następne wyzwanie może zająć nieco więcej czasu. Czy można zmienić transport w mieście tak, żeby w ogóle nie było korków? Przyszłością mogą być superszybkie samojezdne i współdzielone pojazdy, które mogą ograniczyć liczbę samochodów w mieście nawet o 90 proc., bo samochód jeździ 10 proc., a stoi 90 proc. czasu.

Albo mikrokamera w okularach, soczewkach lub kołnierzu, która na podstawie obrazu twarzy i sposobu poruszania się opracowuje profil behawioralny osoby, na którą patrzymy. Jaką mam szansę na podryw? Czy przekonam klienta do swojej oferty? Czy w autobusie jest kanar? Czy mąż/żona mnie kocha…

Do dzieła, młodzi przedsiębiorcy! ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w firmie Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl f1c0d8f093

Gala 5-lecia Telewizji Republika

5 czerwca 2018, godz. 19:00

Transmisja NA ŻYWO w Telewizji Republika

Podczas gali zostaną wręczone nagrody w sześciu kategoriach: POLITYKA, BIZNES, KULTURA, PRZYJACIEL POLSKI, nagroda specjalna widzów : OSOBOWOŚĆ ROKU oraz nagroda specjalna OSOBOWOŚĆ 5-LECIA TELEWIZJI REPUBLIKA

Wystąpią :
PIOTR BARON QUINTET oraz
Piotr Rodowicz i przyjaciele

REPUBLIKA

eprasa.pl/1c0d8093

KOMBAJN MULTIMEDIALNY PLATINET PMGQ10B

Bezprzewodowe ładowarki indukcyjne to niezbędny gadżet, który znacząco uławia życie właścicieli najnowszych smartfonów. Nie trzeba szukać kabla ani kontaktu. Wystarczy położyć telefon na płytce, a telefon automatycznie zaczyna się ładować. Najtańsze modele kosztują ok. 50 zł.

Firma Platinet postanowiła stworzyć gadżet, który będzie łączył w sobie funkcję ładowarki indukcyjnej w standardzie Qi, radiobudzika oraz bezprzewodowych głośników o łącznej mocy 10 W. Urządzenie jest też wyposażone w mikrofon, dzięki czemu w teorii może pełnić funkcję zestawu głośnomówiącego. Trzeba jednak pamiętać, że mikrofon nie jest zbyt czuły – aby rozmówca wyraźnie nas słyszał, trzeba więc stanąć blisko urządzenia.

Smartfona do tego niewielkiego multimedialnego kombajnu, który bardzo dobrze sprawdzi się w sypialni, można podłączyć bezprzewodowo za pomocą Bluetooth 3.0 (zasięg wynosi ok. 8 m) albo poprzez złącze AUX podpiąć do gadżetu odtwarzacz MP3. Dźwięk jest przyzwoitej jakości, choć miłośnicy głębokich basów będą nieco zawiedzeni. Maksymalna głośność jest za to wystarczająca, aby za pomocą tego urządzenia nie tylko rano się obudzić, lecz także nawet obsłużyć niewielką rodzinną imprezę.

Plusem testowanego urządzenia są też dwa wejścia USB, do których podłączyć można starsze modele telefonów, których nie można jeszcze ładować bezprzewodowo (w sumie jednocześnie można więc ładować trzy telefony). Niestety, nie da się do portów USB podłączyć pendrive'a z muzyką. Możemy za to słuchać radia FM (w pamięci urządzenia da się zapisać 29 stacji). Intuicyjny w obsłudze gadżet został też wyposażony w duży ekran LCD, na którym wyświetlają się godzina oraz temperatura powietrza w pomieszczeniu. Szkoda, że urządzenie nie ma wbudowanego akumulatora, co utrudnia wykorzystanie bezprzewodowych głośników podczas wiosennej imprezy na tarasie lub przy grillu na kwitnącej łące.

Cena: 259,90 zł.

Jacek Przybylski

OBCY ATAKUJĄ

312 lat temu z terenu Polski widać było całkowite zaćmienie Słońca, co oczywiście wywołało we wszystkich warstwach polskiego społeczeństwa masę przepowiedni o rychłych kataklizmach i końcu świata. Notabene ten koniec świata dla Rzeczypospolitej szlacheckiej nadszedł w 1772 r. w dużej mierze za sprawą kolaborantów na służbie obcych dworów. Dzisiaj, gdy spora część opozycji również chętnie biega z donosami w służbie innych państw, może też warto spojrzeć w niebo, szukając znaków? A można w domowego astronoma pobawić się, i to całkiem profesjonalnie, za sprawą Hiuni – czyli przenośnego teleskopu. Urządzenie jest bardzo proste w użyciu nawet dla kosmicznego dyletanta, wystarczy bowiem podłączyć je do aplikacji smartfonowej, wpisać odpowiednie parametry geograficzne i Hiuni automatycznie zostanie skalibrowane.

Nowicjuszom pomoże program edukacyjny teleskopu: to, co będą oglądać na niebie, zostanie także pokazane i opisane na ekranie smartfona, stracą więc szansę, by pomylić przelatującego boeinga ze statkiem UFO, a Wielką Niedźwiedzicę z Warkoczem Bereniki. Hiuni pozwala też na wybranie interesującego obiektu, który powinien być widoczny w danym położeniu geograficznym z interaktywnej mapy nieba, a następnie zlokalizowanie go i obejrzenie przez 6-calową tubę optyczną w znacznym zbliżeniu. Zamawiając teleskop na Kickstarterze, trzeba zapłacić ok. 2 tys. zł. Dostawa dopiero w czerwcu przyszłego roku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

POGRAĆ NA AUTOMATACH

To był szał lat 80. i pierwszej połowy lat 90. W wielu miastach w budach z automatami można było przez chwilę powalczyć z kosmicznymi najeźdźcami lub spróbować swoich sił w grach arkadowych. Teraz można te wspomnienia odświeżyć dzięki Coleco Evolved Mini Arcades, czyli miniaturowym symulatorom dawnych „automatów arkadowych". Producenci przygotowali kilka automatów z różnymi (do wyboru) grami, a urządzenie można zamówić na Kickstarterze w cenie ok. 200 zł za sztukę. To gadżet chyba tylko dla bardzo sentymentalnych jednostek, większość bowiem dawnych arkadowych gier jest już dostępna w odświeżonych smartfonowych wersjach.

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. FOTOLIA

Bezpiecznie na jednośladzie

Zdrowo, ekologicznie, tanio, a gdy pogoda dopisuje – bardzo przyjemnie. Rower to nie tylko sposób na relaks, lecz także doskonała kontrpropozycja dla samochodu czy komunikacji miejskiej. Musimy jednak pamiętać o bezpieczeństwie. Rowerzyści powodują więcej wypadków niż motocykliści

Ponoć jazdy na rowerze się nie zapomina. To jednak nie znaczy, że po zimowej przerwie wystarczy wyprowadzić jednoślad z piwnicy, garażu czy ściągnąć z balkonu, wsiąść i jechać. Niektórzy tak oczywiście robią, ale po kilkumiesięcznej przerwie, nawet jeśli nasz pojazd stał w ciepłym i suchym miejscu, wymaga nieco więcej uwagi niż jedynie napompowania kół. Zwłaszcza jeśli nie zadbaliśmy odpowiednio o sprzęt przed zimową przerwą. A i nad własnym ciałem oraz kondycją wypada nieco popracować, jeśli jesienią i zimą mocno ograniczyliśmy aktywność fizyczną.

Początek sezonu to dobry czas na uzupełnienie sprzętu, który może uprzyjemnić rowerowe wycieczki lub uczynić je bezpieczniejszymi. Co zrobić i o czym pamiętać, by sezon rowerowy przebiegł bez przykrych niespodzianek?

PRZYGOTUJ SPRZĘT

Lista rzeczy, które warto zrobić lub sprawdzić, nie jest krótka, ale wbrew pozorom nie są to trudne czynności. Jeśli nie czujemy się na siłach, zawsze można oddać rower w ręce fachowców. Podstawowa usługa przygotowania sprzętu do sezonu nie powinna być droga (cenę może podnieść konieczność wymiany pewnych elementów), ale można to zrobić niemal bezkosztowo własnymi siłami.

Zaczynamy oczywiście od ogólnego czyszczenia pojazdu. Rower myjemy ciepłą wodą z dodatkiem delikatnego płynu (możemy użyć odrobiny zwykłego płynu do mycia naczyń). Roweru nie należy myć wodą pod dużym ciśnieniem, ponieważ woda dostająca się wraz z brudem i piaskiem do niektórych elementów może je uszkodzić.

Osobnego czyszczenia wymagają łańcuch i zębatki. Aby zmyć z łańcucha brud i stary smar, najlepiej jest go wypiąć. Do tego będziemy jednak potrzebowali specjalnego urządzenia do rozpinania łańcuchów. Można sobie poradzić i bez tego, czyszcząc łańcuch np. starą szczoteczką do zębów maczaną w benzynie ekstrakcyjnej. Po dokładnym umyciu i osuszeniu łańcuch należy nasmarować. Należy do

eprasa.pl f1c0d8f093

tego użyć specjalnego smaru do łańcucha rowerowego. Niewielka buteleczka, która przy rekreacyjnym korzystaniu z roweru powinna wystarczyć nam do późnej jesieni, a może i na początek kolejnego sezonu, to wydatek rzędu kilkunastu złotych.

Do tego, że sprawne hamulce są niezwykle ważne, chyba nie trzeba nikogo przekonywać. Przed wyruszeniem w trasę koniecznie musimy je sprawdzić po zimie. Zwróćmy uwagę na stan zużycia klocków hamulcowych. To niezwykle istotne zarówno w przypadku tradycyjnych rowerowych hamulców z klockami zaciskającymi się na obręczach kół, jak i hamulców tarczowych. Sprawny układ hamulcowy wymaga również odpowiednio naciągniętych linek. Trzeba także zwrócić uwagę, czy linki nie są uszkodzone, czy pancerz ochronny jest w dobrym stanie (to samo tyczy się również linek służących do zmiany przełożenia). W wypadku hamulców zaciskających klocki na obręczach ważne jest także, aby szczęki zaciskały się na nich mocno, a po zwolnieniu odskakiwały bez oporów. Jeśli tak się nie dzieje, niezbędne może okazać się ich nasmarowanie.

Na skuteczne hamowanie wpływa również stan opon. W rowerze nie zużywają się równie szybko, co w samochodzie, ale warto zwrócić uwagę na ich stan. Łyse opony to nie tylko dłuższa droga hamowania, lecz także ryzyko poślizgu na liściach, trawie czy mokrej jezdni lub ścieżce rowerowej. Nie pompujmy kół na oko. Na każdej oponie powinna znajdować się informacja o odpowiednim ciśnieniu powietrza.

Niesłychanie ważny jest układ kierowniczy. Upewnijmy się, że nie ma luzów, a śruby regulujące wysokość kierownicy są mocno dokręcone. Zwróćmy uwagę na koła – czy nie „ósemkują" i czy toczą się bez oporów, oraz na stan szprych. Jeśli zauważymy, że koła mocno „ósemkują", prawdopodobnie będziemy musieli je wycentrować. Jest to zabieg polegający m.in. na sprawdzeniu i wyregulowaniu naciągu szprych. To zadanie, które wymaga wprawy (i sprzętu), dlatego najlepiej zlecić je profesjonalistom.

PRZYGOTUJ CIAŁO

Sprzęt to nie wszystko. Jeśli w zimie nie zadbaliśmy o swoją kondycję, warto trochę popracować nad sobą, by nie przypłacić pierwszych przejażdżek zmęczeniem, bólem mięśni czy kontuzjami. Jazda na rowerze sama w sobie jest dobrym ćwiczeniem kardio poprawiającym naszą formę, ale jeśli jest z nią naprawdę źle, warto zacząć nad nią pracować małymi krokami. Zacznijmy od spacerów, wracając z pracy czy jadąc do niej, wysiądźmy kilka przystanków wcześniej i pokonajmy ten dystans piechotą, zamiast windy wybierzmy schody. Doskonale sprawdzą się też marszobiegi, ćwiczenia ogólnorozwojowe i rozciągające, które przygotują nasze mięśnie, ścięgna i stawy do wysiłku.

Zanim wskoczymy na rower, warto pomyśleć choćby o najkrótszej rozgrzewce. Przyda się ona nie tylko tym, którzy zamierzają przejechać dziesiątki kilometrów. Rozgrzane mięśnie są mniej podatne na kontuzje. Nawet niefortunne zejście z roweru czy próba podparcia się na światłach może mieć nieprzyjemne skutki w przypadku nierozgrzanego organizmu.

Aby zmniejszyć ryzyko urazów, wystarczy prosty zestaw ćwiczeń. Możemy zacząć od krążenia biodrami, trzymając na nich dłonie. Potem przejdźmy do skłonów, a następnie skrętoskłonów. Ustawiamy stopy na wysokości barków i staramy się, nie uginając kolan, dotykać końcami palców do butów (prawą ręką do lewego buta, lewą do prawego). Przydatne będzie też krążenie kolanami. Lekko je ugnijmy, połóżmy na nich ręce i wykonajmy krążenie w lewo i w prawo, a następnie do wewnątrz i na zewnątrz. Podobne krążenia wykonajmy stopami. Jedną nogę wysuńmy do tyłu, opierając się palcami o podłoże i wykonujmy okrążenia w obie strony.

Aby rozgrzać mięśnie nóg, doskonale sprawdzą się np. przysiady, jednak warto oprócz rozgrzania pomyśleć o rozciągnięciu mięśni. Stając na jednej nodze, drugą uginamy w kolanie, złapmy za uniesioną stopę i starajmy się dociągnąć ją do pośladków. Wytrzymujemy w tej pozycji ok. 10 sekund i zmieniamy nogę. Brawo, rozciągnęliśmy mięśnie czterogłowe ud. Jeszcze tylko dwugłowe i łydki. Te pierwsze możemy rozciągać, siadając z wyciągniętymi nogami

FOT. FOTOLIA

1546

TYLE WYPADKÓW SPOWODOWALI W UBIEGŁYM ROKU W POLSCE ROWERZYŚCI

eprasa.pl f1c0d8f093

i próbując dotknąć dłońmi butów lub je złapać, również zastygamy w tej pozycji na jakiś czas. Łydki najwygodniej rozciągać przy ścianie, opierając o nią dłonie, wyciągając jedną nogę do tyłu i naciągając ten mięsień.

Kiedy już wsiądziemy na rower, zacznijmy od spokojnej jazdy, najlepiej na płaskiej powierzchni. Sama jazda na rowerze jest dobrą rozgrzewką przed... bardziej intensywną jazdą na rowerze, bo angażujemy do pracy wszystkie potrzebne do tej czynności mięśnie. Nie forsujmy się zbytnio i nie przesadzajmy z dystansem podczas pierwszych przejażdżek w sezonie. Jazda na rowerze to przyjemność, łatwo się zatracić, ale nieprzyjemne skutki, zakwasy czy ból spowodowany zbyt długim siedzeniem na siodełku mogą być odczuwalne dopiero na drugi dzień i zniechęcą do kolejnych przejażdżek. Aby zminimalizować ryzyko nieprzyjemnych zakwasów, wykonajmy po skończonej przejażdżce kilka ćwiczeń rozciągających zmęczone mięśnie (mogą być wśród nich te opisane przy rozgrzewce).

Wygodnej i bezkontuzyjnej jeździe sprzyja odpowiednia pozycja na rowerze. Jaka jest odpowiednia? Tu wiele zależy od typu roweru. Sposobów na dobranie odpowiedniej pozycji można znaleźć wiele. Najprostszą, niewymagającą użycia miarki i liczenia metodą na ustawianie wysokości siodełka jest ta mówiąca, iż powinniśmy mieć wyprostowaną nogę, gdy położymy piętę na opuszczonym w dół pedale. Wysokość kierownicy dobierzmy tak, by czuć się komfortowo i by nasze mięśnie nie były wykrzywione czy zbyt mocno napięte.

IDZIEMY NA ZAKUPY

Sprawny rower to nie wszystko, przyda nam się jeszcze kilka podstawowych akcesoriów. Zacznijmy od głowy. Chociaż dorośli nie mają obowiązku jazdy w kasku, to warto go mieć. Nie tylko zwiększymy swoje bezpieczeństwo, lecz także damy przykład dzieciom. Chyba każdemu zależy, by jego pociecha używała kasku.

Aby kask spełniał swoją funkcję, musi być dopasowany. Lepiej nie kupować go w sklepie wysyłkowym, ale przymierzyć kilka modeli i wybrać odpowiedni dla siebie. Nie może być zbyt ciasny, bo nie będzie nam w nim wygodnie, ale nie może być też za luźny, bo nie będzie spełniał swojego zadania. Warto zwrócić uwagę na otwory wentylacyjne. Im ich więcej, tym będzie nam przewiewniej i głowa mniej się będzie pocić.

Nie musimy od razu wydawać pieniędzy na specjalny strój na rower, choć warto to przemyśleć. Niektóre modele są wyposażone w ochraniacze. Ochraniacze można też kupić osobno. Ochrona kolan i łokci może się przydać zwłaszcza osobom jeżdżącym bardziej wyczynowo czy w trudnym terenie – na ścieżkach rowerowych zdarzają się przecież upadki. Jeśli nie wybieramy się na zakupy, a jedynie szukamy czegoś odpowiedniego w szafie, wybierzmy wygodny strój, pamiętając, by w przypadku długich spodni wybierać te z wąskimi nogawkami. „Dzwony" odpadają – nie chcemy przecież, by wkręciły się w łańcuch. Wybierajmy jasną, a nawet jaskrawą odzież – będziemy lepiej widoczni. Może warto pomyśleć o kosztującej kilka złotych kamizelce odblaskowej?

Koniecznie zadbajmy o zakup oświetlenia. Światła odblaskowe powinniśmy mieć zamontowane na stałe, urządzenia świecące własnym światłem mogą być używane przy złej pogodzie i gdy zapada zmrok. Obowiązkowy jest również dzwonek, który pomoże nam np. zasygnalizować na ścieżce rowerowej chęć wyprzedzania. Przydatne mogą być również lusterka, które nie są już tak wielkie jak w czasach, gdy składak był szczytem marzeń. Zwłaszcza jeśli przewozimy dzieci, np. w przypiętych do roweru wozidełkach. Przyda się również wygodny, lekki plecak, do którego wrzucimy np. butelkę wody. Nawodnienie organizmu podczas wysiłku to podstawa.

4020

TYLU ROWERZYSTÓW BYŁO W UBIEGŁYM ROKU OFIARAMI WYPADKÓW. 220 Z NICH ZGINĘŁO

Nie powinniśmy oszczędzać na odpowiednim zabezpieczeniu roweru, który – pozostawiony bez opieki, np. na chwilę przy budce z lodami – może paść łupem złodzieja. Modeli zabezpieczeń jest mnóstwo, wybierzmy pewne i „złodziejoodporne" rozwiązanie.

BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM

Żaden gadżet ani sprzęt nie zastąpi zdrowego rozsądku i znajomości przepisów. Chociaż do jazdy na rowerze osobie pełnoletniej żadne uprawnienia nie są potrzebne, to wypada poświęcić trochę czasu na odświeżenie znajomości znaków i przepisów. W zeszłym roku rowerzyści w Polsce byli sprawcami 1546 wypadków. To znacznie mniej niż kierowcy samochodów osobowych (21 733), ale dużo więcej niż motocykliści (738), motorowerzyści (603), a nawet kierowcy samochodów powyżej 3,5 t (962).

Tam, gdzie to tylko możliwe, korzystajmy ze ścieżek rowerowych. Stosujmy jednak zasadę ograniczonego zaufania, nawet jeśli mamy pierwszeństwo. Jeśli przejeżdżamy przez jezdnię, to nie wjeżdżajmy na nią z dużą prędkością. Pamiętajmy, że kierowcy nie zawsze nas widzą. Wiele ścieżek w Polsce poprowadzonych jest tak blisko skrzyżowań, że kierowca może nas nie zauważyć (zwłaszcza gdy skręca w prawo, a przez drogę, na którą wjeżdża, poprowadzona jest ścieżka dla rowerzystów). Ścieżki, choć najbezpieczniejsze, często są miejscem wypadków. W ubiegłym roku w obrębie ścieżek, przejazdów i śluz dla rowerów doszło do 803 wypadków.

Jeśli ścieżki nie ma, powinniśmy jechać jezdnią. W przypadku warunków zagrażających naszemu bezpieczeństwu (np. ulewny deszcz) możemy poruszać się rowerem po chodniku, pamiętając, że miejsce to przeznaczone jest dla pieszych i to oni mają na nim bezwzględne pierwszeństwo. Po chodniku można też jechać, jeśli nie ma ścieżki, dopuszczalna prędkość na jezdni jest wyższa niż 50 km/godz., a chodnik ma szerokość większą niż 2 m. Bez wyjątku w przypadku braku ścieżki po chodniku może jechać rowerzysta opiekujący się dzieckiem poniżej 10 lat, które jedzie na własnym rowerze.

POMYŚL O UBEZPIECZENIU

Osoby regularnie poruszające się na rowerze powinny pomyśleć o ubezpieczeniu. Taki pakiet oferuje na przykład PZU. Ubezpieczony rowerzysta (nie musi być właścicielem roweru) otrzyma odszkodowanie, jeśli ucierpi w wyniku wypadku, jeśli podczas jazdy zostanie mu ukradziony bagaż lub jeśli jakieś elementy stałe roweru zostaną przez kogoś zniszczone.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Robert Wojnarowicz

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. FOTOLIA

Rok debat

Katarzyna Pinkosz

W połowie czerwca ma się odbyć pierwsza z zapowiadanych przez ministra Szumowskiego ogólnopolskich debat o zdrowiu. Czy faktycznie będą podstawą do zmian w systemie ochrony zdrowia, czy okażą się klapą, tak jak poprzednie tego typu inicjatywy?

Doktora Janusza Medera, twórcę Polskiej Unii Onkologii, który wiele lat walczył o stworzenie Narodowego Programu Zwalczania Chorób Nowotworowych, cieszy to, że pierwszy raz usłyszał z ust premiera polskiego rządu, że zdrowie będzie priorytetem. Ma nadzieję, że nie skończy się na deklaracjach, gdyż inaczej nadal będziemy odstawać od innych krajów UE, jeśli chodzi o wyniki leczenia.

Na razie polski system ochrony zdrowia jest źle oceniany przez pacjentów i potrzebuje radykalnych zmian. Niedawno minister zdrowia Łukasz Szumowski zainicjował cykl ogólnopolskich debat, które mają odpowiedzieć na pytanie, jakiej ochrony zdrowia chcemy. – Dzięki ustawie o 6 proc. PKB na zdrowie w latach 2018–2024 do systemu ochrony zdrowia wpłynie ok. 830 mld zł, podczas gdy w latach 2011–2017 było to 460mld zł. Trzeba się zastanowić, jak te pieniądze wydać, żeby przyniosło to realną korzyść pacjentom. Można kupić nowy sprzęt, ale niekoniecznie przełoży się to na lepszą opiekę, gdyż często bardzo nowoczesny sprzęt nie jest należycie wykorzystywany – mówi minister Szumowski.

Pierwsza z debat odbędzie się w Warszawie już w czerwcu. – Ma określić, jaka jest rola państwa i każdego z nas, jeśli chodzi o zdrowie. Powinniśmy zastanowić się, czy zapisy, które mamy w konstytucji, właściwie ujmują zadania państwa i obywateli. Konstytucje innych krajów dostrzegają rolę obywatela w dbaniu

eprasa.pl f1c0d8f093

o swoje zdrowie – przekonuje dr Małgorzata Gałązka-Sobotka z Uczelni Łazarskiego, która weszła w skład prezydium rady programowej debat.

Problem jasno artykułuje prof. Paweł Górski (wieloletni rektor Uniwersytetu Medycznego w Łodzi), przewodniczący rady programowej debat, podkreślając, że stan naszego zdrowia tylko w 10–20 proc. zależy od poziomu medycyny, zaś w 80–90 proc. od naszego stylu życia. – Trzeba skończyć z niesprawiedliwością polegającą na tym, że osoba, która pali papierosy, źle się odżywia, a jej jedyną aktywnością jest posługiwanie się pilotem od telewizora, płaci taką samą składkę zdrowotną jak osoba, która dba o siebie – mówi prof. Górski, zaznaczając, że tego typu zmiana wymagałaby być może nawet odpowiednich zapisów w konstytucji. – Jeśli ktoś ma mentalność Ferdynanda Kiepskiego, to nie może oczekiwać, że dostanie wszystko za darmo. Podobnie jak osoba, która nie pracuje, nie może oczekiwać, że państwo kupi jej ferrari. To niesprawiedliwe, żeby ci, którzy inwestują w swoje zdrowie, płacili tyle samo i otrzymywali to samo co osoby, które o siebie nie dbają – dodaje prof. Górski. Tego typu rozwiązania już funkcjonują w niektórych krajach – przykładowo w Holandii chory na cukrzycę może płacić nawet 100 proc. za nowoczesne leki, jeśli pomimo ich przyjmowania przez rok nadal będzie tyć. Nowe leki mają udowodnione działanie powodujące utratę wagi, dlatego jeśli choremu nadal przybywa na wadze, to znaczy, że w żaden sposób nie stosuje się do zasad zdrowego stylu życia.

Debatom będą towarzyszyć przeprowadzane na dużą skalę badania społeczne, które mają pokazać, jakiego systemu ochrony zdrowia chcą Polacy. Czy np. zgodzą się z tym, że składka zdrowotna albo wysokość opłat za leki powinny być wyższe, jeśli nie dbamy o własne zdrowie.

Cykl debat ma się skończyć w czerwcu 2019 r. – Ich podsumowaniem ma być opracowanie strategii, którą będzie mógł realizować kolejny minister, niezależnie od tego, kto nim będzie – przekonuje minister Szumowski. On sam, pytany, jaką ma wizję, odpowiada, że chce realizować to, co zostanie wypracowane i czego chcieliby Polacy.

Czy w trakcie debat rzeczywiście uda się ustalić konkrety, które później zaczną być realizowane, czy będą to kolejne rozmowy, które niewiele wniosą? Cieszy fakt, że w radzie programowej debat znalazło się szerokie grono ekspertów (ponad 60 osób): lekarze, socjologowie, przedstawiciele pracodawców, samorządu zawodów medycznych, organizacji pacjenckich, dyrektorzy szpitali, niektórzy posłowie i byli ministrowie zdrowia (Marek Balicki, Konstanty Radziwiłł, Marian Zembala). – Szkoda tylko, że na razie nie znalazło się w niej zbyt wielu ekspertów związanych z opozycją, co mogłoby zagwarantować, że to, co zostanie wypracowane, będzie potem realizowane, niezależnie od opcji politycznej, która wygra wybory. Boję się, że wszystko jak zawsze skończy się na rozmowach – mówi jeden z członków rady, chcący zachować anonimowość.

KIEDY KRÓTSZE KOLEJKI

Jakie leczenie chcielibyśmy mieć za płaconą składkę zdrowotną? – to jedno z podstawowych pytań, na jakie mają odpowiedzieć debaty i badania opinii społecznej. – Z pewnością dla większości osób priorytetem numer jeden jest skrócenie czasu oczekiwania do lekarzy specjalistów, a także do lekarzy medycyny rodzinnej – zaznacza dr Waldemar Kraska, senator, który również jest w radzie społecznej debat.

Kolejki są, bo w ochronie zdrowia brakuje nie tylko pieniędzy, lecz także przede wszystkim kadr medycznych: lekarzy, pielęgniarek. – To szybko się nie zmieni, stajemy więc przed problemem, jak wykorzystać kadry, które mamy, by poprawić dostępność pacjentów do leczenia – dodaje senator Kraska. Ministerstwo Zdrowia chciałoby, żeby lekarzy odciążyły sekretarki medyczne, a pacjentów w zorganizowaniu leczenia wspomagali asystenci medyczni. Temu miałoby też służyć wprowadzenie tzw. opieki koordynowanej. Obecnie chorzy najczęściej muszą sami organizować sobie leczenie: znaleźć specjalistę, miejsce wykonania badań, szpital, czekać na wizytę po wyjściu ze szpitala. Chaos negatywnie wpływa na efekty leczenia. – W Instytucie Kardiologii wykonujemy wszystkie zabiegi i operacje, które przeprowadza się w najlepszych ośrodkach kardiologicznych na świecie. Nasze wyniki można śmiało z nimi porównywać. Mamy też najwyższej klasy sprzęt – mówi prof. Jerzy Hryniewiecki, dyrektor Instytutu Kardiologii w Aninie. Problem pojawia się, gdy pacjent wychodzi ze szpitala. Powinien od razu znaleźć się pod opieką w poradni specjalistycznej, gdyż w przeciwnym wypadku znakomite efekty leczenia często są po prostu marnowane. – Niestety, na opiekę w poradniach chorzy czekają wiele miesięcy. Trzeba to zmienić, pacjent po zawale powinien do końca życia być pod opieką specjalistyczną – dodaje prof. Hryniewiecki, który również znalazł się w radzie programowej debat.

NADCIĄGA TSUNAMI

Kilka dni przed ogłoszeniem przez ministra Szumowskiego cyklu debat o zdrowiu Fundacja Onkologiczna „Alivia" opublikowała raport pokazujący, jak długo ciągnie się w Polsce wprowadzanie zmian w organizacji leczenia onkologicznego. – Przykładowo sam proces wprowadzania ośrodków kompleksowego leczenia raka piersi (Breast Cancer Unit) trwa już ponad 600 dni, a końca nie widać. Chaos i przewlekłość wprowadzania zmian w onkologii kosztują pacjentów zdrowie i życie. Cieszymy się, że do debat zostali zaproszeni przedstawiciele niemal wszystkich środowisk. Mamy jednak nadzieję, że pan minister pokaże niebawem harmonogram zmian również na najbliższych kilkanaście miesięcy – mówi Wojciech Wiśniewski z Alivii.

Debaty dotyczą strategii, ale chorzy nie mogą czekać na jej wdrożenie kolejne lata, bo już dziś potrzebują krótszych kolejek i skutecznego leczenia. Eksperci obawiają się też, że 6 proc. PKB na zdrowie w 2024 r. to może być znacznie za mało ze względu na „tsunami", które nas czeka: społeczeństwo się starzeje, a jednocześnie coraz więcej chorób staje się przewlekłymi. Dlatego chorych będzie przybywać, a koszty leczenia będą rosły – zwłaszcza że nowe, celowane terapie są bardzo drogie. Dlatego mimo „dosypania" pieniędzy nadal nie będziemy w stanie dorównać opiece zdrowotnej w krajach zachodnich, z których większość przeznacza na to znacznie więcej niż 6 proc. (wyższego niż nasze) PKB. Jeśli będziemy chcieli być leczeni nowoczesnymi technologiami (a odpowiedź na to pytanie jest oczywista), to pojawi się problem, skąd wziąć na to pieniądze. Podnieść składkę zdrowotną, dorzucić kolejne pieniądze z budżetu czy wprowadzić dodatkowe ubezpieczenia zdrowotne? To jedne z najważniejszych pytań, na które od wielu lat nikt nie odważa się dać jasnej odpowiedzi. Powinny się pojawić w czasie debat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f1c0d8f093

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Pogromca łże-elity

Walerian Nekanda Trepka, przedstawiający się jako „Eques Polonus de Domo Magnorum Comitum a Sieciechow" lub po prostu Sieciechowski, pozostawił nam rzecz szczególną. Pierwszy polski traktat socjologiczny, a jednocześnie kronikę obyczajów XVII w., która do dziś wzbudza burzliwe odczucia. Chodzi oczywiście o „Liber Generationis Plebeanorum" zwaną również „Liber Chamorum" – księgę chamów, zawierającą kilka tysięcy nazwisk i opisów chłopów oraz mieszczan, którzy udawali szlachtę, zmieniając nazwiska, wcielając się w zmarłych panów albo ich fikcyjnych potomków.

Za komuny Trepkę przedstawiono jako szlacheckiego warchoła, a „Liber Chamorum" określano – np. w „Ilustrowanej Kronice Polaków" – jako antychłopski i antymieszczański pamflet, sfabrykowany przez fanatycznego Sarmatę, symbol wstecznictwa, zacofania i wszelakiego zła. To oczywiście bzdura, bo uważna lektura „Liber Chamorum" pokazuje, że ostrze pogardy i satyry autora wymierzone jest przede wszystkim w samozwańców „śrubujących się" na szlachectwo, a nie chłopów. Co więcej, Trepka kilkakrotnie wspomina, że informacji udzielali mu właśnie sami mieszkańcy wsi. Czy więc uczyniliby to wobec pana, który otwarcie nimi gardził? Pokazuje też karty bardzo ciekawe – otóż chłopi nienawidzili fałszywych szlachciców, a za dzierżawców i urzędników na folwarkach woleli mieć prawdziwą szlachtę. Jak powiedział cytowany przez Trepkę Węgier z Rusi: „Nie ma gorszego szlachcica, gdy z chłopa będzie pan, bo wtedy się nadyma, pyszni bestia […], bojąc się, by do takiej nędzy nie przyszedł, w jakiej się urodził". Przez pychę zginął więc niejaki Zagórowski: „Gdy jechał z Miechowa z targu, rzekł im: ustępujcie chłopi, a oni mu rzekli: i tyś sam chłop. Porwie się do korda, a chłopi kijmi go zabili". Niejakiego Juliusa, co się zwał Cezar, zabił chłop pod gruszą: „Bojąc się kaźniej, dał cesarzowi kijem, że zaraz na miejscu został, a zabiwszy, uciekł precz. Zła korona, gdzie chłopi cesarzy biją".

W III RP Trepka z roli warchoła awansował na XVII-wiecznego Antoniego Macierewicza, gdyż przeciwnicy ujawnienia agentów SB często podawali go jako przykład fanatycznego lustratora. Pisał tak o nim Janusz Tazbir, dorzucając, że

FOT. BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

był „zgorzkniałym zawistnikiem" i „plotkarzem". Podobnie Norman Davies kompletnie nierozumiejący unikalnej wartości „Liber Chamorum" określał go jako „ciemnego typa i najgorszego rodzaju dziwaka". Prawda jest zaś taka, że lektura „Liber Chamorum" niezmiernie boli współczesne fałszywe elity liberalne, uzurpujące sobie władzę i rząd dusz. Traktat Trepki jest bowiem dziełem wymierzonym przeciwko takiej właśnie łże-elicie, tyle że pochodzącej z XVII w., bezlitośnie obnaża jej wady, głupotę i przebiegłość w udawaniu szlachty.

„Liber Chamorum", chociaż bez wątpienia oparta na plotkach, bezlitośnie obala mity dotyczące XVII w. To niesamowita kronika obyczajowa pokazująca szlacheckie społeczeństwo. Trepka nie oszczędza niczego i nikogo. Dowiadujemy się o skandalach w magnackich rodach, ukrywanych bękartach, kochankach księży, o występnych chuciach niewiast uważanych za cnotliwe, rozbójnikach, patologicznych rodzinach. O pierwszych homoseksualistach, takich jak niejaki Mniński, który „służył pod Piotrkowem p. Krzysztoporskiemu za chłopca. Obcował z nim pan in posticum po turecku i nabawił go france". O Bobrownickim Matyjaszu, rymarzu z Kleparza, który gdy się upił, mawiał synom: „Szlachtaście wy i ja szlachcic, bo to przezwisko Bobrownicki szlacheckie słowo, zaczem i ja szlachcic jestem". „Dopieroż szlachty rymarskiej przybędzie" – komentował to Trepka. O pięciu bękartach Kosteckich, z których Benedykt mieszkał bez ślubu z chłopską dziewką, a Matyjasz „porwał Szczepanowską, dogonili go z nią jej bracia i rozstrzelali u Przezwód wsi". O pani Kosteckiej, którą pojął zwykły karczmarz ze wsi koło Wiśnicza, żona zaś przymusiła go, aby kupił jej kolasę i parę koni; jeździła nią do kościoła, a chłop „sromał się siadać z nią, ba i nie dała mu siadać! Piechotą szedł zawsze circa 1633".

„Liber Chamorum" odkrywa barwny, niesamowity świat, okraszony wisielczym humorem Trepki, ale i jeszcze jedną prawdę o dawnych Polakach: mieszczanach, chłopach, a nawet i pogardzanych przez autora łże-szlachcicach. Byli to niesamowicie twardzi i uparci ludzie, przyzwyczajeni do pracy, wytrwałości, sprytni. Dążyli do bogactwa i sławy, wykorzystując każdą okazję i spryt, by wśliznąć się w szeregi panów braci i senatorów, by stać się lepszymi, poważanymi. Nawet dziś można im pozazdrościć tej pracy i uporu. ©℗

eprasa.pl f1c0d8f093

MUNDIALOWE DANIE MICHAŁA POLA

Wiadomo, że kibic głodny to kibic zły, poirytowany, mniej wybaczający. Nic tak nie ukoi nerwów rozedrganego fana jak smakowity posiłek. Jako że zbliża się mundial w Rosji, oto przepis na danie do oglądania transmisji z meczów Polaków. Idealny meczowy posiłek to coś, co w każdej chwili można chwycić w palce, nie odrywając wzroku od telewizora, bo przecież tam właśnie Grosicki podaje do Lewandowskiego! Odpadają więc wszelkie potrawy, które trzeba jeść sztućcami i które z widelca zlecą nam w ferworze na kolana.

Rywali w grupie mamy egzotycznych, wykluczyłem jednak przepis na japońskie sushi jako zbyt oczywisty, a z Senegalu przywiozłem cudowne wspomnienia, ale akurat nie kulinarne. Postawiłem zatem na kolumbijską królową przekąsek – empanadas. To rodzaj pierożków z kruchego ciasta, nadziewanych mięsnym farszem, których w trakcie spotkania możemy pochłonąć dowolną liczbę.

Składniki:

- 1 puszka czerwonej fasoli
- 400 g mielonego mięsa wołowego
- 1 czerwona cebula
- 2 opakowania ciasta francuskiego
- 1 ostra papryczka chilli
- 1 łyżka koncentratu pomidorowego
- 60 g złotych owoców (miechunki peruwiańskiej)
- 1 łyżeczka kminu rzymskiego
- 1 jajko

Przygotowanie:

Cebulę kroimy w drobną kostkę i podsmażamy na patelni razem z mięsem mielonym. Dodajemy fasolę odcedzoną fasolę i podsmażamy wszystko jeszcze przez chwilę. Gotowe składniki przekładamy do naczynia. Na patelni podsmażamy koncentrat pomidorowy (z odrobiną wody lub bulionu), złote owoce oraz przyprawy. Gotujemy przez ok. 10 min, aż sos będzie odpowiednio gęsty. Sos dodajemy do farszu i wszystko dokładnie mieszamy. W cieście wycinamy kółka o średnicy ok. 8 cm. Następnie za pomocą łyżki nakładamy farsz, przykrywamy wszystko drugim krążkiem i dokładnie zlepiamy brzegi. Pierożki przed włożeniem do piekarnika smarujemy jajkiem. Pieczemy w 180 st. C przez ok. 30 min. Empanadas podaje się w Kolumbii z tradycyjnym sosem aji, przygotowanym na bazie pomidorów, cebuli, kolendry, awokado i ostrej papryczki, ale możemy użyć salsy.
Jeśli Polska wyjdzie z grupy, to na 1/8 finału trzeba będzie przygotować albo belgijskie czekoladki, albo angielskie fish & chips. ©℗

oprac. raw

Michał Pol jest dziennikarzem sportowym.

FOT. ARCHIWUM MICHAŁA POLA

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Królewskie warzywo

Cudowne to warzywo ciągle jest u nas niedocenione. Może dlatego, że sezon na nie trwa krótko. Może dlatego, że szparag ma wymagania. To nie kapusta czy marchew – on nie nadaje się do przechowywania, musi być bezwzględnie świeży. Żeby poczuć pełnię smaku, szparagi trzeba jeść w dniu, kiedy zostały zerwane. Konserwowe to już tylko nędzna podróbka oryginału.

Szparag spełnia wszystkie wymagania współczesnej kuchni. Dietetycy chwalą jego niską kaloryczność, wysoką zawartość witamin K i B1 oraz włókna (sprzątacz jelit), właściwości przeciwzapalne i antyoksydacyjne. Kucharki – łatwe i szybkie przygotowanie – zielonym wystarczy odłamać zdrewniały koniec, gotować pięć minut w lekko posolonej i ocukrzonej wodzie z cytryną. We Francji uważano go za królewskie warzywo, zresztą reputacja została mu do dziś – może już nie królewskie, ale wciąż jest jednym z najelegantszych warzyw. W sezonie szanująca się restauracja nie może nie mieć w menu szparagów. Uprawia się je na całym świecie – globalnie największym producentem są Chiny, w Europie – Niemcy i Hiszpania. Hiszpańskie szparagi z Huétor Tájar posiadają nawet znak IGP (francuski znak Indication Géographique Protégée).

FOT. FOTOLIA

Ja w poszukiwaniu najświeższych udałam się do źródła – gospodarstwa ogrodniczego Majlertów w Warszawie, które ze szparagów słynie. W tym roku ciepła i słoneczna pogoda sprzyja uprawie. W zeszłym sezonie było gorzej – pierwsze szparagi pojawiły się bardzo wcześnie, na początku kwietnia, ale zaraz przyszły przymrozki i ścięły dwa rzuty zbiorów.

Każdemu, kto mieszka w Warszawie, polecałabym wizytę w tym wspaniałym miejscu! To trzeba zobaczyć! Sklepik, który mieści się w dawnej stodole, zastawiony jest skrzynkami pełnymi warzyw i zieleniny. Czego tam nie ma! Szparagi białe, zielone i fioletowe, amarantus, botwinka, kalarepa, kolendra, kwiaty cukinii, musztardowiec, mięta, rukola, kapusta pak choi, sałaty batawska i rzymska... Wszystko zebrane z pola poprzedniego dnia lub tego samego przed świtem.

Sprzedaż na wagę, klienci pakują zieleninę do własnych toreb.

Miasto powinno otoczyć specjalną opieką to wspaniałe miejsce, bo nasze, zdrowe i pożyteczne. Poszła wieść, że gospodarstwo ma przeciąć Trasa Mostu Północnego. Miejmy nadzieję, że Majlertowie uratują się dla dobra i zdrowia całej stolicy. ©℗

21–27.9.2018 21/2018 eprasa.pl/0d8f093

NASZ TEST: VOLVO XC60 T8

To jeden z najlepiej sprzedających się i najbezpieczniejszych SUV-ów jeżdżących po europejskich drogach. Ma ładną sylwetkę, jest komfortowy i przyjemny w prowadzeniu, chociaż niektórzy konkurenci dają kierowcy więcej frajdy ze sportowej jazdy.

W KABINIE

Szefowie szwedzkiej marki skupiają się na komforcie podróżujących i mocno widać to po wnętrzu testowanego SUV-a. Wykończenie kabiny przywodzi na myśl wnętrza hoteli w Malmö lub Lund. Jest luksusowo, choć w nowoczesnym, skandynawskim stylu. Królują skóra, chrom i prawdziwe drewno. Wentylowane lub podgrzewane przednie fotele z funkcją masażu są niezwykle wygodne i świetnie podpierają ciało. Wygodnie jest również na tylnej kanapie – przestrzeni na kolana i nad głową jest wystarczająco.

Na pochwałę zasługuje także fantastyczny, dziewięciocalowy dotykowy wyświetlacz w centralnym punkcie deski rozdzielczej, za pomocą którego steruje się systemem multimedialnym, klimatyzacją i w zasadzie wszystkim, czym się tylko da.

Bagażnik ma 505 l pojemności.

JAZDA

Testowany egzemplarz to hybryda plug-in z dwoma silnikami pod maską: dwulitrowy benzynowy oraz elektryczny. Moc maksymalna wynosi 390 KM. Według marketingowców szwedzkiej marki hybrydowe XC60 tylko na prądzie potrafi bezgłośnie przemieszczać się na odległość do 45 km, ale w praktyce zasięg ten wynosi ok. 25–30 km, i to tylko w przypadku bardzo delikatnego traktowania pedału gazu.

Auto od 0 do pierwszej setki przyspiesza w 5,3 s, co jest niezłym wynikiem jak na ważącego ponad 2 t SUV-a. Zawieszenie jest miękko zestrojone i zapewnia duży komfort podróży.

Podczas pokonywania zakrętów auto wyraźnie przechyla się na boki, ale i tak cały czas kierowca ma poczucie, że wszystko jest pod kontrolą. Nawet górskie serpentyny można więc pokonywać ze stoickim spokojem.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP model XC60 zdobył nie tylko komplet pięciu gwiazdek, lecz także tytuł najbezpieczniejszego samochodu w testach w roku 2017. Inżynierowie Volvo zgarnęli aż 98 proc. pkt w kategorii ochrona dorosłego podróżnego, 87 proc. za ochronę podróżujących dzieci, 76 proc. w kategorii bezpieczeństwo pieszego oraz 95 proc. za systemy wspomagające kierowcę. Volvo oferuje m.in. układ wspomagania hamowania w mieście, działającego również w ciemności asystenta zmniejszającego ryzyko wypadku z pieszymi lub rowerzystami, a także z dużymi zwierzętami (łącznie z większymi psami).

Na pokładzie znajduje się też układ ostrzegający przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu, ostrzegający o zbyt małej odległości od poprzedzającego pojazdu czy alarmujący w przypadku wykrycia dekoncentracji kierowcy. W modelu XC60 zamontowano także system umożliwiający unikanie lub łagodzenie skutków zderzeń z innymi pojazdami na skrzyżowaniach w przypadku wykrycia ryzyka zderzenia czołowego przy skręcie w lewo.

Po włączeniu autopilota do prędkości 80 km/godz. auto może samodzielnie ruszać, hamować i skręcać. Inny asystent z kolei sprowadzi nas z powrotem na nasz pas, jeśli mimo ostrzeżenia, że mamy jakiś obiekt w martwym polu lusterek, i tak spróbujemy na niego wjechać.

CENA

Za najtańsze Volvo XC60 z dwulitrową jednostką Diesla o mocy 150 KM z manualną skrzynią biegów trzeba zapłacić 163 tys. zł. Model z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 250 KM i automatyczną skrzynią to wydatek wart co najmniej 189 tys. zł. Za wersję z silnikiem hybrydowym 313 + 87 KM i automatem trzeba zaś zapłacić co najmniej 256,7 tys. zł.

KONKURENCI

Audi Q5, BMW X3, Jaguar F-Pace, Mercedes-Benz GLC, Land Rover Discovery, Porsche Macan Turbo ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f1c0d8f093

Kraków

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza

kbf

RMF 15 Classic

FMF

FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ W KRAKOWIE

29.05–5.06.2018

WWW.FMF.FM

Sponsor Główny TAURON

Partner dla Krakowa BUKOVINA RESORT

eprasa.pl f1c0d8f093

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Irański reset

MARCIN MAKOWSKI: Donald Trump wycofał Stany Zjednoczone z umowy zawartej z Iranem, która znosiła część sankcji nałożonych na Teheran w zamian za stopniowe wygaszanie programu jądrowego. Unia Europejska nie kryje oburzenia

MATTHEW TYRMAND: Nikt nie może jednak udawać zaskoczenia. Zerwanie szkodliwej umowy z Iranem było jednym z haseł kampanii wyborczej Trumpa. Deal zawarty przez Obamę, Clinton oraz ówczesną dyplomację dobrze odzwierciedlał ich filozofię geopolityczną, ale nie zgadzał się z poczuciem zdrowego rozsądku większości Amerykanów. Nie mówiąc już o Izraelu. W skrócie – Iran mógł swobodnie handlować z całym światem, jedynie symulując zatrzymanie prac nad wzbogacaniem uranu. Istnieje wiele dowodów pokazujących podwójną grę Teheranu. W efekcie nawet muzułmańska Arabia Saudyjska zacieśniła więzy z Jerozolimą w obawie przed destabilizacją całego regionu. Łatwiej było jednak zamykać oczy i tak jak Neville Chamberlain przed II wojną światową wymachiwać świstkiem papieru, twierdząc, że uratowało się pokój. Nie wszyscy jednak są tak ślepi, a zgodnie z tym, co zapowiadałem w naszej rubryce, mianowanie Johna Boltona na doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego jedynie przyspieszyło decyzję Białego Domu. Z ciekawostek okołopolskich warto zaznaczyć, że były ambasador w Warszawie Stephen Mull w 2015 r. został wyznaczony przez Johna Kerry'ego do pilnowania zapisów porozumienia nuklearnego z Iranem (tzw. Joint Comprehensive Plan of Action). Niestety, nie poszło mu najlepiej.

Wróćmy jednak do ostrego stanowiska Unii. Czy to po prostu niechęć wobec polityki Trumpa? A może obawa przed tym, że Iran nie mając nic do stracenia, wróci na ścieżkę produkcji głowic jądrowych?

Moim zdaniem to raczej chłodna kalkulacja interesów. Otwarcie tamtejszego rynku na produkty europejskie – samoloty, systemy telekomunikacyjne, urządzenia z sektora energetycznego – niezmiernie się niektórym państwom unijnym opłaca. Zwłaszcza Francji i Włochom. Przecież Federica Mogherini zupełnie otwarcie skrytykowała decyzję USA. W końcu tej części świata nic ze strony Iranu nie grozi.

Jest jeszcze jedna, równie szeroko krytykowana decyzja Trumpa. Przeniesienie amerykańskiej ambasady do Jerozolimy. W Strefie Gazy trwają zamieszki. Ofiary liczy się już w dziesiątkach.

Izrael, i ja również, uważa, że Jerozolima jest ich prawowitą oraz historyczną stolicą. Skoro pracuje tam już izraelski parlament, to nie warto utrzymywać fikcji dyplomatycznej i lokować ambasad w Tel Awiwie. W teorii takie postępowanie miało łagodzić konflikt z Palestyńczykami oraz państwami arabskimi, ale w praktyce niewiele zmieniło. I podobnie jak w przypadku Iranu również tutaj unijni przywódcy wyrazili swoją dezaprobatę wobec przeniesienia ambasady, ale z głosowania wyłamały się Węgry, Rumunia oraz Czechy. Uważam, że źle się stało, iż w tym gronie nie było Polski.

Dlaczego mielibyśmy to robić przy braku gestów dobrej woli wobec Polski ze strony Izraela?

Ponieważ bierność nie przynosi korzyści. Obecne napięcie dyplomatyczne kiedyś się skończy, a na dłuższą metę dobre relacje z Izraelem – a pośrednio z USA – działają na korzyść Warszawy. Polska chce dzisiaj otrzymać od Ameryki zdecydowanie więcej, niż ta miałaby jej ochotę dać, dlatego potrzebuje dodatkowych argumentów negocjacyjnych, np. w celu lobbowania za stałą obecnością US Army na jej terytorium. Tak się uprawia Realpolitik. Niestety, obawiam się, że rząd boi się zrobić taki ruch ze względu na utratę poparcia radykalniejszej części elektoratu prawicowego, otwarcie wrogiego wobec Żydów, podkręcanego dodatkowo w radykalizmie przez osoby takie jak dr Ewa Kurek. Obym się mylił. ©℗

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl f1c0d8f093

FOT. KAROLINA MISZTAL-ŚWIDERSKA

„Mury” w kolebce Solidarności

Koncert z piosenkami Przemysława Gintrowskiego w kolebce Solidarności musiał zabrzmieć wyjątkowo. I zabrzmiał

Kompozycje Gintrowskiego sprzed lat, ale w nowych aranżacjach i wykonaniach, idealnie wpasowały się w mury Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego – instytucji o wielowiekowej tradycji, lecz odbudowanej w nowoczesnym stylu. Koncert „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie...” przypomniał, że bard Solidarności – związku zawodowego założonego w Gdańsku – przez całe życie śpiewał o wolności i nawet po 1989 r. jego pragnienie niezależności nie zdezaktualizowało się, tylko zostało inaczej ukierunkowane: nie na walkę z systemem, ale na przypominanie o tej walce.

– Człowiek, aby wiedział, dokąd idzie, musi wiedzieć, skąd pochodzi – wypowiedź muzyka zacytowała prezes Fundacji im. Przemysława Gintrowskiego Katarzyna Gintrowska.

Tę muzykę zwykle kojarzymy z latami 80., z małymi salkami i prywatnymi mieszkaniami, gdzie w ścisku słuchaczy niepodzielnie królowała prosta gitara. W nowych aranżacjach Jana Stokłosy piosenki Gintrowskiego zyskały drugie, pełne oddechu życie. Okazało się, że nie są tak jednowymiarowe, jak się powszechnie sądzi, i doskonale bronią się bez konspiracyjnego kontekstu. Na szczęście też wykonawcy – m.in. Renata Przemyk, Krzysztof Kiljański czy Krzysztof Napiórkowski – nie starają się naśladować chropowatego głosu Gintrowskiego, bo też głos ten jest przecież niepodrabialny. Zamiast imitacji proponują swoją interpretację znanych nam wszystkim piosenek. Gdzie trzeba, są delikatni, tak jak Ola Gintrowska w „Modlitwie”, gdzie trzeba – bezpardonowo ostrzy, tak jak Mateusz Ziółko w utworze „Gdy tak siedzimy nad bimbrem”. Córka barda Julia Gintrowska pokazała inne, bardziej osobiste oblicze kompozytora, gdy zaśpiewała jego piosenkę z filmu Macieja Ślesickiego „Tato”. W trakcie utworu mogliśmy zresztą oglądać wyświetlane na telebimie wzruszające zdjęcia Przemysława z małą Julią z wakacji nad morzem.

Najbardziej zaskoczyły „Mury”. Nieformalny hymn Solidarności trudno wyobrazić sobie w innej niż ikoniczna interpretacji. Tymczasem tenor Rafał Bartmiński i baryton Adam Szerszeń rozpoczęli utwór po włosku, a zakończyli go po polsku, przez cały czas pozostając w tonacji operowej! Nawet taka nietypowa forma wykonania wywołała na widowni łzy wzruszenia. Na zakończenie reżyserka koncertu Gabriela Gusztyn-Popławska oddała pole samemu bohaterowi wydarzenia – gdy na scenie stanęło puste krzesło, z głośników popłynął głos Przemysława Gintrowskiego śpiewającego „Dokąd nas zaprowadzisz, Panie”, do którego z każdym słowem dołączał kolejny, obecny tego wieczoru wykonawca.

Publiczność zgotowała artystom kilkuminutową owację na stojąco.

Paweł Szlachta

MECENAT KONCERTU

GDAŃSK miasto wolności

PARTNERZY KONCERTU

DRUTEX ENGINEERED FOR YOU

GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI

LOTTO

POLSKA SPÓŁKA GAZOWNICTWA

Energa

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

PATRONI MEDIALNI

trojmiasto.pl

Dziennik Bałtycki

TVP

wprost

eprasa.pl f1c0d8f093

OKIEM BLOGERKI

Czekając na mądrego

KATARYNA

WANDA TRACZYK-STAWSKA: ***Przypomniała mi się okupacja, kiedy nie można było przejść, bo stale były jakieś bramki. Niemcy się w ten sposób przed nami odgradzali. Chyba skrzyknę swoich kolegów. Jestem z Szarych Szeregów, harcerka. Potrafiliśmy z Niemcami tak sprytnie walczyć, że pisaliśmy, co chcieliśmy, na ich własnych miejscach postoju.***

JANINA OCHOJSKA: ***Ja pamiętam takie zasieki – ale nie z rąk, tylko z różnych barier – kiedy próbowaliśmy się dostać do oblężonego Sarajewa. Do Sejmu nie sposób się dostać, chyba wrócę tu z jakimś konwojem humanitarnym.***

Bardzo szanuję obie panie i nie wątpię w ich szczere intencje, ale nawet w tak dramatycznych chwilach nie powinno się mówić rzeczy niegodnych. Ograniczenia w wejściu do Sejmu, gdzie od miesiąca trwa strajk okupacyjny, nie dają się w żaden sposób porównać do działań wojennych zbrodniarzy i żadne polityczne emocje takich porównań nie usprawiedliwiają. Trudno mi też patrzeć z sympatią na pokazowe konfrontacje z Bogu ducha winnymi policjantami, którzy w ramach służbowych obowiązków muszą ochraniać Sejm, a dzięki medialnym happeningom z głośnym doń niewchodzeniem kreuje się z nich publicznych wrogów, na których wylewa się morze internetowego hejtu, tylko dlatego że to akurat oni muszą chcącym wejść paniom tłumaczyć, że wpuścić ich nie mogą. Zaprawdę osobliwe wyobrażenie o okupacji jako formie obywatelskiego nieposłuszeństwa mają komentujący, przekonani najwyraźniej, że to coś w rodzaju pikniku, na który okupujący mają prawo zapraszać kogo chcą, a gospodarz budynku musi absolutnie każdego do nich wpuścić. Nie wiem, czy jest w Europie kraj, w którym policja pozwoliłaby przez miesiąc okupować budynek parlamentu, swobodnie z niego wychodzić na spacery i wracać. Nic by się oczywiście nie stało, gdyby marszałek Kuchciński obie panie do protestujących wpuścił, żadna z nich nie stwarza najmniejszego zagrożenia dla bezpieczeństwa, ale zapewniam, nie jest to normą w żadnych znanych mi protestach okupacyjnych. Zazwyczaj do protestujących dopuszcza się osoby, które chcą i mogą pomóc znaleźć porozumienie, niekoniecznie zaś te, które idą tylko z jednym przesłaniem – protestujcie do oporu.

W kolejce do bycia niewpuszczonym do Sejmu czeka już Lech Wałęsa, którego podobno proszą o to sami obywatele. Lewicowa kandydatka na prezydenta Wrocławia już zaapelowała, żeby codziennie pod Sejm przychodziła inna znana osoba i pozwalała się nie wpuścić. I tylko jakoś nikt z kolejnych wspierających nie proponuje nic konstruktywnego, nie robi żadnego wysiłku, żeby pomóc obu stronom protest zakończyć. Wspierającym go jest na rękę trwanie okupacji, nawet jeśli mają świadomość, że postulaty protestujących są nie do spełnienia z dnia na dzień. Gdyby były, spełniłaby je dawno mająca na to dwie kadencje Platforma Obywatelska.

Mam jak najgorsze zdanie o tym, jak PiS traktuje protestujących i ich postulaty, ale niewiele lepsze o tych, którzy dla doraźnych politycznych zysków – i tu nie mam na myśli żadnej z obu szacownych pań – zagrzewają protestujących do trwania, zamiast pomóc obu stronom szukać korzystnego dla wszystkich wyjścia. Będę bić brawo każdemu, kto zaproponuje mediację i szukanie rozwiązania. Bo to trudniejsze niż pokrzykiwanie do wymęczonych miesięcznym protestem ludzi „Dajesz, dajesz!". Do tego jednak trzeba być bardziej człowiekiem niż politykiem. Nie widzę takich po żadnej ze stron politycznego sporu. ©℗

PODSŁUCHANE

Ma się ten refleks

Czyli chciałbyś, Ryszard, zaczepić się u nas?
Nie.
Nie? Tak zrozumiałem to, co przed chwilą mówiłeś.
Nie ja się chcę u was zaczepić, tylko daję ci szansę, Grzesiu, żebyście mnie wzięli na swoje listy do Parlamentu Europejskiego.
Aha. A ty się na tym znasz trochę? Bo wiesz, w kampanii pewnie będą pytania o instytucje unijne, o znajomość języków.
Dont łory, bi hepy. Maj inglisz is wery gut. I dobrze się też orientuję. Możesz mnie przepytać, jak chcesz.
Okej. No to jaką funkcję pełni Donald?
Donald jest przydupasem Angeli.
Dobrze, ma się ten refleks. A teraz trochę trudniejsze: Kim jest Juncker?
Pijaczyną.
Ela Bieńkowska?
A ja wiem, czy ty tego nie nagrywasz? Ja powiem, a potem puścisz to gdzieś i będę miał kłopoty, jak z tą wycieczką wiesz dokąd.
Ostrożność też ważna cecha. Chyba byś się nadawał.
No i fajnie. Ja już sobie nawet w tej Brugii niezłe mieszkanko znalazłem.
W jakiej Brugii?
Jaja sobie robisz? No, miasto takie jest, w Belgii. Tam jest parlament.
W Brugii? Porąbało cię?
A nie? No masz, a ja już zaliczkę za pół roku wpłaciłem. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Szanowny Panie Prezydencie, zamiast 100 lat, życzę Panu tylko tych dwóch, które pozostały do końca kadencji".

JOANNA SCHMIDT, *była posłanka Nowoczesnej, na Twitterze w dniu urodzin prezydenta Andrzeja Dudy*

eprasa.pl f1c0d8f093

Konspiracja

fot. Jerzy Gumowski

Tego tygodnia, w piątek 25 maja, minie równo 200 lat od wielkiej interlożowej (gromadzącej polskich wolnomularzy wszystkich odłamów) fety masońskiej ku czci Tadeusza Kościuszki, którego zwłoki przywieziono właśnie ze szwajcarskiej Solury do kraju, by je złożyć na Wawelu. Pytanie: kto był inicjatorem i organizatorem tego ceremonialnego obrzędu? — wydaje się dziś mało ważne, lecz wbrew pozorom jest bardzo ważne. Organizatorką była *„republikańska”* (zwana też *„jakobińską”*) loża „Świątynia Izis” — najbardziej wówczas lewicowa wśród polskich lóż. Kilka lat wcześniej (1810–1811) chciała obalić cesarza Napoleona (dobroczyńcę Polaków, który A.D. 1805–1807 zdruzgotał militarnie naszych zaborców i przywrócił Polsce suwerenność), a dowodzenie konspiracją oraz powstaniem antynapoleońskim chciała powierzyć dwóm wypróbowanym *„republikanom”*: generałom Kościuszce i Dąbrowskiemu. Pierwszy nigdy nie lubił Bonapartego, bo swoim lewackim umysłem brał go za zbytniego konserwatystę i *„tyrana”*, drugi natomiast przestał go lubić w 1807 roku, bo wbrew rojeniom ekswodza Legionów Włoskich cesarz nie jemu, tylko księciu Józefowi Poniatowskiemu, antylewakowi, powierzył dowództwo (ministerialne tudzież liniowe) wojsk Księstwa Warszawskiego.

Historycy polscy minionych dwóch stuleci zatykając nos omijali temat nadwiślańskiego spisku 1810–1811, gdyż babranie się jego szczegółami automatycznie plamiłoby pamięć i czcigodną spiżowość dwóch bohaterów narodowych, tego od insurekcyjnego nimbu (*„Patrz, Kościuszko, na nas z nieba!”*) i tego od śpiewanego przez wszystkich hymnu (*„Marsz, marsz, Dąbrowski!”*). Znawca ery napoleońskiej, Szymon Askenazy, i znawca ośmiornicy wolnomularskiej, Ludwik Hass, tej brzydkiej konspiracji poświęcili w swym dorobku po… trzy zdania (!), *„en passant”*, na marginesie, nie rozwijając tematu. Obaj akcentowali masońskość i lewackość spisku, zakulisową inspirację „Świątyni Izis”, jak również kierowniczą rolę pułkownika Feliksa hrabiego Potockiego: *„Potocki, przyjęty 19 marca 1810 do loży «Izis», inspirował w Księstwie republikański spisek antynapoleoński, ściśle powiązany z francuską antycesarską konspiracją lewicy wolnomularskiej i mający dokonać zamachu stanu. Na przywódcę ruchu przewidywano wolnomularza wysokich stopni, gen. J. H. Dąbrowskiego”* (Hass, 1982); *„Spiskowcy ci, nie dorwawszy się do władzy w 1807 i 1809, grzęznąc coraz głębiej w zawziętości na rząd własny i Napoleona, utrzymując styczność z wszystkimi malkontentami swojskimi i cudzoziemskimi — utworzyli między sobą jakąś «Czynną Radę», gotującą jakieś powszechne powstanie na lato 1811. Miano do tego sprowadzić Kościuszkę jako naczelnika siły zbrojnej”* (Askenazy, 1908).

Mózgiem spisku był minister spraw zagranicznych napoleońskiej Saksonii, Friedrich Christian hrabia Senfft von Pilsach, a miejscem zawiązania konspiracji Drezno (saksońska stolica), gdzie Potocki *„stanął”* wracając do kraju z frontu hiszpańskiego. Walczył na Półwyspie Pirenejskim jako dowódca pułku — Kazimierz Władysław Wójcicki: *„To generał Henryk Dąbrowski mianował Feliksa Potockiego pułkownikiem 4–go pułku piechoty. Łączyła ich legionowa znajomość we Włoszech, następnie zaś przyjaźń”* (1856). Była to przyjaźń wolnomularska — masońskie *„braterstwo”* (notabene Senfft również należał do masonów). Potocki dymisjonował się w Hiszpanii na własną prośbę, tłumacząc się odniesionymi ranami i *„zbytnim przeciążeniem organizmu”*, ale szeptano, że symulował chorobę i że ewakuował się do kraju głównie z powodu swej *„republikańskiej”* niechęci wobec tej kampanii cesarza. Znający go dobrze szef walczącego wówczas w Hiszpanii 9. pułku piechoty, książę Antoni Sułkowski, informował żonę listownie o odejściu Potockiego: *„Jest niepocieszony, że znajduje się tutaj. Mówiąc między nami jest to człowiek zupełnie nierozumny”*.

∞

*Wiktor Gomulicki (wiersz **„Spiski”**):*
„Od poczęcia, od kołyski,
My, Polacy, knujem spiski”

∞

Do Senffta i Potockiego, którzy przez wiele dni deliberowali w Dreźnie spiskowo, dołączył jeden z najbardziej znanych wówczas lewaków polskich, Hugo Kołłątaj (według historyka Wacława Tokarza pośrednikiem był tu inny *„republikanin”*, Franciszek Paszkowski, adiutant władcy Księstwa Warszawskiego, Fryderyka Augusta, zagorzały wróg księcia Józefa Poniatowskiego). Kołłątaja, którego zwano *„polskim Robespierrem”*, trawiła złość, że napoleończycy odsunęli go na boczny tor polityki. Za wszelką cenę próbował wrócić na estradę politycznych zmagań, tedy drezdeńska propozycja była dlań gwiazdką z nieba, a determinacja Senffta i Potockiego (pisał do przyjaciół, że ci dwaj *„są gotowi na wszystko”*) zdawała mu się rodzajem dobrej wróżby. Grono spiskowców rosło w szybkim tempie, znaleźli się pośród nich m.in. generał Józef Niemojewski (były kościuszkowiec), pułkownicy Julian Sierawski i August Trzecieski (niegdyś podwładni Kościuszki, później Dąbrowskiego), Andrzej Horodyski (wysoki urzędnik administracyjny, członek „Świątyni Izis”), Alojzy Orchowski (*„czerwony”* adwokat) i Kalasanty Szaniawski (jakobin z Powstania Kościuszkowskiego). Vulgo: ówczesna polska czołówka radykalnych lewaków (Senfft chwalił ich jako *„esprits républicains qu'on taxait de jacobinisme”* — duchy republikańskie posądzane o jakobinizm). Bezzwłocznie nawiązali kontakty ze spiskową antynapoleońską elitą Zachodu (głównie z tajnym pruskim stowarzyszeniem Tugendbund i z francuską wolnomularską konspiracją oficerską Filadelfów), oraz z Petersburgiem. Kilkakrotne spotkania spiskowców z wysłannikami cara Aleksandra I miały miejsce w latach 1810–1811 (tymi wysłannikami byli Adam Jerzy książę Czartoryski, minister cara, i generał baron Johann Anstett, Alzatczyk żonaty z Polką, czołowy agent rosyjski grający dyplomatę–negocjatora).

Spiskowy plan przewidywał wybuch powstania w roku 1811, co carowi byłoby bardzo pomocne, Rosjanie bowiem szykowali na ten sam rok zmasowany atak ku Zachodowi (operacja *„Wielikoje Dieło”*), jednak że zbiory zbóż A.D. 1810 okazały się fatalne (susza) i rok 1811 też się pod tym względem źle zapowiadał — przełożono wybuch na rok 1812. Nic jednak z tego nie wyszło wskutek raptownej śmierci Feliksa Potockiego — *„spiritus movens”* spisku zmarł w Warszawie 27 lutego 1811 roku, mając ledwie 32 lata, i zamiast na fotelu ministerialnym nowego (popowstańczego) reżimu, wylądował na cmentarzu Powązkowskim wewnątrz rodzinnego grobowca. Oficjalnie przyczyną śmierci były hiszpańskie obrażenia wojenne (głównie psychiczne), lecz taką diagnozę należy raczej między bajki włożyć, o czym świadczy choćby fakt, że po tym zgonie przerażeni spiskowcy rozpierzchli się niby spłoszone stado ptaków i zaniechali konspirowania. Napoleoński wywiad, którego szefem był bezwzględny generał Savary, zaś asem Karol Schulmeister (*„cesarski agent nr 1”*), nie patyczkował się ze spiskami, gasząc je metodą odcinania hydrze łbów (przykładowo: herszt wewnątrzarmijnej konspiracji filadelfijskiej, pułkownik Oudet, został zastrzelony razem ze swym sztabem w lipcu roku 1809, a przykrywką egzekucji była bitwa pod Wagram).

Dlaczego odkurzyłem tę historię? Żeby uzmysłowić Czytelnikom, iż rodzima lewica, która wciąż tańczy na polskiej arenie (Razem, SLD, Krytyka Polityczna *„e tutti quanti”*), ma dwusetletnią tradycję knowań gwoli korodowania i mącenia rzeczywistości politycznej nad Wisłą. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl f1c0d8f093

ZERRO TRUDNOŚCI
MULTI MOŻLIWOŚCI

Zmierz się w grze o nawet
25 000 000 zł!

Multi Multi plus

Graj w punktach

LOTTO

©2018 Zorro Productions, Inc., All Rights Reserved. ZORRO®